

RUTH LANGAN

GORĄCY RUBIN

PROLOG

Bayou Rouge, Luizjana 1865

- Tęskniłem za tobą. Tęskniłem za tym wszystkim. - Onyx Jewel leżał w zmiętej pościeli, przypatrując się rozczesującej splątane włosy Madeline St. Jacques. Wyczuła jego spojrzenie i gestem zdradzającym lekką irytację odłożyła grzebień. Sięgnęła po zwiewny jedwabny szlafroczek. W talii przewiązała się sznurem z chwostami. Wszystko to miało służyć zasłonięciu ponętnej ciała, w istocie jednak odsłoniło je jeszcze bardziej.

Onyx ogarnął spojrzeniem pokój, będący jakby dopełnieniem tej wspaniałej kobiety. Osobliwa mieszanina elegancji i prostoty. Szerokie łożo ze sprężystym materacem. Na nim cała masa mniejszych lub większych poduszek w kolorach tęczy. Na podłodze dywan, który był jego ostatnim prezentem. Utkano go w Konstantynopolu, przedstawiał zaś kwiatowy ogród z motylami o intensywnych barwach skrzydeł. Kiedy go ujrzała, zareagowała szlochaniem, potem zaś skakała po nim, roześmiana i nieopanowana w swej radości niczym mała dziewczynka. Doskonały kształt jej bosych stóp był miarą jej urody.

Właściwie wciąż miała w sobie coś z dziecka, pomyślał. Bała się szerokiego świata, kurczowo trzymając się miejsca, które nazywała swoim domem. Obawiała się jakichkolwiek zmian. On zamęczał ją propozycjami wyjazdu, ona zaś uparcie je odrzucała. Może w tym lęku przed nieznanym objawiała się jej kobiecość? Była kobietą, i to jaką kobietą! Z tą swoją cudnej urody twarzą rozjaśnioną przekornym uśmiechem czyniła z nim, co chciała.

- Kiedy porozmawiamy o Teksasie? - zapytał. Nie musiała się odwracać, ażeby nań spojrzeć. Widziała go w lustrze w rzeźbionych ramach.

- Nie będę rozmawiać z tobą o tym twoim piaszczystym podwórzu - odparła, wydymając karminowe wargi.

- Moje piaszczyste podwórze! Wiedz zatem, że jest ono większe niż całe terytorium Luizjany - zauważył z nutą zmęczenia w głosie. Już wielokrotnie podejmowali ten temat. Każda rozmowa przebiegała i kończyła się tak samo.

- A dlaczego ty nie osiądziesz w Bayou Rouge? - rzuciła z pretensją w głosie.

- Ponieważ zadomowiłem się w Teksasie, zapuściłem tam korzenie, Madeline. I nie mam powodu do narzekań.

- Jestem tylko kruchą kobietą - powiedziała, po czym zamieniła grzebień na szczotkę z kościaną rączką. - Nie przeżyłabym tygodnia w tym - zmarszczyła piękny nosek - w tym prymitywnym miejscu, które ty nazywasz domem.

- Twoje wyobrażenie o Teksasie jest czystą fantazją.

To prawda, że moje ranczo od rancza najbliższego sąsiada dzieli szmat drogi, ale...

- A widzisz - przerwała mu.

- Ale dysponujemy wszystkim, co zwykle się określać zdobyczami cywilizacji. Nie ma mowy o żadnych prymitywnych warunkach.

- Tym razem ty fantazujesz. Nigdy nie uwierzę, że nie ma u was grzechotników, dzikich Indian i słońca, które przemienia wszystko w proch.

Uśmiechnął się. Czuł się całkowicie bezsilny wobec tej osóbki. Uwielbiał, gdy wpadała w gniew, a w jej brązowych oczach zapalały się niebezpieczne błyski.

- Podejdź do mnie - poprosił.

Ani drgnęła. Za to na jej wargach pojawił się figlarny uśmieszek.

- Właśnie się uczesałam i wyglądam dość przyzwoicie. Poza tym powiedziałaś, że stęskniłeś się za Rubinem i chciałbyś odwiedzić ją w szkole.

Szkola to kolejna bitwa, którą przegrał. Wolał dla swojej córki domowych nauczycieli niżli surową dyscyplinę przyklasztornej pensji dla panien z dobrych domów. Madeline okazała się nieugięta. W rodzinie St. Jacques'ów wszystkie dziewczęta kończyły tę szkołę, więc nie było powodów, dla których Gorący Rubin miałyby wyłamać się z tradycji.

- Pójdziemy. Tylko trochę później. - Wyciągnął rękę. Wstała i ruszyła ku niemu, rozdziewając się z szat.

Zareagował jak zwykle w takich wypadkach. Drżenie jej pełnych piersi, taneczne ruchy ciała, kuszące obłóści bioder, wszystko to sprawiło, że Onyx Jewel zapadł w otchłań pożądania. Madeline St. Jacques była najbardziej zmysłową ze znanych mu kobiet. Nie potrafił oprzeć się jej czarowi. Kiedy dzieliła ich odległość, rozpalał się myślami o niej, gdy zaś znajdowali się w jednym pokoju, nie chciał puszczać jej ani na krok.

- Siostrzynie Dominiko! - dał się słyszeć ostry głos matki przełożonej zakonu sióstr marianek w Bayou.

- *Oui*, czcigodna matko?

W drzwiach niewielkiej, choć wyjątkowo schludnie utrzymanej celi stanęła zakonnica w podeszłym wieku. W odróżnieniu od pozostałych sióstr, zajmowała się nie nauką, tylko sprzątaniami, szyciem i cerowaniem. Mimo skrzywionych artretyzmem palców, wypełniała wzorowo swoje obowiązki.

- Idź, proszę, i sprowadź tu pannę Rubin. Powiedz jej, że przyszli z wizytą rodzice.

Siostra Dominika rzuciła ukradkowe spojrzenie na obcego, który siedział obok dobrze jej znanej Madeline St. Jacques. *Mon Dieu!* Był to mężczyzna, co się patrzy. Nic dziwnego, że

dumna, uparta i samowolna Madeline, długo uchodząca za najpiękniejszą kobietę w mieście, a nawet całym stanie, oddała mu swój wianuszek. Pewnie, że zgrzeszyła, musiałaby mieć jednak hart i wolę średniowiecznej świętej, żeby mu się oprzeć. Miasto przez wiele lat plotkowało o jej braku rozwagi.

- Już biegnę, czcigodna matko.

Stara kobieta zwawo ruszyła długim, chłodnym i ciemnym przejściem łączącym oba budynki, zakonny i szkolny. Przed drzwiami jednej z klas, gdzie uczyła właśnie siostra Klotylda, zatrzymała się, by odetchnąć. Ze środka dochodziły monotonne, zbiorowe dziewczęce odpowiedzi na zadawane przez nauczycielkę pytania. Nagle ów ni to śpiew, ni to recytacja urwała się i dał się słyszeć podniesiony głos siostry Klotyldy, upominającej jedną z uczennic.

Siostra Dominika wzdrygnęła się, gdyż miała czułe serce i nie lubiła przemocy, choćby ta przemoc wyrażała się tylko krzykiem. Surowość siostry Klotyldy, jej ukochanie dyscypliny były ogólnie znane.

- Co się stało, siostrzynie Dominiko? - spytała ostrym głosem siostra Klotylda.

- Zgodnie z życzeniem matki przełożonej mam zabrać pannę Rubin.

- Rubin? - W oczach siostry Klotyldy pojawiła się podejrzliwość. - A to z jakiego powodu?

- Przyjechali jej rodzice.

Twarz nauczycielki ściągnęła się w nieprzyjemnym wyrazie.

- Jej ojciec jest tutaj?

- *Oui* - potwierdziła siostra Dominika i jakkolwiek szybko spuściła oczy, zdradził ją jej głos. Było czymś bardzo podniecającym zobaczyć wreszcie tajemniczego Onyxa Jewela.

- Rubin w tej chwili nie może opuścić klasy - rzekła stanowczym tonem siostra Klotylda.

- Ale matka przełożona...

- Rubin w tej chwili odbywa karę.

Siostra Dominika przeniosła wzrok w głąb klasy. Znajdowały się tam drzwi wmurowane w ścianę.

Drzwi były zamknięte. Nie dochodził zza nich żaden dźwięk.

- Czy ta kara nie trwa zbyt długo? - spytała siostra Dominika z niepokojem.

- Jeśli chodzi o tę krnąbrną pannicę, to nie ma kar zbyt długich czy zbyt dotkliwych.

Tym razem jednak zapamięta sobie. Siedzi tam już ponad godzinę.

- Ponad godzinę - powtórzyła drżącymi wargami stara zakonnica. Zebrała się na

odwagę. Okazało się, że nie tylko ona nie potrafiła uczyć dzieci. Tym razem siostra Klotylda przesadziła w okrucieństwie. - Ten czas spędzony w ciemności można chyba uznać za dostateczną karę. Matka przełożona życzy sobie ją widzieć. Nie ośmielę się nie wypełnić jej rozkazów. Jednak, siostrze, gdybyś chciała osobiście wyłożyć rzecz matce przełożonej...

Wiedząc bardzo dobrze, że najrozsądniej jest nie sprzeciwiać się woli matki przełożonej, siostra Klotylda sapnęła, ruszyła ku szafie i otworzyła drzwi.

Ciemny prostokąt i żadnego ruchu.

- Możesz wyjść, Jewel, i wyznać swą winę - rozkazała siostra Klotylda tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Dziewczynki siedzące przy stolikach zaczęły wiercić się niespokojnie. Jakkolwiek przywykły już do traktowania ich szkolnej koleżanki z okrucieństwem i nawet czasami pewne wymyślane przez nauczycielkę kary stanowiły dla nich źródło rozbawienia, tym razem wydały się wzburzone.

- Powiedziałam, wychodź. - Nauczycielka dała krok do przodu, po czym natychmiast się cofnęła.

Przez chwilę głęboko oddychała. Następnie ponownie weszła do pomieszczenia, by po chwili wywlec stamtąd nieruchome ciało dziecka.

Złotobrzowe włosy dwunastoletniej dziewczynki były sklezione i lepiły się do jej policzków i szyi. Twarz miała barwę kredy.

- Ona nie żyje! - wykrzyknęła przerażona siostra Dominika.

- Nic podobnego. - Siostra Klotylda dotknęła palcem szyi dziecka, a odnalazłszy puls, zwróciła się do starej zakonnicy: - Przynieś trochę wody.

Gdy siostra Dominika wróciła z wypełnioną po brzegi szklanką wody, dziewczynka siedziała na podłodze, wsparta plecami o ścianę. Chwyła naczynie i chciwie wypila jego zawartość.

Siostra Klotylda spoglądała na dziecko z kamienną, niewzruszoną twarzą. Gdy dziewczynka wysączyła ostatnie krople, nauczycielka rzekła mentorskim głosem:

- Musisz teraz przyznać się do winy i wyrazić skruchę i żal.

Rubin uniosła głowę i spojrzała w błyszczące gniewem oczy zakonnicy. Mimo że jej wargi drżały ze strachu, milczała.

Oczy siostry zakonnej zwęziły się w szparki.

- Jesteś głupim, upartym, samowolnym dzieckiem. Tym razem ujdzie ci to na sucho. Wzywa cię matka przełożona. Nie chcę, żeby czekała. Idź więc. Ale ostrzegam: jeszcze nie skończyłam z tobą. Wrócimy do tej sprawy.

Zdrętwiała, oszołomiona dziewczynka wstała, chwytając się ściany, i wyszła za siostrą Dominiką na uginających się nogach.

Kiedy znalazły się na korytarzu, staruszka odwróciła się i rzekła z dobrotliwym uśmiechem:

- Musiałaś chyba dobrze nabroić, skoro zasłużyłaś sobie na takie potraktowanie.

Dziewczynka milczała jak zaklęta.

- Więc o co poszło? — nalegała siostra Dominika.

- Zrzuciłam siostrze Klotyldzie kłamstwo. - Głos był tak słaby, że przypominał miauczenie ślepego kociaka. Mimo to brzmiała w nim nuta buntu.

Siostra Dominika stanęła jak wryta, machinalnie zakrywając usta dłonią.

- Ależ tak nie wolno. Tak nie godzi się mówić.

- A jednak powiedziałam - odparła Gorący Rubin z zawziętością w głosie.

- Ale co cię, dziecko, do tego skłoniło?

- Nazwała moją mamę nierządnicą.

W wyblakłych oczach staruszki stanęły łzy. Aż zacisnęła dłonie, żeby się opanować.

- Nikt nie ma prawa nazywać tak twojej matki. Będę modliła się za siostrę Klotyldę, żeby Bóg zmiękczył jej serce.

Ten objaw dobroci musiał ująć dziewczynkę, gdyż dotknęła ramienia zakonnicy.

- Nie martw się o mnie, siostrzo Dominiko. Jakoś dam sobie radę. Wszystko jeszcze będzie dobrze. - Wyjęła z kieszeni fartuszka różaniec o dużych brązowych paciorkach i wcisnęła go w zniekształconą reumatyzmem dłoń staruszki. - Niech siostra dziś wieczorem pomodli się za mnie.

- Ależ, dziecko, skąd masz ten różaniec?

Wargi małej Jewel wykrzywiły się w chytrym uśmiešku.

- Poczekalam na chwilę nieuwagi siostry Klotyldy i różaniec zmienił kieszenie.

- To znaczy, ukradłaś go - podsumowała siostra Dominika z wyrazem przerażenia na twarzy.

- Ależ skądże znowu! Mama nie nazwałaby tego kradzieżą. Jeżeli bowiem ktoś zachowuje się nieznośnie albo pozwala sobie na okrucieństwo w stosunku do innych, wtedy mamy prawo do małej zemsty.

- Ależ, drogie dziecko, niegodziwość innych nie powoduje bynajmniej, że nasze czyny stają się mniej naganne.

- Dlaczego? - spytała dziewczynka, najwidoczniej nie rozumiejąc tego braku powiązania.

- Ponieważ jedno z bożych przykazań zabrania nam przywłaszczać sobie rzeczy należące do innych.

- Ale wśród dziesięciu przykazań jest i takie, które nakazuje czcić ojca swego i matkę swą - odparła Rubin. - Ja i siostra Klotylda jesteśmy winne po równi. Siostra Klotylda, nazywając mnie pomiotem diabelskim, ubliżyła mojej matce. Nie mogłam tego puścić płazem.

Siostra Dominika otworzyła usta, ale nie wyszło z nich żadne słowo. Dobrze wiedziała, że siostra Klotylda jest osobą bez serca, zimną i pozbawioną ludzkich uczuć. Wiedziała też, że dziewczynka, którą prowadzi do rodziców, jest istotą upartą, buntowniczą i śmiałą nad wyraz.

Sama chciałaby mieć choć drobną cząstkę tej odwagi. Być może, pomyślała, z tego to właśnie powodu tak długo oszczędza ją śmierć. Bóg ciągle liczył na to, że uda się jej przezwyciężyć strach.

Westchnęła i zaczęła machinalnie trzeć drętwiejące ramię. Przypomniała sobie, dlaczego siostra Klotylda wstąpiła do klasztoru. Była to jej ucieczka przed okrutnym ojcem. Ucieczka nieudana. Zabrała ojca ze sobą. Jego okrucieństwo zatruło jej duszę. Samowoli siostry Klotyldy, jej nieopanowaniu w karaniu i poniżaniu innych trzeba było postawić tamę. Chociażby po to, żeby nie dopuścić do skrzywdzenia tego dziecka.

Siostra Dominika wciąż miała niejaki wpływ na matkę przełożoną. Dla dobra małej Jewel gotowa była podjąć się misji zaopiekowania się nią. Nie wolno jej było zostawić dziewczynki samej sobie. Musiała stać się dla niej ucieczką i oparciem.

- Chodź - powiedziała. - Poszczyp sobie policzki, by nabrały koloru, i przywołaj na twarz wesoły uśmiech. Zapomnij o siostrze Klotyldzie. Twój ojciec czeka na ciebie.

- Kto wie, może tym razem zabierze mnie i mamę ze sobą do Teksasu - powiedziała dziewczynka z nadzieją w głosie. - Marzę o tym, by uciec stąd wraz z mamą.

Idąca obok niej stara zakonnica modliła się o to samo.

Spotkanie z ukochanym ojcem okazało się, podobnie jak wszystkie poprzednie, o wiele za krótkie. Rubin od początku do końca zachowywała się dzielnie, rozkoszując się każdą upływającą chwilą.

Lecz kiedy uścisnął ją i pocałował na pożegnanie, a potem odjechał, łzy trysnęły jej z oczu i pociekły po policzkach.

- Co to ma znaczyć? Moje dziecko płacze? - Madeline St. Jacques ujęła córkę pod brodę. - Czy coś się stało? Żle się czujesz, kochanie?

Zawstydzona swoją słabością, Rubin próbowała odwrócić głowę.

- Och, mamusiu, nie mówmy o drobnostkach. Madeline widziała, jak dziewczynka sili się na uśmiech.

- Nie sądzę, by były to drobnostki. Jestem twoją matką, a więc musisz wyznać mi wszystko.

Ale nie wszystko dawało się powiedzieć. Gorący Rubin wiedziała, że musi ukryć przed matką te wszystkie straszne pomówienia. Powtórzenie ich oznaczałoby złamanie jej serca.

Jak gdyby czytając w myślach córki, Madeline powiedziała:

- Nie przejmuj się tym, co mówią inni. Bo cóż ostatecznie wiedzą? Ja i twój ojciec kochamy się, ty zaś jesteś naszą ukochaną córką. I to jest najważniejsze. Łączy nas miłość, z której zawsze możemy uczynić tarczę przeciw światu.

- Jeżeli tata nas kocha - zapytała Gorący Rubin - to dlaczego mieszka w Teksasie, a my tutaj, tak daleko od niego?

- Ponieważ życie tutaj jest o wiele łatwiejsze i przyjemniejsze - odparła Madeline cierpliwie. Powtarzała to już tyle razy, że w końcu sama w to uwierzyła. - Teksas to dzicz i pustka, kraina Indian i grzechotników. - Zmarszczyła zgrabny nosek. - Jestem zbyt słabego zdrowia, aby zaryzykować życie w takich warunkach. Zasługuję na coś lepszego.

- Ale tata...

- Tata kocha nas. Zobaczysz. Nadejdzie czas, gdy zrozumie wszystko i zamieszka tu razem z nami.

- Ale tata mówi, że tylko w Teksasie może zarabiać pieniądze na swoje i nasze utrzymanie. Dlaczego mu nie wierzysz?

Na twarzy Madeline pojawił się tajemniczy uśmiech.

- Zmieni zdanie. Przekonasz się o tym już wkrótce. Mądra kobieta zawsze postawi na swoim. Jeśli ktoś tu się ugnie, to twój tata. Za bardzo nas kocha, by potrafił długo bez nas wytrzymać. Tymczasem pozostaje nam chodzić z dumnie uniesioną głową i ignorować złośliwości innych. - Jej wargi ułożyły się w wyraz niesmaku. - Cóż zresztą ci wszyscy głupcy mogą wiedzieć.

Gorący Rubin przyznała w duchu rację matce, lecz gdy ta pożegnała się i odeszła, chłodząc twarz wachlarzem, dziewczynka przypomniała sobie wykrzykiwane w złości słowa siostry Klotyldy i uszczypliwe uwagi szkolnych koleżanek.

Broniąc się przed bólem, próbowała skupić myśli na ukochanym ojcu, pięknym niczym ów średniowieczny rycerz z ryciny, na którą natknęła się w jakiejś książce. Pewnego dnia wybierze się razem z nim do Teksasu. I będzie to najważniejsza, decydująca zmiana w

jej życiu. Teksas nie był dla niej pustynią, tylko rajskim ogrodem, symbolem szczęścia i radości.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Hanging Tree, Teksas 1870

- Zrób jeden ruch, szeryfie, a w tej samej chwili pożegnasz się z życiem. - Mierząc z rewolweru dokładnie w środek czoła Quenta Regana, bandyta rzucił w kierunku stojącego w pobliżu mężczyzny: - Rozbrój go, Ward!

- Dlaczego sam tego nie zrobisz, Boyd?

Ward i Boyd byli rodzonymi braćmi. Zdecydowaniem, fantazją i okrucieństwem Boyd wyraźnie górował nad bratem.

- Ponieważ mam go na muszce, ty tchórze! - warknął. - I ponieważ to moim lassem jest okrecony. Rusz się, ciamajdo, i zabierz mu broń!

- Zawszeć jest jakieś ryzyko. Boyd zaklął.

- O jakim ryzyku mówisz, ty cholerny głupcze? Zanim zdąży kiwnąć palcem, dostanie kulę w łeb. Czego tu się bać?

- Ciągłe jest uzbrojony. I mało to o nim się nasłuchaliśmy? Nie ma szybszego strzelca w całym Teksasie. Przypomnij sobie braci Bruebaker. Obaj już dawno gryzą ziemię. Zginęli, mierząc do niego z rewolwerów.

Boyd strzyknął śliną.

- Dość mam tej twojej gadaniny. Nie porównuj nas do tych zawszonych, łajzowatych braci Bruebaker. Nasz ojciec nazywał się Barlow, i my tak się nazywamy. Już wkrótce wszyscy w tej okolicy będą nam się kłaniać na odległość. A teraz nie marudź i zabierz mu broń!

Ward ruszył ku mężczyźnie z odznaką szeryfa na piersi, a w każdym jego ruchu widać było daleko posuniętą czujność. Ostrożnie wyciągnął rękę, chwycił za kolbę wiszącego u biodra rewolweru i wyciągnął go z pochwy. Zaraz też odskoczył do tyłu o kilka kroków.

- I co zamierzasz teraz zrobić, szeryfie? - spytał Boyd z urągliwym uśmiechem na twarzy.

Oczy Quenta Regana zwięzły się. Rękawy jego kurtki były w kilku miejscach porwane, a w rozdarciach widać było rany na ramionach. Bracia Barlow starannie - zaplanowali zasadzkę. Nie dali mu najmniejszych szans.

- To teraz twoja sprawa, Boyd. Musisz zakończyć to, co zacząłeś. Nie możesz zatrzymać się w pół kroku.

- Żebyś wiedział, że rozegram rzecz do końca. - Ręka trzymająca rewolwer zadrżała niebezpiecznie. - Postanowiłem zlikwidować najzręczniejszych, najtwardszych szeryfów w

Teksasie. A być może nawet na całym Zachodzie. Domyślasz się chyba, jakim szacunkiem będę się cieszył, gdy zakończę robotę.

- Może dwóch lub trzech uchyli przed tobą kapelusza.

- Całe setki, bracie. Każdy, kto jest na bakier z prawem stąd do St. Louis, przyjedzie tu, żeby uścisnąć mi dłoń.

Znając już motywy działań bandyty, szeryf mógł obrać linię obrony.

- Jasne - powiedział sarkastycznie - zjadą się tutaj całymi setkami, aby złożyć ci hołd. A potem będą cię tropić i czatować na ciebie, tak jak ty zasadzałeś się na mnie. I wyłącznie po to, żeby się potem przechwalać, że zabili człowieka, który zabił szeryfa Quenta Regana. Do diaska, Boyd, to gra warta świeczki. Umrzesz, ale przedtem staniesz się sławny. Będiesz na ustach wszystkich przynajmniej przez kilka tygodni. Do momentu aż jakiś kolejny tchórz nie postanowi pożywić się twoją sławą.

- On ma rację, Boyd - mruknął Ward, patrząc jak zahipnotyzowany na wylot lufy rewolweru, trzymanego przez brata, jak gdyby w każdej chwili oczekiwał strzału. - Urządzą sobie zawody w strzelaniu do nas. Stać się tarczą strzelecką to wątpliwa przyjemność, bracie.

- Zamknij jadaczkę, Ward! Nie widzisz, że próbuje nas przestraszyć? - Boyd przyłożył lufę rewolweru do czoła Quenta Regana, lewą zaś ręką sięgnął ku lśniącej odznace przypiętej do skórzanej kurtki, którą miał na sobie szeryf. - Nie będzie ci już potrzebna.

- A tobie będzie? - Głos Quenta Regana nie zdradzał emocji, wyczuwało się w nim jednak napięcie. Długie lata nosił tę pięcioramienną, srebrzystą gwiazdę. Widziała niejedną kulę, pokrywał ją pył prerii, spryskiwała krew złoczyńców. Ale nikt jeszcze dotąd nie zerwał jej z jego piersi.

- Zawsze chciałem mieć jedną z tych gwiazdzistych świecących blaszek. - Boyd schował odznakę do kieszeni kurtki. - A ty, Ward? Jakie jest twoje największe marzenie?

Młodszy brat milczał. Starszy rzekł urągliwie:

- Szanownemu szeryfowi ta blaszka już nie będzie potrzebna. - Spuścił wzrok ku ziemi. - Co sądzisz o jego butach?

- Niczego sobie - przyznał Ward. - Myślę, że moje nogi dobrze by się w nich czuły. Kurtka, choć nieco postrzępiona, też by mi się przydała.

- I na co ci przyszło, szeryfie? Wygląda na to, że umrzesz goły jak święty turecki. - Boyd zacisnął dłoń na kolbie rewolweru. - Najpierw oddasz nam swoją kurtkę.

Quent Regan obrzucił spojrzeniem pętlę lassa, zaciśniętą wokół jego ciała.

- Przypominam, że jestem skrupowany. Zamierzacie uwolnić mnie z więzów?

- Nie rób tego, Boyd! - zawołał Ward. - Nie ufam mu za grosz.

- Zamknij się! - odrzyknął Boyd, po czym poluźniwszy pętlę, pozwolił, by lasso opadło na ziemię.

Poczuwszy że jest wolny, Quent najpierw roztarł obolałe i zdrętwiałe ramiona. Następnie sięgnął do guzików kurtki. Boyd na ten ruch zareagował gwałtownym cofnięciem i wymierzeniem rewolweru wprost w serce przeciwnika.

Szeryf zmierzył go zimnym, taksującym spojrzeniem.

- Przecież widzisz, że nic się nie dzieje. Ani mi w głowie walczyć gołymi rękoma przeciwko dwóm wycelowanym we mnie rewolwerom. Nie chciałem cię przestraszyć.

- Nie przestraszyłeś mnie. Bywa, że człowiek się zdrygnie nawet na trzepot ptasich skrzydeł. Po prostu z takimi jak ty nigdy dość ostrożności. - Boyd mówił to przede wszystkim na użytek brata, aby go przekonać, że wciąż panuje nad sytuacją. - A teraz ściągaj kurtkę. Tylko wolno, bez żadnych gwałtownych ruchów.

Quent zrobił, jak mu rozkazano. Gdy kurtka leżała już na ziemi, Boyd wziął ją na czubek buta i zamachnąwszy się nogą, posłał w kierunku brata.

- Daruj, Ward, że trochę zakrwawiona. Poza tym nic jej nie brakuje. Wciąż może chronić przed zimnem, deszczem i wiatrem. A teraz buty, szeryfie.

- Niełatwo będzie je zdjąć, stojąc. Czy pozwolisz mi usiąść na tamtym kamieniu?

- Ale wygodniś - sarknął Boyd. - Siadaj, bylebyś tylko nie zwlekał ich do zachodu słońca.

Quent przysiadł na ogromnym głazie wygładzonym przez deszcze i zaczął ściągać pierwszy but. Jednocześnie oceniał sytuację. Z młodszym bratem powinno pójść mu łatwo. O ile wiedział, Ward jeszcze nikogo nie wysłał na tamten świat. A to oznaczało, że przeciwstawiając się stróżowi prawa, będzie musiał najpierw przełamać naturalny respekt dla człowieka z gwiazdą. Poza tym miał w tej chwili uwagę skupioną na kurtce, więc jego reakcja siłą rzeczy będzie opóźniona.

Co innego Boyd. Ten był twardym orzechem do zgryzienia. Zabił już sześciu ludzi, o których Quent wiedział, a niewykluczone, że miał na sumieniu inne morderstwa. Czyniło go to człowiekiem niebezpiecznym i zdeterminowanym. Co gorsza, pysznił się zbrodniczą działalnością. Teraz miał nadzieję wpisać na swoją listę stróża prawa, co znaczyło tyle, jakby wreszcie ustrzelił bażanta po zabiciu kilku kuropatw. Boyd Barlow był człowiekiem, któremu zabijanie sprawiało przyjemność.

Zabierając się do ściągnięcia drugiego buta, Quent dotknął dłonią schowanego za cholewą rewolweru.

Powodzenie akcji zależało od tego, czy uda się mu zająć tamtych rozmową.

- I co zamierzasz zrobić z zabraną mi odznaką? - spytał, jakby ta rzecz w tej chwili była dlań najważniejsza.

- Dobrze, że mi o niej przypomniałeś. - Boyd wyjął z kieszeni pięcioramienną gwiazdę i ustroił nią pierś. - Z tą blaszką będę miał wstęp do każdego domu. Żaden z ranczerów nie odmówi mi kolacji. - Odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem. - Ja zaś, gdy zaspokoję pierwszy głód, zażądam na deser żony ranczera, a być może nawet córki, o ile będzie jakaś córka. Na koniec każdego poczęstuję kulką.

- A niech cię, Boyd - zawtórował mu Ward, rozbawiony myślą, że jego brat będzie podszywał się pod szeryfa.

Śmiech obu był identyczny - wysoki i piskliwy, działający na nerwy. Obaj byli wysocy i chudzi, a długie i przetłuszczone jasne włosy Boyda niczym nie różniły się od włosów Warda. Podobne mieli też wąsy - rzadkie, rudawe i przesłaniające usta.

- Tak, najbliższe dni i tygodnie zapowiadają się zabawnie - podsumował Boyd.

Quent wiedział, że nie będzie miał czasu na celowanie. Ufał, że jego pierwszy strzał okaże się celny. Kiedy powali jednego z bandytów, wtedy szanse staną się wyrównane.

Wyszarpnął rewolwer i nacisnął spust. Rozległ się suchy strzał. Lufa broni kierowała się w stronę Warda.

Ten drgnął i zatoczył się. Jego twarz wyrażała ogromne zdziwienie. Otworzył usta i przycisnął dłonie do piersi. Osunął się na kolana, jakby do modlitwy.

Tymczasem Boyd błyskawicznym ruchem przypadł do ziemi i wziął na muszkę szeryfa.

Quent uratował życie tylko dzięki swemu nadzwyczajnemu refleksowi. Skoczył za głaz, pod osłoną którego był chwilowo bezpieczny. Liczył strzały i kule, które świstały na prawo i na lewo od niego.

- Boyd, pomóż mi! Zostałem trafiony. Krwawię.

Krzyki Warda wzmogły wściekłość jego brata. Strzelał jak opętany, nie mierząc, nie szukając celu, nie czekając na błąd ze strony szeryfa, tylko po prostu sypiąc gradem kul.

Quent Regan zacisnął zęby. Postanowił przeczekać. Boydowi musi wreszcie skończyć się zapas amunicji.

Spojrzał przez prawe ramię. Ward już nie klęczał, tylko leżał na ziemi, a z rany na piersi sączyła się krew, barwiąc trawę na brunatny kolor.

- Umieram, Boyd, umieram - jęczał coraz ciszej i słabiej.

W ciszy, jaka na moment zapadła, dał się słyszeć głos Boyda:

- Zapłacisz mi za to!

- Ty chcesz urządzać zawody w strzelaniu, a on tymczasem umrze. Nic cię nie obchodzi los brata? - Quent miał nadzieję, że uda mu się wywabić bandytę z kryjóWKi.

- Obchodzi, a jakże. Krew, która z niego wycieka, jest moją krwią. - Głos Boyda, pomimo całej swej mocy, wydawał się jakby zduszony. - Jeżeli on umrze, ty pójdziesz w jego ślady. Czy słyszysz mnie, szeryfie? Śmierć mojego brata okupisz własną.

Quent wiedział już, gdzie ukrył się Boyd. Tam, skąd dochodził jego głos. Nie było czasu do stracenia. Poderwał się i otworzył ogień.

Jednak miejsce, gdzie powinien znajdować się bandyta, okazało się puste. Tym razem to Boyd okazał się sprytniejszy.

Do uszu Quenta doleciał tętent kopyt końskich. Błyskawicznie odwrócił się, lecz po to tylko, by zobaczyć znikającego pośród drzew jeźdźca. Dogoni go i zastrzeli! Dopadł konia i wskoczył na siodło, gotów ścigać bandytę choćby na kraj świata. Wtedy usłyszał głos rannego:

- Wody. Spalę się w tym ogniu. Wody.

Quent zaklął wściekle. Jeżeli dziś nie dopadnie Boyda, jutro złoczyńca stanie się nieuchwytny. Będzie można go szukać od Meksyku po Terytorium Indian. Gwiazda szeryfa zapewni mu życzliwość innych ludzi. Będzie korzystał z ich gościnności, a potem ich krzywdził.

Szeryf Regan ponownie zaklął, po czym zeskoczył z konia i sięgnął po manierkę.

Godzinę później, gdy w końcu Ward Barlow rozstał się z tym światem, Quent ściągnął z niego swoją kurtkę i narzucił ją na siebie. O pościgu nie mogło być mowy. Pozostawało wracać do miasta ze zdobycznym koniem. Kiwając się w siodle, oglądał powierzchowne rany na ramionach, lecz tak naprawdę myślał zupełnie o czym innym. O ślubowaniu, że zapewni mieszkańcom tej krainy w Teksasie bezpieczeństwo i spokój.

Nagle okazało się, że nie jest to wcale takie łatwe. Że być może przyjdzie mu za to zapłacić wysoką cenę.

- Och, mój kochany tatusiu. - Gorący Rubin uklękła przed grobem ojca, po czym zmówiła krótką modlitwę. - Wiesz, jestem taka szczęśliwa, że wreszcie znalazłam się w Teksasie. Lecz moje serce jest zbolełe, gdyż sprowadziła mnie tutaj twoja śmierć.

Dotknęła otwartą dłońią mogiły, sąsiadującej z grobem Onyxa Jewela.

- Mam nadzieję, że z czasem przebaczysz mi, mamó, że przywiozłam w to miejsce twoje śmiertelne szczątki. Wiem, że wolałabyś wspaniałą marmurową kryptę w twojej ukochanej katedrze w Bayou Rouge, gdzie mogłabyś wysłuchiwać śpiewanych przez chór antyfon, psalmów i hymnów. Tylko że tutaj możesz się rozkoszować innego rodzaju

hymnami. Zawodzeniami i poświstami wiatru. Żałobnym wyciem kojotów. Podniebnym pokrzykiwaniem orłów. Poza tym - musiała przełknąć ślinę, gdyż nagle wzruszenie ścisnęło ją za gardło - czerpię pociechę z myśli, że ty i tata połączyliście się wreszcie i jesteście razem. Dobrze wiesz, że zawsze tego chciałam. Żebyśmy stali się prawdziwą rodziną, na wzór innych rodzin w Bayou Rouge.

Wpadła w melancholijny nastrój i chcąc go rozproszyć, zaczęła mówić językiem stanowiącym mieszaninę angielskiego, francuskiego i dialektu mieszkańców Luizjany. W pewnej chwili włożyła dłoń do kieszeni sukni i wyjęła garść różnokolorowych paciorków.

- Mam tu coś, co powinno cię ucieszyć, mamo. Zawsze bowiem przepadałaś za ładnymi rzeczami. - Na jej twarzy pojawił się uśmiech. - Kilka dni temu zjechał do miasta wędrowny handlarz i rozłożył kramik. Natknęłam się na niego, gdy gawędził z przemiłą starszą panią, wdową Purdy. Czy uwierzysz? Sprzedawał suszone i zmielone zioła oraz butelkowaną wodę z rzeki, zachwalając to wszystko, jakby co najmniej oferował mieszkańcom Hanging Tree eliksiry na urodę i wieczną młodość. Oburzył się, gdy powiedziałam, że takiej wody można się napić w pobliskim strumieniu. A potem stał się szorstki i całkiem już niegrzeczny. - Zmarszczyła zgrabny nosek, co ją upodobiło na chwilę do zmarłej matki. - Jedyna ładna rzecz, jaką miał, to te szklane paciorki. I one właśnie są moją małą zemstą na tym gburze.

Rozdzieliła sznury według kolorów i spojrzała na nie pod słońce. Mieniły się barwami niczym tęcza.

- Ciekawe, który z nich byś wybrała.

I jak gdyby usłyszawszy odpowiedź, oddzieliła od reszty sznur purpurowych szkiełek i położyła na kurhaniku Madeline.

- Oczywiście, masz rację. Dokonałaś trafnego wyboru. Te najbardziej do ciebie pasują. I jeżeli nie masz nic przeciwko temu, to pozostałe zatrzymam dla Świetlistego Diamentu, Jasnego Nefrytu i Różowej Perły.

Gdy wymieniała te trzy tyleż osobliwe, co piękne imiona, jej uśmiech stopniowo się pogłębiał.

- Och, ojczec, w chwili gdy odkryłam, że masz inne córki, poczułam się głęboko zraniona i upokorzona. A potem je poznałam. I radość zagościła w moim sercu. - Z jej na wpół otwartych ust uleciał dźwięczny, czysty, dziewczęcy śmiech. - *Mon Dieu!* Okazało się, że mam siostry. A ponieważ każda z nich ma męża, moja rodzina jest całkiem liczna. - Klasnęła w dłonie, jakby rozmawiała z żywymi. - Adam, Cal i Dan, bo takie imiona noszą szwagrowie, są bez wyjątku bardzo przystojni. I kulturalni. I bardzo opiekuńczy w stosunku do moich

sióstr.

Przeciągle westchnęła, jakkolwiek chyba nie była tego w pełni świadoma.

- Dobrze mi z nimi, a oni widzą mnie szczęśliwą. Lecz w głębi duszy skrywam smutek. Wszyscy są tacy zajęci. Diament i Adam wspólnie prowadzą ranczo. I, oczywiście, wkrótce urodzi się im dziecko. Perła świata bożego nie widzi poza Calem, co nie przeszkadza jej uczyć dzieci z miasta. Adoptowali dwóch chłopców, Gila i Daniela, i, doprawdy, szaleją na ich punkcie. Co się natomiast tyczy Jasnego Nefrytu i jej ukochanego pastora, to są duchowym oparciem dla wszystkich mieszkańców Hanging Tree. Zaledwie mają czas na posiłki i sen. - Gorący Rubin przygryzła dolną wargę. - Moje życie, gdy porównuję je z życiem sióstr, wydaje się puste i jałowe. Ale co mogę robić tutaj, w Teksasie? Tylko coś, o czym wiem, że nie ma większego znaczenia. Dobre siostrzyczki zakonne uznały, że strata czasu byłoby uczenie mnie czegokolwiek. Z wyjątkiem siostry Dominiki. Ona bowiem wzięła sobie za punkt honoru, że nauczy mnie robienia szwów i ściągów.

Gorący Rubin podniosła się z klęczek i otrzepała z pyłu dół sukni z czerwonego aksamitu.

- Och, mamó, zapewne wstydzisz się za mój wygląd, ale w Hanging Tree widziałam tylko dwie ładne sukienki. Od dawna marzyłam o nowej sukni i w końcu sprowadziłam materiał aż z St. Louis. Potem sięgnęłam po nożyce i igłę i wzięłam się do szycia. Biedne te kobiety, które nie nauczono szycia lub którym brak na to czasu. Wszystkie one są na łasce niejakiego Rufusa Durfee, właściciela sklepu, którego gotowe sukienki nie nadają się nawet do pracy w polu.

Słowa, które właśnie wypowiedziała, uderzyły ją nagle swą odkrywczą treścią.

- *Mon Dieu!* Ależ oczywiście! Jakaż ze mnie głupia gęś! Dotąd zastanawiałam się, czym mam zapłacić wolny czas, i nic nie przychodziło mi do głowy. I oto pomysł sam się pojawia. Dlaczego nie mam zająć się tym, co lubię? A gdybym tak otworzyła pracownię krawiecką! Wtedy nie tylko mogłabym szyć sobie najwspanialsze kreacje, lecz nadto spełniać pragnienia innych kobiet.

Uniosła spódnicę wyżej kostek i zawirowała niczym w tańcu.

- Przestałabym czuć się niepotrzebna. Upodobniłabym się do moich sióstr. Mogłabym na coś się przydać mieszkańcom twego miasta, ojcze.

Dotknęła palcami warg i przesłała w stronę grobów pocałunek.

- Wybaczcie mi, kochani rodzice. Teraz muszę pożegnać się z wami, by jak najszybciej wcielić w życie ten pomysł.

Wsunęła do kieszeni pozostałe paciorki i zgrabnie wdrapała się na bryczkę,

zaprzężoną w dwa konie. Chwycała lejce i klepnęła nimi po końskich zadach. Zaterkotały koła po twardej, czerwonej ziemi. Jadąc w stronę rancza, Gorący Rubin rozważała szczegóły swojego zamysłu, który powoli przemieniał się w całkiem konkretny plan.

Była z natury impulsywna; żywe zaprzeczenie małomówności i powściągliwości. Teraz zaś podniecenie planem założenia pracowni krawieckiej nie dawało jej wręcz usiedzieć spokojnie na ławce z oparciem. Dzięki Bogu, ojciec zostawił dość znaczny majątek. Oczywiście, prawo do spadku miały po równi wszystkie siostry. Jeżeli Diament, Nefryt i Perła zaakceptują jej projekt, to znajdą się pieniądze i będzie mogła niezwłocznie przystąpić do działania.

Konieczny był jakiś budynek, w którym mieściłaby się pracownia i gdzie mogłaby przyjmować klientki. I musi od razu zamówić spory zapas najlepszych materiałów w żywych kolorach. Mieszkanki Hanging Tree przestaną wreszcie chodzić w tych brudnoszarych samodziłach z kolonialnego sklepu Rufusa Durfee. *Non!*

Po epoce szarości i zgrzebności zapanuje moda na jedwabie i atłasy i kapelusze z piórkami. Wybuchnęła wesołym śmiechem. Kto wie, może urządzi też stoisko z kremami, robionymi według sprawdzonych receptur matki. Ostatecznie jej delikatna, gładka skóra była przedmiotem zazdrości wielu dam w Bayou Rouge.

Czyżby niewiastom z Hanging Tree nic się od życia nie należało? Dlaczego nie mają poczuć się damami? Powinny chronić twarze przed bezlitosnym teksaskim słońcem, używając odpowiednich kremów.

Po raz pierwszy od dnia przyjazdu do Teksasu czuła, że znalazła cel w życiu. Teraz już nie będzie gościem. Ma szansę stopić się z tym światem. Stanie się jedną z nich, jedną z mieszanek Hanging Tree. A siostry i ich mężowie będą z niej dumni.

Ona również zacznie chodzić z podniesioną głową. Stanie się użyteczna. Była młodą kobietą, dzieciństwo miała już za sobą. A tylko dzieci mogą pozwalać sobie na beczynność.

ROZDZIAŁ DRUGI

Szeryf Quent Regan czuł się paskudnie. Ledwie trzymał się w siodle. W lewej ręce ścisnął wodze konia, z którego zwisało ciało Warda Barlowa. Jechał prawie całą dobę bez chwili snu i odpoczynku. Od czasu do czasu pocierał przecięte bykowcem, skrwawione ramię. Bolało jak diabli i ten ból niewątpliwie wpływał na jego nastrój. Najgorsze, że Boyd Barlow, brat zabitego, przepadł bez śladu, z gwiazdą przypiętą do kurtki i wściekłością na cały świat w sercu.

Czy zdecyduje się opuścić Teksas, czy też może zaszyje się gdzieś w pobliżu, oczekując dnia wyrównania rachunków?

Myśli Quenta były równie czarne jak chmury zbierające się na horyzoncie.

Wysławszy na tamten świat około trzydziestki złoczyńców, Quent wciąż cieszył się życiem dzięki swej inteligencji i celnemu oku. To mogło wydawać się ekscytujące, ale tylko nieokrzesanemu, upartemu wyrostkowi, jakim był niegdyś. Dzisiaj przygoda zmieniła się w wyczerpującą, niebezpieczną pracę. A co więcej każdy szczeniak, który jeszcze bawił się procą, chełpił się tym, że kiedy dorośnie, strzeli między oczy szeryfowi Reganowi.

Quent jechał i pocieszał się myślą, że kiedy dotrze do domu, weźmie gorącą kąpiel, usiądzie w fotelu i nalawszy sobie dużą whisky, zapali długie cygaro. A potem zwali się na łóżko i zaśnie snem sprawiedliwego.

Minął stajnię Neville'a Oakleya, bank Byrona Connera, sklep kolonialny Rufusa Durfee i zakład fryzjerski Barneya Healeya. Wtedy uświadomił sobie, że kąpiel być może będzie musiała poczekać.

- Szeryfie Regan! - Jego zastępca Arlo Spitz wypadł na koniu z bocznej uliczki i machał kapeluszem, by ściągnąć na siebie uwagę przełożonego.

Quent zmierzył go uważnym spojrzeniem i Arlo wyhamował. Mimo że pracował z szeryfem już od czterech lat, wciąż czuł do niego szacunek pomieszany z lękiem. Wiedział lepiej od innych, że szeryf to zatwardziały samotnik. Poza tym łatwo wybuchał i lepiej było mu nie nadebrać na odcisk. Toteż Arlo wahał się dłuższą chwilę, zanim przeszedł do rzeczy. Po prostu uznał, że sprawa nie cierpi zwłoki.

Quent bacznie obserwował swojego zastępcę. Arlo cały aż drżał z podniecenia. Mogło to oznaczać tylko jedno. Chmury na niebie stawały się coraz czarniejsze.

- O co chodzi, Arlo?

- Przypomina sobie pan tego handlarza, który pojawił się u nas przed kilku dniami?

Quent kiwnął głową.

- Tego, który wciskał ludziom topiony tłuszcz węży?

- Tego samego. Więc nie uwierzysz, szeryfie. Został ograbiony.

Oczy Quenta zwięzły się niebezpiecznie.

- Nie mógłbyś wziąć tego na siebie?

- Dobrze, sir, zajmę się tym. Prawdę mówiąc, dopiero co dotarła do mnie ta wiadomość, a widząc pana, pomyślałem...

Quent przerwał mu.

- Gdzie jest w tej chwili ten handlarz? Arlo wskazał ręką.

- W naszym biurze. Pomyślałem, że zechce pan zadać mu kilka pytań.

Szeryf podał mu wodze.

- Zadbaj, żeby obejrzał go doktor, zanim pójdzie do ziemi.

. Zastępca obrzucił ciało badawczym spojrzeniem. Pechowiec zginął od jednego strzału. Nie było w tym nic dziwnego. Szeryf władał bronią w sposób zaiste mistrzowski - trafiał z biodra, prawie nie celując.

Arlo Mika razy miał okazję podziwiać umiejętności Quenta Regana. To nie był człowiek, który zadowalał się czczymi groźbami lub czerpał przyjemność z nękania przeciwnika. Po prostu wykonywał swoją robotę. I wywiązywał się z obowiązków stróża prawa nienagannie.

- Co to za nieszczęśnik?

- Ward Barlow.

- Można wiedzieć, gdzie to się stało?

- Pod Widow's Peak. Jego bratu udało się umknąć. Z moją gwiazdą. Roześlij listy gończe do wszystkich szeryfów. Napisz im, by wypatrywali Boyda Barlowa. Dodaj jego dokładny rysopis. Ten bandzior jest niebezpieczny - powiedziawszy to, Quent ruszył stępa.

Zastępca odprowadził go wzrokiem. Sądząc ze stanu kurtki szeryfa, tych dwóch bandytów obeszło się z nim nielitościwie. Ale jak zawsze, szeryf poskąpił słów. I jak zawsze, mieszkańcom miasteczka pozostaną domysły na temat tego, ile musiał znieść, zanim wyrwał się z pułapki, powalając jednego z napastników.

Znając szeryfa nieco lepiej od innych, Arlo wiedział, że Quent Regan nie spocznie, zanim nie pochwyli drugiego z braci. I nie odbierze mu swojej gwiazdy.

Śmiertelnie wyczerpany, Quent przywiązał konia do słupka i pchnął drzwi miejskiego aresztu.

- Dobry wieczór - rzekł znużonym głosem. Handlarz, który kręcił się niespokojnie po izbie, zatrzymał się w pół kroku.

- Dobry wieczór, szeryfie. Nazywam się Vernon Mathis.

Mężczyźni wymienili uścisk dłoni.

- Panie Mathis, właśnie doniesiono mi, że został pan okradziony.

- Święta prawda.

- Proszę złożyć mi szczegółową relację. - Szeryf zdjął kapelusz i powiesiwszy go na kołku, usiadł za biurkiem.

Vernon podjął wędrówkę od ściany do ściany.

- Niewiele mam do powiedzenia. Miałem dobry dzień. Niejakiej wdowie Purdy, zdaje się, że tak się przedstawiła, sprzedałem maść na wygładzenie skóry i eliksir młodości. Potem pani Witherspoon kupiła ode mnie kilka fiolek środka wzmacniającego. Pojawił się dżentelmen, Farley Duke, i ten dla odmiany zainteresował się moją kolekcją broni. Po krótkim targu ubiliśmy interes - odszedł z sześciostrzałowym remingtonem.

Quent prosił Boga o cnotę cierpliwości. Prędzej czy później, pocieszał sam siebie, ten handlarz będzie musiał przejść do rzeczy.

- Zapewne gdy rozmawiał pan z Farleyem Duke'em, cisnęli się przy kramie inni klienci?

Mathis wzruszył ramionami.

- Było ich sporo, lecz nigdy nie zapomnę złodzieja.

- A niby to dlaczego?

W głosie Vernona dały się słyszeć niskie tony.

- Myślała, że oślepi mnie swoją urodą.

- Ona? - Quent poruszył się na krześle. Handlarz kiwnął głową.

- Proszę opisać jej wygląd.

- Nigdy chyba jeszcze nie spotkałem takiej piękności: oczy jak gwiazdy, włosy koloru orzecha bądź migdała, ciało bogini, prężące się pod czerwoną suknią, kupioną najpewniej w najdroższym sklepie w St. Louis. Albo w Paryżu, we Francji. Czy znasz damę, szeryfie, która pasowałaby do tego opisu?

Quent słuchał ze zmarszczonym czołem. W pewnym momencie chciał nawet zauważyć, że jest istotna różnica między St. Louis a Paryżem, ale zaniechał tego. Pojawiły się sprawy stokroć poważniejsze. Z każdym słowem wypowiedzanym przez tego wydrwigrosza jego niepokój wzrastał. Tylko jedna kobieta odpowiadała temu opisowi. Tylko ona wywierała taki wpływ na mężczyzn.

- Skąd pan wie, że to ona właśnie dokonała kradzieży? - spytał cichym, zbyt cichym głosem.

- Zarzuciła mi, że sprzedaję tandetę.

- A czy przypadkiem tak nie jest? Handlarz zaczerwienił się.

- Mam wszystko, by sprostać różnym gustom i potrzebom. Ale nie to jest najważniejsze. Zostałem ograbiony. Widziałem, jak kradła.

- Widział pan to?

Rumieńce na policzkach Vernona nabrały ciemniejszej barwy.

- Będę szczery, szeryfie. Nie potrafiłem oderwać od niej oczu. W pewnej chwili spytała, czy może bliżej się przyjrzeć mojej kolekcji sztucznej biżuterii. Widziałem, jak wsuwa kilka sztuk do kieszeni.

- Kilka sztuk pospolitych paciorków? - Szeryf poderwał się z fotela. - Zajmuje pan mój czas z racji utraty iluś tam szkiełek?

Handlarz zmieszał się i odchrząknął.

- Przyznaję, nie były to diamenty czy perły. Pragnę jednak zaznaczyć, że za te szkiełka biorę od Cheyenne'ów wysoką cenę. To dzięki nim możliwy jest handel wśród Indian.

Quent zacisnął zęby i sięgnął do kieszeni spodni.

- Ile według pana warte są te ukradzione paciorki?

- Nie chodzi o pieniądze. Po prostu nie lubię być nabijany w butelkę przez jakąś tam tanią...

Zanim Quent uświadomił sobie, co czyni, zacisnął dłoń na gardle Mathisa. Wszystko się w nim gotowało ze złości.

- Ile? - spytał złowrogo.

- Zapłaciłem w St. Louis za trzy garście paciorków dwa dolary - wykrztusił handlarz.

- Trzy garście to ile sztuk?

- Około sześciu tuzinów.

- Dwa dolary za siedemdziesiąt szklanych naszyjników. A ile z nich zginęło?

- Około... pół tuzina.

Quent cofnął rękę, co Vernon przyjął z widoczną ulgą. Kilkakrotnie głęboko odetchnął.

W dłoni Quenta pojawił się banknot. Biorąc go, handlarz pośpiesznie dodał:

- Ale u Cheyenne'ów mógłbym je sprzedać za pięciokrotnie wyższą cenę.

Quent wyjął kolejny banknot.

- Zdaje się, panie Mathis, że ta suma powinna zrekompensować panu poniesioną stratę.

Handlarz uśmiechnął się obleśnie.

- Co się natomiast tyczy samej złodziejki...

- Mam nadzieję, że jutro rano opuści pan nasze miasto - powiedział Quent tonem nie znoszącym sprzeciwu.

- Ależ wciąż jeszcze...

- Przed wschodem słońca. Najmniejsza zwłoka będzie kosztować pana pobyt w tym areszcie.

Rzuciwszy okiem na surową, jakby wyrzeźbioną z kamienia twarz szeryfa, Mathis przełknął ślinę. Z ponurą miną kiwnął głową i wyszedł.

Kilka minut później wszedł Arlo. Rozejrzał się po pokoju i podrapał w głowę.

- Co z naszym handlarzem, szeryfie?

- Odpowiedział na wszystkie moje pytania.

- Pewnie zależało mu przede wszystkim na złapaniu złodzieja?

- Być może. Tak czy inaczej, udało mi się namówić go do wyjazdu z miasta. Im mniej tu typków sprzedających eliksiry młodości, tym lepiej. Pozbywając się go, nie możemy, niestety, uchronić przed nim mieszkańców innych miast i osiedli.

Arlo patrzył, jak jego przełożony wkłada kapelusz i kieruje się ku drzwiom. Wyczuwał, że Quent Regan jest w tej chwili niczym beczka prochu, która wybuchnie od lada iskry.

- Czy idzie pan aresztować złodzieja?

- Nie inaczej.

Wdrapując się na siodło, Quent uświadomił sobie ze smutkiem, że wanna, whisky i cygaro będą jeszcze musiały poczekać.

Rubin zsunęła szal z głowy na ramiona, aby pozwolić włosom tańczyć na wietrze. Po latach spędzonych w wilgotnym klimacie Luizjany źle znosiła suchy upał Teksasu.

Pogrążona w myślach, podekscytowana nabierającą kształtu wizją przyszłości, nie usłyszała narastającego końskiego tętentu. Dopiero kiedy jeździec zrównał się z nią, drgnęła na jego widok. Minęła dobra chwila, zanim rozpoznała w mężczyźnie miejscowego szeryfa. Mimowolnie się wzdrygnęła, jak zresztą zawsze przy spotkaniu z nim. I nie z powodu samej osoby Quenta Regana, przekonywała samą siebie. Reagowała tak na gwiazdę, którą nosił, a która była symbolem władzy i porządku. Czuła od dziecka instynktowną niechęć do tych, którzy strzegli praworządności i egzekwowali prawo. Równocześnie jednak opanowała sztukę postępowania z nimi. Ściągnęła lejce.

- Oto szeryf Regan we własnej osobie. *Enchantée*. Rada jestem, że spotykam pana.

- Doprawdy? - Wściekłość Quenta wzrastała z każdym kilometrem przebytej drogi. Teraz miał przed sobą sprawczynię tego niezwykłego zamieszania w swej duszy.

- *Oui*. Ta droga prowadzi do domu mego ojca. Może dosiadzie się pan do mnie, szeryfie? Dojedziemy akurat na kolację.

- Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, to chciałbym porozmawiać zaraz.

- Proszę bardzo - odparła, ukazując w uśmiechu olśniewająco białe zęby.

Przejrzał ją na wylot. Już nie było tak, że wystawiał się odsłonięty i bezbronny na wpływ jej uwodzicielskiego czaru. Była jak deszcz roszący spaloną słońcem ziemię. Jak pogodny wieczór po burzy. Ale on uczynił sobie tarczę ze świadomości płynących z jej strony niebezpieczeństw. Nie dzisiaj, Gorący Rubinie, pomyślał. Dziś nie zniewolisz mnie swoją urodą.

By zyskać na czasie i zebrać myśli, dość długo przywiązywał konia do kółka przy bryczce. Potem wspiął się i usiadł na ławce z oparciem.

- Dziś w naszym mieście miała miejsce kradzież. Okradziono wędrownego handlarza, Vernona Mathisa. Pomyślałem, że zwrócę się do pani o pomoc w tej sprawie.

- Do mnie? - Położyła dłoń na sercu, a na jej dziewczęcej jeszcze twarzy rozlała się słodycz niewinności. Westchnęła. - A cóż ja mogę wiedzieć o tej kradzieży?

- Pan Mathis powiedział, że widział panią wśród innych kupujących.

- Ale przecież on mnie nie zna. Jak więc mógł wskazać mnie z imienia?

- Przedstawił mi pani opis. Opisał pani suknię, włosy i... - Quent ugryzł się w język. O mało co nie powiedział „ciało”. - Tylko jedna osoba w Hanging Tree, a może nawet w całym Teksasie, mogła odpowiadać temu opisowi. Pani.

Roześmiała się perliście.

- Pochlebia mi pan, szeryfie.

Zdusił przekleństwo. Zgadywał jej grę. Próbowwała sprawić, by zapomniał o wszystkich danych sobie obietnicach.

- Nie jestem pochlebcą i nie w tym celu pani szukałem. Przyjechałem z pytaniem, czy wie coś pani o złodzieju?

- W takim razie proszę przynajmniej mi powiedzieć, co zostało ukradzione.

- Paciorki. Świecidełka. Ozdóbki.

- I to wszystko? Kiwnął głową.

Rubin zamknęła oczy, jakby starała się usilnie o czymś sobie przypomnieć. Quent skorzystał z okazji i wpatrzył się w niesforny pukiel, który opadał jej na czoło, dotykając brwi. Następnie przeniósł wzrok na smukłą szyję i jeszcze niżej, ku cienistemu rozstępowi jej krągłych, falujących piersi. Wtedy właśnie, otwierając oczy, przyłapała go na tym zdradzieckim śledzeniu. Zacisnął pięści ze złości.

- Obawiam się, szeryfie, że mimo najszczerzych chęci w niczym nie będę mogła panu pomóc. Nie przypominam sobie niczego podejrzanego.

Uniosła rękę, by odgarnąć z czoła niesforny kosmyk, i wtedy to zobaczył. Coś, co zwisało z kieszeni jej sukni i załamywało w sobie słoneczne promienie.

Zakipiał z gniewu.

A zatem nie wystarczało jej, że dzięki szczodrym zapisom ojca była jedną z najbogatszych kobiet w Teksasie. Rozumiał, że ktoś mógł kraść, chcąc nakarmić dzieci. Nie brakowało takich, którzy cierpieli głód i poniewierkę. Ale im również prawo zabraniało zagarniać cudzą własność. Ta kobieta zaś nie potrzebowała niczego. Miała wszystko. A na dodatek, indagowana, chroniła się za bezczelnym kłamstwem. Quent Regan nienawidził kłamstwa.

Postanowił jednak dać jej ostatnią szansę.

- Więc nic nie wie pani o tych szklanych paciorkach wędrownego handlarza?

Gwałtownie pokręciła głową. Na chwilę jej kasztanowoorzechowe włosy zmieniły się w pierzasty obłok wokół jej twarzy. Coś pchało ją do ucieczki. Stanowczo musiała uciec od tego mężczyzny. Od wszystkiego, co sobą reprezentował.

- Czy nie wyrażałam się dostatecznie jasno, szeryfie'? Do widzenia.

Szeryf Quent Regan zrobił coś, co go zaskoczyło. Nigdy dotąd nie stosował przemocy wobec kobiet.

ROZDZIAŁ TRZECI

Quent Regan zeskoczył z bryczki, po czym bez ostrzeżenia chwycił młodą kobietę w talii i postawił ją na ziemi.

- Ty uparta damulko! Wyczerpałaś całą moją cierpliwość. Czas, żebyś wreszcie wyznała prawdę.

Przesunął dłonie na jej ramiona i potrząsał nią bezlitośnie. Niewiele brakowało, a zacząłby ją dusić. Pełnił swą odpowiedzialną służbę już od wielu lat, nigdy jednak nie uciekł się do użycia siły przeciwko kobiecie. Ale tym razem tej nieznośnej kłamczusze udało się go sprowokować.

Na siłę nie odpowiedziała siłą. Nie miała na to żadnych szans. W pewnym momencie osłabła i opadła całym ciałem na jego pierś. Zaskoczyło go to do tego stopnia, że stracił jasność myślenia. Cały skoncentrował się na zmysłowym doznaniu. Widział przed sobą jej oczy, niczym dwie zielone sadzawki, które stopniowo rozszerzały się, jakby w wyrazie zdumienia.

Quent poczuł, że jego dusza tonie w szmaragdowej przezroczystości tych oczu. Pograżał się, gdyż był tylko mężczyzną. Powoli zaczynało brakować mu powietrza.

Rubin spostrzegła wyraz oszłomienia na twarzy Quenta i było to dla niej w jakimś sensie źródłem pociechy. Sama czuła się otumaniona i zbita z tropu. Wpadła w sidła wroga i musiała się z nich uwolnić. Wiele zależało od szybkiego działania i zachowania zimnej krwi. Czyż jej matka nie wbijała jej do głowy, że kobieta musi nauczyć się stosowania różnych sztuczek w stosunkach z mężczyznami? Najważniejszą zaś zasadą było rozbrajanie niewieścim czarem i wdziękiem.

- To jakaś straszna pomyłka, szeryfie. - Westchnęła żałośnie i głęboko, co oczywiście miało i ten skutek, że jej biust dotknął piersi szeryfa. Zatrzepotała powiekami. - Jestem niewinna.

- Niewinna?

Quent odrzucił głowę, spoglądając na nią z powątpiewaniem. W tej swojej obcisłej czerwonej sukni, uwydatniającej ponętne kształty, kobieta ta w tym samym stopniu kojarzyła się z niewinnością co Lily, ulubienica gości w saloonie Bucka. I podobnie jak Lily, potrafiła sprawić, że mężczyźni krew uderzała do głowy.

- Proszę wybaczyć, lecz w żaden sposób nie mogę się zgodzić z tą oceną.

W jednej chwili twarz jej spochmurniała, słowa zaś, które uleciały z koralowych, pięknie wykrojonych ust, stanowczo nie pasowały do damy, za jaką dotąd starała się

uchodzić. Brzmiały jak przekleństwa, przynajmniej sądząc z jej podniesionego głosu, gdyż były to francuskie słowa, Quent zaś nie znał tego języka. Gdy wyczerpała cały zapas amunicji, ponownie wsparła się całym ciałem o pierś Quenta. Bardzo dobrze pamiętała rady matki. Jeżeli powab i gniew nie odnoszą skutku, twierdziła Madeline, wtedy trzeba się uciec do świętego oburzenia, przeplatane go wyrzutami.

- Wydawałoby się, szeryfie, że bardziej zależy ci na moim przyznaniu się do winy niż na docieczeniu prawdy. A teraz proszę mnie puścić. Albo...

- Albo co? - Ani myślał jej puszczać, przeciwnie, jeszcze mocniej zacisnął dłonie na jej ramionach.

Teraz, wciąż zgodnie ze wskazaniami matki, nadszedł czas na groźbę.

- Albo sprawię, że pozbawiony zostaniesz swej funkcji.

- Przedtem będziesz musiała zmobilizować całą armię, *ma'am*.

Powiedział to z tak nieznośnie arogancką miną, iż poczuła się sprowokowana.

- Nie potrzebuję armii. Wesprze mnie moja rodzina. Musiał przyznać jej w duchu, że ta rodzina mogła wystarczyć za oddział wojska. Trzy niezależne siostry i ich mężowie mogliby przeciągnąć na swoją stronę pół miasta. I bynajmniej nie z uwagi na ogromną popularność, tylko z tego prostego powodu, iż materialna egzystencja wielu mieszkańców Hanging Tree była powiązana różnorodnymi nićmi z ranchem Jewelów.

- W porządku, panno Jewel. Przeprowadzisz swoją rodzinę i stronników. Tylko nie zapomnijcie wziąć ze sobą strzelb i noży. Pomyślcie też o wsparciu ze strony prawdziwych zawodowców, o ile takich znajdziecie. Ale w tej chwili będziesz, moja panno, stała na tej drodze do chwili, aż wyznasz mi całą prawdę.

Dumnie uniosła głowę. Zawsze do tej pory udawało się jej wyjść cało z kłopotów. Nie dopuszczała myśli, by tym razem miało być inaczej.

- Oto twoja prawda, szeryfie. Jeżeli chcesz odzyskać te różowe, karminowe i zielone paciorki, musisz zacząć szukać gdzie indziej.

Spojrzała nań triumfalnie i zdumiała się, widząc, że szeryf, zamiast się zmieszać i zrobić skruszoną minę, uśmiecha się niebezpiecznie.

- Dzięki, *ma'am*. Wdzięczny jestem za udzieloną mi pomoc.

- Jaką pomoc?

- Tak się składa, że nie wspomniałem dotąd ni słowem o kolorze tych świecidełek.

Oblała się pąsem.

- Przeciwnie. Wspomniał pan. Dobrze pamiętam.

- Nie, *ma'am*. Celowo i świadomie pominąłem ten szczegół. W rezultacie dostarczyła

mi pani dowodu, że widziała paciorki, którymi handlował Mathis.

Nie, nie może się zhańbić odwrotem!

- Pół miasta je widziało. Z faktu, że je widziałam, wcale nie wynika, że musiałam je ukraść.

- W pełni podzielam taki sposób rozumowania. Stała się nieufna. Zwycięstwo wydawało się zbyt łatwe.

- W takim razie o co chodzi? Przyznał się pan do błędu we wnioskowaniu, więc możemy na tym zakończyć naszą rozmowę. Przyrzekam, że nie będę żądała zadośćuczynienia. Puścimy w niepamięć to przykre spotkanie.

Odprężyła się i odetchnęła. Mama miała rację. Mężczyzn tak łatwo było owinąć sobie dookoła palca. Na szczęście nie musiała uciekać się do łez, mimo że w ostateczności gotowa była sięgnąć i po ten środek nacisku.

Odchyliła się do tyłu, przekonana, że szeryf tym razem ją puści. Czekало ją niemiłe rozczarowanie. Na dodatek szeryf spoglądał na nią w jakiś osobliwy sposób. Jakby nie mógł się zdecydować, czy gniewać się, czy śmiać.

- Trzyma mnie pan tak mocno, że rozerwał mi pan suknię - zauważyła z lekkim wyrzutem.

- Jeśli zniszczę pani suknię, będzie mi niezmiernie przykro z tego powodu - rzekł z nutką groźby w głosie.

Ogarnął ją niepokój. O co tak naprawdę mu chodziło? I co oznaczała ta zmiana? Jego duże dłonie zaczęły bowiem zsuwać się w dół po jej ciele. Krew buchnęła jej do policzków, a serce zaczęło bić jak oszalałe.

Nie mogła sobie przypomnieć, by kiedykolwiek matka mówiła jej, jak ma postępować w takich sytuacjach. Wszystkie rady matki odnosiły się do sztuki flirtu, ustanawiały reguły gry pomiędzy kobietą a mężczyzną. Wobec nie liczącej się z niczym zuchwałości Quenta Gorący Rubin poczuła się bezradna. To przecież on miał być olśniony i rozbrojony jej sztuczkami. Tymczasem to ona przyjmowała postawę defensywną.

W dodatku to, co działo się z jej ciałem, stanowiło dla niej zagadkę. Nie знаła przyczyny mrowienia w nogach ani źródła ciepła, które rozlewało się po całym ciele. Oddychała pośpiesznie i nieregularnie. Serce niemal wyrывało się z piersi. Obawiała się, że szeryf słyszy jego bicie.

Quent Regan tymczasem miał swoje własne problemy. Nie rozumiał, co go naszło. Być może przyczyna leżała w tym, że zbyt długo obywał się bez jedzenia i spania. Albo utracił dawną odporność na kobiece wdzięki. Tak czy inaczej, był zdziwiony swoim zacho-

waniem.

- Muszę powiedzieć, że materiał jest bardzo miły w dotyku. - Zaczął wodzić dłońmi po jej ciele. - Nieczęsto zdarzało mi się dotykać czegoś tak gładkiego i delikatnego. My, mieszkańcy Hanging Tree, zadowalaliśmy się dotąd prostą bawełną i skórą. Jeśli pani pozwoli, chciałbym nacieszyć się tym szczególnym doznaniem.

Rubinowi zabrakło powietrza. Siły odpłynęły. Zaczęła drżeć jak liść osiki. *Mon Dieu*, czy to możliwe, by miała zemdleć?

- Hm - odchrząknął Quent. - Rzeczywiście odnoszę wrażenie, jakbym gładził jednodniowe źrebie.

- Szeryfie Regan!

Rubin usiłowała uwolnić się z oplatających ją ramion, lecz on jeszcze mocniej przycisnął ją do siebie. Straciła wszelką swobodę ruchów.

Odchyliła głowę. Na próżno, zdołał dosięgnąć ustami jej warg. Było w tym pocałunku więcej gniewu niż pożądania. Dokonywano gwałtu na jej woli, nie pytano o przyzwolenie. Rubin przeżywała głęboki wstrząs.

Tym, co się stało, on również był wstrząśnięty. Nie zamierzał jej pocałować, tylko co najwyżej postraszyć.

Dopiero gdy dotknął jej ust, zrozumiał swoją pomyłkę. Pragnął fizycznego zbliżenia z nią od dnia, w którym po raz pierwszy ją ujrzał - elegancką, zgrabną, impertynencką i całą w prowokującej czerwieni. Jeden pocałunek i wszystko się w nim odmieniło. Zmierzał ku klęsce, pożądając czegoś, czego nie miał prawa pożądać.

Uniósł głowę i popatrzył na jej twarz. Boże w niebiesiech! Zatoczył się i zachwiał, jakby na skutek ciosu w splot słoneczny. Serce mu waliło, jakby od rana uganiał się na koniu po górach za bandziorami.

Co za bies w niego wstąpił? Przecież już całował w życiu kobiety. Wiele kobiet. Żadna jednak nie oddziaływała nań w ten sposób. Gorący Rubin miała smak najszlachetniejszej whisky. Uderzała do głowy. Bił od niej zapach jak od różanego ogrodu wieczorową porą.

Co gorsza, wiele wskazywało na to, że całowała się o raz pierwszy. Z drugiej strony, jej wygląd był zaprzeczeniem wyglądu niewinnego dziewczęcia.

Do stu piorunów! Przecież może spróbować raz jeszcze, żeby uzyskać pewność.

Przez krótką chwilę Gorący Rubin była przekonana, że dzielą to samo zdumienie sobą i zaskoczenie. Nagle jednak zwróciła uwagę na linię jego ust. I na te hultajskie iskierki w oczach. Jakby zapowiedź śmiechu. Czyżby ten wielki i brutalny Teksasńczyk zamierzał

naigrawać się z niej?

To ją zmusiło raz jeszcze do działania. Zebrała resztki sił i próbowała go odepchnąć. Walczyła ze skałą. Nie dał jej żadnych szans. Poczynał sobie wedle własnej woli. Tym razem jego pocałunek był delikatny jak muśnięcie skrzydeł motyla.

Zawahała się. Nie wiedziała, jak zareagować. Rozsądek nakazywał obronę i sprzeciw. Cóż z tego, kiedy ciało ją zdradziło. Uniosła dłonie i wsunęła je w rozchylenie jego kurtki. Dotknęła torsu. Westchnęła. Fale gorąca rozlewały się coraz większymi kręgami.

W tej chwili to nie jego ramiona miały nad nią władzę, tylko jej własne pragnienie. Obce i nowe. Nie mogła zdobyć się nawet na jedną myśl. Przepływały przez nią same tylko zmysłowe doznania. Ani domyślała się dotychczas, czym może być pocałunek mężczyzny.

A przecież było wielu, którzy próbowali ukraść jej całusa. Kilku z nich nawet się udało. Byli to bez wyjątku niezgrabni chłopcy o łapczywych, gorących ustach, gnębieni strasznym głodem pożądania.

On nie był chłopcem. Był mężczyzną. Mężczyzną, który smakował jej wargi, jak gdyby były miodem i ambrozją. Wydawało się, że spija z nich nektar. A równocześnie dłońmi wyczyniał z jej ciałem dokładnie to samo, co wirtuoz czyni z klawiaturą fortepianu. Wygrywał na niej melodię. Upojną i przejmującą.

Nogi ugięły się pod Rubinem. Podtrzymał ją, po czym zmierzył dziwnym, sięgającym głębi duszy spojrzeniem.

Przez chwilę walczyła o oddech. Koniecznie musiała coś powiedzieć.

- Jest pan zbyt śmiały, szeryfie.

- Tak, *ma'am*, - Głęboko odetchnął. Ta przekłeta kobieta sprawiła, że czuł się jak chłopak z nosem przy szybie wystawy sklepu kolonialnego, za którą widział słoje z cukierkami i łakociami, wiedząc zarazem, że ma w kieszeni tylko jednego centa.

- Chciałabym przypomnieć panu, szeryfie, że jestem damą.

- Tak, *ma'om*.

- Oczekuję zatem przeprosin.

- Przeprosin?

Zareagowała wyzywającym spojrzeniem.

- Za tę brutalność i nieokrzesanie, których złożył pan dowód. A także za to śmieszne oskarżenie. - Fuknęła jak kotka. - Jak gdybym musiała zniżyć się do kradzieży bezwartościowych szkiełek!

- Czyż nie o tych szkiełkach pani mówi? - Uniósł dłoń z paciorkami. - Wyjąłem je właśnie z kieszeni pani ślicznej sukni.

Oślupiała wpatrywała się w szklane naszyjniki. Rozchyliła usta, ale nie udało się jej wypowiedzieć ani jednego słowa. A więc p to mu chodziło. To, co uważała za rodzaj pieśczoły, było po prostu podstępny przeszukiwaniem jej kieszeni.

Podał jej szarmancko ramię.

- Pani pozwoli, że pomogę jej wsiąść na bryczkę. Ciagle milczała. Wprędce jednak odzyskała mowę.

- Czy mam przez to rozumieć, że wolno mi odjechać?

- Odjechać? Ależ oczywiście. Po cóż stać na tej drodze.

Pomagając jej zająć miejsce na ławce z oparciem, musiał ponownie wziąć się w karby. Wciąż czuł na wargach smak jej ust, a w nozdrzach słodkawy zapach, który czynił oddychanie rozkoszną torturą.

Zdumiała się, kiedy usiadł obok i wziął lejce.

- Gdzie zamierza pan jechać, szeryfie? Zauważył, że lekko drżą mu dłonie. To wystarczyło, by powrócił tamten gniew.

- A gdzież mamy jechać, panno Jewe? Do miejskiego aresztu.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- I dojechaliśmy - stwierdził szeryf Regan, zawracając końmi na tyłach aresztu i ściągając lejce.

Gorący Rubin zmierzyła go wzrokiem pełnym nienawiści. Próbowwała walczyć na argumenty, grozić, uciekła się nawet do łez, które jednak zdążyły już wyschnąć na jej rzęsach. Wszystko to zdało się na nic. Szeryf okazał się niewzruszony. Postanowił upokorzyć ją przed całym miastem. Była w tej decyzji jakaś zaciekłość i niemal osobista wrogość.

- Każę Arlo powiadomić pani siostry - powiedział, wprowadzając ją do środka i otwierając drzwi aresztanckiej celi.

- Dlaczego muszą dowiedzieć się o wszystkim?

- Ponieważ pani gospodyni - odparł z cierpliwością ojca tłumaczącego dziecku trudniejszy werset z Biblii - Carmelita Alvarez, może wszcząć alarm, gdy nie wróci pani na noc. Następnie zerwie z łóżka swojego męża, Rosaria, i obarczy go misją ściągnięcia wszystkich pani siostr w celu odbycia narady rodzinnej. Poza tym, panno Jewel - w głosie Quenta pojawił się sarkazm - potrzebujesz opieki i rady. Być może któraś z siostr zdoła przemówić pani do rozsądku.

A więc na razie nie zamierzał kompromitować jej przed całym miastem, pomyślała Gorący Rubin. Na razie chciał tylko zapoznać ze sprawą najbliższe osoby. Pomrukiwała niczym rozdrażniona tygrysyca, gdy wprowadzał ją do celi.

- Proszę się rozgościć, panno Jewel.

O mało nie rzuciła się nań, żeby gryźć, drapać i kopać. Usłyszała za sobą szcęk zamykanych drzwi, a zaraz potem zgrzyt przekręcanego w zamku klucza.

Tymczasem Arlo, który zażywał odpoczynku w swoim fotelu w biurze szeryfa, śledził całą tę scenę szeroko otwartymi oczyma, zaledwie dając wiarę temu, że jedna z siostr Jewel została najzwyczajniej aresztowana.

W celi obok Beau Baskin, miejscowy pijaczyna, człek tyleż nieszczęśliwy, co żaloszny, nieomal wytrzeźwiał na widok damy, za którą, podobnie jak za nim przed kilku godzinami, zatrasnęła się nielitościwa krata. Jego otwarte w wyrazie zdumienia usta zdawały się zaświadczać, że do końca nie jest pewny, czy przeżywa atak delirium, czy też to naprawdę panna Jewel we własnej osobie.

Quent zwrócił się do swojego zastępcy:

- Chciałbym, żebyś się udał na ranczo Jewelów i o wszystkim opowiedział gospodyni. Carmelita i tak ma sporo zmartwień. Poproś ją, by powiadomiła pozostałe siostry. Niech tu

przyjadą jutro z rana i jakoś wesprą tę francuską kapryśnicę.

- Rozumiem, sir. - Arlo uśmiechnął się, lecz gdy zobaczył wyraz twarzy panny Rubin, natychmiast odzyskał powagę. Ta kobieta była bardzo niebezpieczna, mimo dzielącej ją od świata kraty. I bynajmniej nie w tym znaczeniu, w jakim niebezpieczna była jej siostra, Świetlisty Diament, która nie rozstawiała się z rewolwerami. Gorący Rubin tylko dzięki swym zielonym oczom i zmysłowym wargom mogłaby każdego mężczyznę sprowadzić na manowce.

Arlo porwał z kołka kapelusz i ruszył ku drzwiom.

Kiedy zastępca wyszedł, Quent podszedł do biurka i cisnął na blat pęk kluczy. Pomimo że odwrócony był plecami do cel, wiedział, że Gorący Rubin stoi przy kracie i śledzi każdy jego ruch.

- Jestem do głębi wstrząśnięta, szeryfie. Nie wiedziałam, że potrafi pan być okrutny.

- Przykro mi, że patrzy pani na to w ten sposób. Usiadł i zaczął przeglądać leżące na biurku papiery.

Jego polecenia zostały wykonane. Arlo napisał kilkanaście listów gończych, do których dołączył list od szeryfa z Waco, informujący o ucieczce z więzienia dwóch niebezpiecznych przestępców. Quent oparł nogi o biurko i przechylił się do tyłu na koślawym krześle. Próbował się skupić. Nie było to łatwe, zważywszy, że Gorący Rubin stała kilka kroków dalej i obserwowała go.

- Zgadzam się z panią, panno Jewel - odezwał się Beau pomiędzy jednym czknięciem a drugim. - Szeryf Regan to najtwardszy gość po tej stronie Rio Grande.

- Proszę się nie wtrącać - upomniała go Gorący Rubin, co miało ten skutek, że pijaczyna zaczął poruszać grdyką, jakby pił z butelki. Ponownie zwróciła się do szeryfa, który udawał, że ją ignoruje: - Jeśli w pana planach leżało upokorzenie mnie, to oczywiście cel został osiągnięty. Gdy żona Arlo powie o wszystkim swoim przyjaciółkom, Lavinii Thurlong i Gladys Witherspoon, całe miasto będzie wytykać mnie palcami.

- Święta prawda - wypalił Beau, za wszelką cenę pragnąc dorzucić swoje trzy grosze. - Te dwa babska nie przeżyją dnia bez plotkowania.

- Ani słowa więcej, kowboju! - huknął Quent. Czuł się rozdrażniony faktem, że Rubin i Beau mają mimo wszystko rację. Effie Spitz nie dotrzymałaby tajemnicy, nawet gdyby od tego zależało jej życie. Oto dlaczego dwie największe w mieście plotkary, Lavinia i Gladys, lubiły się z nią spotykać. Effie mogła liczyć na to, że dowie się z ich ust o każdym zabójstwie i skandalu w okolicy. On, Quent, powinien wyciągnąć z tego jakieś wnioski.

- W pani słowach brak jest logiki. Skoro tak zależy pani na dobrej reputacji, to

dlaczego dopuściła się pani tej kradzieży?

- Niczego nie ukradłam. - Oblała się pąsem, widząc szydercze skrzywienie jego ust. - Mama nazywała taki postępek „małą, prywatną zemstą”. Zwykliśmy wymierzać ją ludziom, którym brak elementarnej uczciwości.

Spuściwszy nogi na podłogę, cisnął na biurko trzymane w ręku listy gończe i podszedł do kraty.

- Mało mnie obchodzi, jaką nazwę pani nadaje temu postępkowi lub jak wielu członków pani rodziny karało w ten sposób innych. Na szczęście ciągle jest tak, że prawo zabrania zabierać komuś jego własność. Moja zaś praca polega na chwytaniu tych, którzy łamią prawo.

Zacisnęła dłonie na prętach kraty.

- Miło słyszeć - rzekła lodowatym tonem - że praca sprawia panu przyjemność, szeryfie.

Położył, niby przypadkowo, dłonie na jej dłoniach.

- Sądzi pani, że aresztowanie jej sprawiło mi przyjemność?

- Nie, szeryfie! Użyjmy tu innego słowa. Zastąpmy przyjemność rozkosznym uczuciem triumfu. Masz teraz nade mną bezwzględna przewagę. Napawasz się moim poniżeniem. Chciałbyś być panem mojego życia i śmierci.

Ponownie wydało się mu, że przekroczył granicę bezpieczeństwa. Za bardzo zbliżył się do ognia. Czuł żar bijący od niej i przypomniał sobie cudowny smak jej zmysłowych, gorących warg. Była ogniem. Była kulą światła. A jednak nie cofnął się, tylko przez kratę chwycił ją za ramiona, wiedząc, że zrobił to tylko dlatego, iż nie mógł się oprzeć pragnieniu dotykania jej. Było to jakby całkiem niezależne od jego woli.

- Kobieto, być może największą przyjemnością sprawiłoby mi powieszenie cię. Lecz dzisiaj daj mi święty spokój.

Widział, jak rozszerzywszy oczy, natychmiast zwęziła je. Płonęły gniewem i buntem. Wyrażały wielką wewnętrzną siłę. Ale było w nich coś jeszcze. Coś, czego nie potrafił nazwać. Pojawiło się na jedną krótką chwilę, by natychmiast zniknąć.

Strach? Czy możliwe, by tej nieugiętej istocie nieobcy był lęk? A jeśli tak, to czy był to lęk przed bezwzględnym działaniem prawa? Przed władzą, którą uosabiał i reprezentował? Czy też może przed nim jako mężczyzną?

Cofnęła się o krok i jego ręce pozostały puste. Zaczęła rozcierać ramiona, co oznaczało, że ściskając je przed chwilą, nie kontrolował swej siły.

- Gdyby żył mój ojciec, nie traktowałbyś mnie z taką pogardą, szeryfie.

- No cóż, jest inaczej i musimy się z tym pogodzić. Nie ma człowieka, który zapewniłby pani opiekę i ochronę.

Wcisnął ręce do kieszeni kurtki, w gruncie rzeczy zadowolony, że fizyczny kontakt z tą kobietą został zerwany. Dotykanie jej łączyło się z dużym ryzykiem, groziło nieobliczalnymi konsekwencjami. Powinien to sobie zapamiętać na przyszłość.

- Gdyby żył pani ojciec, to jestem pewien, że przerzuciłby niesforną córkę przez kolano i sprawił takie lanie, iż nauczyłaby się szacunku dla prawa. - Ruszył w stronę biurka. - I proszę to sobie zapamiętać. Wobec prawa wszyscy są równi, nie ma równych i równiejszych.

- Nie proszę o lepsze traktowanie. Domagam się sprawiedliwości.

Kusiło ją, by przysiąc na brzegu pryczy. Czula się skrajnie wyczerpana. Przeżycia minionego dnia dawały znać o sobie. Ale nie zamierzała okazywać słabości. Stała więc, wyprostowana, z wysoko uniesioną głową, patrząc, jak szeryf Regan przerzuca papiery.

- Przypuszczam, że pobyt tutaj jest ceną, jaką muszę zapłacić za to, że noszę nazwisko mojego ojca. Siostra, Świetlisty Diament, powiedziała mi kilka dni temu, że nie brak takich, którym się wydaje, że muszą udowodnić coś córkom Onyxa Jewela.

- Niech to jas... - Ugryzł się w język. Nie miał zwyczaju przeklinać w obecności kobiet. Nawet takich kobiet jak Gorący Rubin. - Nic mnie nie obchodzi, jak pani się nazywa.

Zły jak szerszeń, wrzucił papiery do szuflady i zasunął ją z wielkim hałasem. Równocześnie dręczył go niepokój. Czyżby naprawdę traktował ją brutalniej, bo nosiła takie, a nie inne nazwisko? Ostatecznie wyrównał stratę, jaką poniósł handlarz, dając mu kilka dolarów. Mógł więc zadowolić się przywołaniem do porządku tej niesfornej pannicy i puścić ją do domu.

W takim razie dlaczego zamknął ją w areszcie? Ponieważ, musiał przyznać, wiadomość o kradzieży dotarła doń w dość szczególnej chwili. Po walce z braćmi i ucieczce Boyda wypełniała go wściekłość na cały świat, który po raz kolejny okazał się światem bardzo niedoskonałym. Poza tym było coś w samym Gorącym Rubinie, co go prowokowało, drażniło i nęciło.

- Wygląda pani jak prawdziwa dama, panno Jewel - odezwał się Beau, kładąc się na pryczy i okrywając kocem. - Niech mnie powiesz na najbliższym drzewie, jeśli nie jest pani najpiękniejszą więźniarką, jaką kiedykolwiek widziałem.

- Zaniknij się, kowboju - warknął Quent. Gorącemu Rubinowi słowa te widać sprawiły przyjemność, gdyż promiennie uśmiechnęła się i rzekła:

- Dziękuję. Miło jest wiedzieć, że na tym świecie prócz brutali są jeszcze dżentelmeni.

Quent poczuł, że coś gniecie go w żołądku. Czyżby zazdrość? Bzdura. Obce mu było to uczucie. Zresztą nic go nie obchodziło, że Rubin mizdrzy się do jakiegoś tam moczymordy. Co robi panna Jewel, to jej prywatna sprawa, byleby nie łamała prawa.

Powiódł dłonią po czole i ciężko westchnął.

- Zmęczony, szeryfie? - zapytał kowboj.

- To był cholernie ciężki dzień. - Opadł na oparcie krzesła.

- Szeryf walczył z bandytami pod Widów's Peak - wyjaśnił Beau na użytek Gorącego Rubinu. - Jednego z nich ustrzelił, a jego ciało przywiózł do miasta. Arlo powiedział, że jutro odbędzie się pochówek.

- Pan dzisiaj zabił człowieka? - Rubin była do głębi wstrząśnięta.

Quent Regan nie raczył odpowiedzieć.

- Pewnie nasz szeryf nie miał wyboru - wymądrzał się Beau. - Gdyby nie zabił, sam zostałby zabity. Dla bandyty kogoś zabić to tyle, co zgnieść muchę.

Gorący Rubin po raz pierwszy spojrzała na szeryfa z życzliwą uwagą. Jego kurtka była porwana i poplamiona krwią. Wyrazny cień zarostu wskazywał, że ostatnio był w drodze. Z oczu wyzierało zmęczenie. Poczula coś w rodzaju wyrzutów sumienia. Może go fałszywie oceniała. Zaraz jednak przyszło jej do głowy, że mogłaby wykorzystać jego zmęczenie na swoją korzyść.

- Wiem, czego panu potrzeba, szeryfie. Kiedykolwiek przyjeżdżał mój ojciec, mama masowała mu plecy i kark. Bardzo to lubił. Zwykł mawiać, że długa podróż z Teksasu do Luizjany nie jest mu straszna również i z tego powodu. Kwadrans takich zabiegów i człowiek zapomina, że tłuł się na koniu przez kilka dni.

Quent rzucił okiem na wąskie, o długich palcach dłonie kobiety, która w tej chwili chciała zostać siostrą miłosierdzia. Wyobraził sobie te dłonie na swoim karku i przeszedł go dreszcz. W ostatniej chwili udało mu się stłumić westchnienie. Wziął się w garść i rzekł chłodno:

- Radziłbym nie próbować mnie przekupywać, panno Jewel. Raczej to pani będzie jutro potrzebny porządny masaż. Prycza, niestety, nie jest puchowym łóżem.

Tupnęła nogą, rozgniewana, że przejrzał jej mały podstęp.

- Nie wytrzymam nocy w tym okropnym miejscu. - Spojrzała z pogardą, a zarazem lękiem na więzienną pryczę. - Nigdy jeszcze na czymś takim nie spałam. To tak, jakby spać na podłodze.

Quent wstał, by rutynowo sprawdzić, czy obie cele są dobrze zamknięte.

- To jasne, że więzienne cele nie są dla dam. Toteż damy nie powinny sięgać po cudzą

własność.

Patrzyła z posępną miną, jak bierze z kołka lampę naftową i kieruje się ku drzwiom prowadzącym na tyły budynku. Rubin w panice rozejrzała się po celi. Zobaczyła nocnik, dzban i miednicę.

- Czy zabiera pan lampę? - Czują, że ogarnia ją wewnętrzny chłód.

- Tak, *ma'am*. Światło nie jest potrzebne śpiącym. - Odwrócił się. Chybotliwy płomień lampy rzucał na jego twarz blaski i cienie. Była to wybitnie przystojna, wyrazista twarz. - Proszę wyciągnąć się na pryczy i próbować zasnąć. Gdyby czegoś było potrzeba, proszę wołać.

Zrobiła taką minę, jakby zaraz miała się rozplakać. Lecz była dzielną dziewczyną i umiała walczyć z własną słabością.

- Nie ma tu niczego, co byłoby mi potrzebne - powiedziała przez zaciśnięte zęby.

- To dobrze. W takim razie życzę dobrej nocy, *ma'am*. Do jutra, Beau.

Przekroczył próg i zamknął za sobą drzwi. W aresztanckiej izbie zapadła nieprzenikniona ciemność.

Mijały minuty, a Gorący Rubin wciąż nie ruszała się z miejsca. Walczyła ze wzrastającą paniką. Ta ciemność była jak całun, pod którym panował grobowy chłód. Czowała się jak pogrzebana za życia. Dusiała się. Oddałaby wszystko za haust świeżego powietrza. Wydawało jej się, że nie przeżyje tej nocy.

Zacisnęła dłonie na prętach kraty. Wyobraziła sobie, że ta krata to wieko trumny.

Narastał w niej szloch. Serce waliło jak młotem. Ze ściśniętego gardła wydobył się zduszony krzyk:

- Nie! Błagam, siostró Klotyldo! Już więcej tego nie zrobię. Będę grzeczna. Ja...

Nie dokończyła. Nogi ugięły się pod nią i bezwładnie osunęła się na podłogę. Leżała, nie dając oznak życia.

Quent ściągnął buty i odpiął pas z nabojami. Rewolwer wepchnął pod poduszkę, co czynił zawsze przed udaniem się spać. Zgasił lampę i nakrył się kołdrą.

Wyczerpany do cna, powinien zasnąć natychmiast. Stało się jednak inaczej. Sen nie nadchodził. Myśli krążyły wokół kobiety w celi i nie potrafił nad nimi zapanować. Bóg zsyłał mu dotychczas drobnych złodziejasków i pijanych kowbojów. W rezultacie spotkania z braćmi Barlow ubył mu trochę krwi. Natomiast dzisiejsze spotkanie z Gorącym Rubinem opłaci, wiele na to wskazywało, bezsennością. Oby tylko bezsennością!

Wolałby nie wyobrażać jej sobie leżącej na więziennej pryczy. Wolałby nie przypominać sobie drżenia jej warg, kiedy walczyła z cisnącymi się do oczu łzami. Tylko czy

te łzy nie były czasami niewieścim podstępem, sztuczką, która miała wywołać w nim wyrzuty sumienia, mimo że nie dopuścił się żadnej podłości?

Ta kobieta w celi była jedną wielką tajemnicą. Ubierała się jak ladacznica i wyglądało na to, że sprawiłby jej przyjemność flirt z najgorszym bandziorem. Równocześnie on, Quent, miał niemal pewność, że brak jej było doświadczenia erotycznego. Kto wie, może był pierwszym mężczyzną, z którym się całowała.

Poza tym trudno było przewidzieć, co Gorący Rubin za chwilę uczyni. Jej zachowanie charakteryzowała nieprzewidywalność. W jednej chwili zdolna była z tygrysyce przeobrazić się w pensjonarkę. Którą z nich była naprawdę?

I dlaczego córce Onyxa Jewela, której na niczym nie zbywało, zachciało się kraść jakieś bezwartościowe ozdóbki? Chyba z tego samego powodu, z jakiego w ogóle zdarzają się kradzieże. Złodziej chce najkrótszą drogą wejść w posiadanie upragnionej rzeczy. O jakimi jednak pragnieniu można było mówić w przypadku Gorącego Rubinu? Była wszak kobietą, której niczego nie brakowało. Z tą twarzą Madonny, ciałem kusicielki i stalowymi nerwami urodzonej złodziejki mogła mieć każde dobro tego świata.

Wydawało się oczywiste, że oblicze, które pokazuje światu, jest maską, pod którą Gorący Rubin ukrywa prawdziwą osobowość.

Nagle targnęło nim pragnienie poznania autentycznej panny Jewel. Niewątpliwie rzecz wydawała się ryzykowna. Bądź co bądź, on, Quent, był szeryfem, ona zaś, jakkolwiek na to patrzeć, okazała się złodziejką. Do tego zupełną amatorką.

- Szeryfie Regan! Szeryfie Regan!

Przewrócił się na drugi bok, próbując nie zważać na wołanie Beau. Ale tamten nie rezygnował:

- Szeryfie! Proszę się obudzić! .

- Śpij, ty rumożłopie!

- Niech pan zaraz tu przyjdzie.

- Jeszcze czego. Dosyć się dziś naharowałem. Zamknij jadaczkę. - Próbował wygodniej ułożyć się na wąskim łóżku.

- Chodzi o pannę Jewel, szeryfie. Nie widzę w ciemności, lecz chyba przydarzyło się jej coś strasznego. Lepiej niech pan sprawdzi.

Quent zaklął pod nosem, wyskoczył z łóżka i zapalił lampę. Nie założył butów, jego stopy śmiesznie plaskały o podłogę. Nie zapomniał o rewolwerze. Jednak to, co zobaczył w celi, sprawiło, że opuściła go wszelka odwaga.

Gorący Rubin leżała jak martwa na podłodze. Trzęsącą się ręką włożył klucz do

zamka i otworzył kratę. Ukląkł przy leżącej, lampę stawiając obok.

- Umarła? - zapytał Beau. Quent sprawdził puls.

- Żyje. Musiała stracić przytomność.

- Nigdy nie widziałem zemdlonej kobiety - wyznał pijaczyna. - Pewnie wygląda jak ustrzelona kaczka. I co zamierzasz zrobić, szeryfie?

Quent wziął zemdloną na ręce i dźwignął się z klęczek.

- Jeszcze nie wiem.

- Mógłbym sprowadzić doktora Prentice'a. Wystarczy jedno pana słowo, szeryfie.

- Miałbyś je, gdybym był pewien, że nie ugrzęzniesz w pobliskiej knajpie - odparł Quent z nutką irytacji w głosie. - Lepiej przyłóż głowę do poduszki.

Po chwili Gorący Rubin leżała już na łóżku w pokoju szeryfa. Ten zaś siedział obok i dotykał jej lodowatej dłoni. Musiał ogrzać zmarzniętą kobietę. Okrywszy ją więc aż po samą brodę, dorzucił drewno do pieca i rozdmuchał przygasły ogień. A gdy płomienie objęły suche szczapy, wrócił na swoje miejsce przy łóżku.

Była blada jak ściana i to najbardziej go niepokoiło. Wyszukał palcami tętnicę szyjną i odetchnął z ulgą. Puls bił, tyle że nieregularnym rytmem. Gdziekolwiek teraz błędziła świadomością, na pewno nie był to miejski areszt. Tutaj znajdowało się tylko jej ciało.

- Panno Jewel - powiedział.

Żadnej reakcji.

Potrząsnął nią delikatnie i powtórzył wezwanie.

Powieki drgnęły, rzęsy uniosły się i zobaczył jej pytające spojrzenie. Musiała sama znaleźć odpowiedź, gdyż lekko zarumieniła się i próbowała się podnieść.

Powstrzymał ją.

- Nie. Leż spokojnie. Nie chcę, żebyś znowu zemdląła.

- Zemdląłam? - spytała, szczerze zdumiona. - To niemożliwe.

- Możliwe czy niemożliwe, znalazłem cię nieprzytomną na podłodze w celi. Często ci się to zdarza?

Przełknęła ślinę.

- Nigdy jeszcze nie straciłam przytomności.

- Jakoś trudno mi w to uwierzyć. - Dopiero teraz uświadomił sobie, że mówi do niej „ty”.

Unikała jego wzroku. Ponieważ było to dość trudne, w końcu zamknęła powieki. Otworzyła je w nadziei, że sobie poszedł. On jednak nadal pochylał się nad nią.

- Spróbuj to wypić - powiedział i podał jej wziętą z nocnego stolika szklanę z

bursztynowym płynem.

- Co to takiego? - spytała podejrzliwie.

- Whisky.

Pokręciła głową. Nie zważał na to. Przystawił szklanekę do jej ust.

- Zaufaj mi. Whisky na pewno ci pomoże.

Nie miała wyboru. I jakkolwiek płyn przepalał jej gardło, dzielnie pociągnęła kilka łyków. Zakrztusiła się, a w jej oczach stanęły łzy. Czekał, aż się wykasze.

- A teraz może dowiem się wreszcie, co się wydarzyło.

- Naprawdę nie ma o czym mówić - zapewniła słabym głosem.

Ogarnęło ją nagle śmiertelne znużenie. Powieki ciążyły, jakby były z ołowiu. Zamknęły się poza jej świadomością i wolą. Słyszała głos szeryfa, ale nie rozumiała znaczenia słów. Poczula dłoń odgarniającą jej z czoła włosy. Było jej wygodnie i ciepło. Ktoś opiekował się nią, ktoś się o nią zatroszczył.

Zasnęła.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Gorący Rubin obudziła się i otworzyła oczy. Ujrzała sufit i ściany, bielejące w słonecznym świetle. Do jej uszu dochodził jakiś dziwny szmer. Spojrzała w kierunku źródła tego dźwięku. Szeryf Quent Regan stał przed wiszącym na ścianie niewielkim lustrem z brzytwą w ręce i golił namydlone policzki. Przy każdym ruchu mięśnie jego pleców i ramion grały pod złocistą skórą. Widok obnażonego do pasa, muskularnego mężczyzny był imponujący.

Szeryf musiał wyczuć na sobie jej wzrok, gdyż odwrócił głowę, ale zdążyła przymknąć oczy. Patrzyła teraz spod przymrużonych powiek. Zauważyła, że był wąski w pasie i szeroki w ramionach. Na jego torsie znaczył się trójkąt brązowego owłosienia. Nie wiedziała, że ciało mężczyzny może być aż tak piękne.

Skończywszy się golić, ochlapał twarz wodą, po czym po chwili krótkiego namysłu zanurzył w wodzie całą głowę. Myjąc włosy, nie szczędził mydła, a przy ich płukaniu parskał i fukał niczym kot. Wytarł się niebieskim ręcznikiem. Na koniec oblókł czystą koszulę z cienkiej flaneli.

Dopiero gdy kończył zapinanie guzików, zorientował się, że jest obserwowany.

- Dzień dobry - powiedział. Wcale nie patrzył życzliwie.

- Dzień dobry - odparła.

- Zaraz wyjdę, ażebyś mogła swobodnie się umyć. Usiadł na krześle i zaczął wciągać buty. Potem sięgnął po pas z nabojami. Zanim umieścił rewolwer w olstrze, dokładnie sprawdził zawartość magazynku. Srebrzysta nowa pięcioramienna gwiazda, którą wyjął z szuflady szafy, ozdobiła mu pierś.

W tym momencie nastrój Gorącego Rubinu gwałtownie się pogorszył. Przypomniała sobie bowiem, że człowiek ten zajmował się egzekwowaniem prawa. Jako jedyny przedstawiciel władzy wykonawczej w mieście mógł wymierzać karę tym, którzy łamali obowiązujące przepisy i reguły.

Wziął miednicę i dzban.

- Przyniosę czystej wody.

Wrócił z wodą po kilku minutach, by zaraz ponownie skierować się ku drzwiom.

- Millie Potter - rzekł z dłonią na klamce - przynosi codziennie rano śniadanie. Powinna się zjawić lada chwila.

Gorący Rubin pozostała sama. Rozejrzała się po pokoju. Umebłowanie było skąpe i sprowadzało się do łóżka, szafy, dwóch krzeseł i niewielkiego stołu, nie licząc stojaka na

miednicę.

Co sprawiało, że szeryf zadowolony był tak skromnymi warunkami życia? Czyżby do tego stopnia umiłował rewolwer i gwiazdę, że wystarczała mu ciasna klitka na tyłach miejskiego aresztu?

Wyskoczyła z łóżka i obejrzała się od stóp do głów. Suknia była zmięta, włosy przypominały snopek owsa. Wiedziała już, że choćby spędziła tu pół dnia, mając do dyspozycji to, co miała, nie zrobi z siebie damy. A jednak trzeba było doprowadzić się do jakiegoś takiego porządku.

Z braku grzebienia posłużyła się przy czesaniu włosów palcami. Suknię w kilku miejscach udało się jej wygładzić dłonią. Umyta w zimnej wodzie twarz odzyskała nieco blasku. Niewiele pamiętała z ostatnich wypadków wczorajszego dnia, ale mogłaby przysiąc, że zanim zapadła w sen, Quent Regan dotykał pieszczotliwie dłonią jej twarzy. Dziwna to była dłoń - zarazem szorstka i delikatna, spracowana i czuła.

W pokoju unosił się zapach będący mieszaniną końskiego potu, skóry i tytoniu. Gorący Rubin dobrze pamiętała, że podobna woń towarzyszyła jej ojcu.

Mimo wszystko trzeba było uciekać stąd jak najprędzej. Gdy otworzyła drzwi dzielące pokój szeryfa od aresztu, zobaczyła Beau i Quenta przy śniadaniu. Tyle że pierwszy posilał się w swej celi, drugi zaś siedząc przy biurku. Obaj mieli przed sobą kawę i bułeczki. Dodatkową tacę, przykrytą lnianą serwetką, widać było na brzegu blatu biurka.

- Dobrze, że jesteś - zauważył Quent. - Kawa nie zdążyła jeszcze wystygnąć. Millie nadziała dziś bułeczki wiśniową marmoladą.

- Wygląda na to, że pani Potter jest dobrym duchem tego miejsca - powiedziała Rubin, pijąc aromatyczny napój.

- To jej praca. Miasto płaci jej za żywienie więźniów. Rubin oblała się rumieńcem. Niemalże zapomniała już o przyczynie i charakterze swojej tu obecności.

- Co się zaś tyczy... - Quent przerwał i spojrzął w okno. Z dworu dobiegały głosy i chrzęst uprząży. - Oto i siostry Jewel. Dobrze jest mieć rodzinę.

Prawdziwość tych słów natychmiast została potwierdzona, gdyż drzwi otworzyły się i pierwsza energicznie wkroczyła Świetlisty Diament, która, choć brzemienna, ubrana była swoim zwyczajem w kamizelkę i spodnie z koziej skóry. Wysokie buty były oblepione błotem i krowim nawozem. Ściągnięte brwi i surowa mina świadczyły o tym, iż jest gotowa bronić Gorącego Rubinu. Jednak na widok siostry spokojnie pijącej kawę przy biurku stanęła jak wryta, a na jej twarzy odmalowała się niepewność.

- Och, dzięki Bogu, że nic ci się nie stało. - Różowa Perła, dla podkreślenia tych słów,

przycisnęła dłoń do stanika eleganckiej sukni i z ulgą odetchnęła.

Jasny Nefryt, która weszła jako trzecia, zmierzyła szeryfa gniewnym spojrzeniem.

- Tę noc przeżyliśmy targane niepokojem, szeryfie. Ze słów Arlo niezbitie wynikało, że Gorący Rubin znajduje się w areszcie.

- Tak właśnie sprawy wyglądają. Jest moją aresztantką.

- Zastanów się, co mówisz, Quent. - Świetlisty Diament nie kryła niecierpliwości. - Jakim sposobem Gorący Rubin może być uwięziona?

- Bądźmy ściśli: była do tej chwili. Bo oto przekazuję ją w wasze ręce. Mam nadzieję, iż zadbacie o to, by taka sytuacja już więcej się nie powtórzyła.

- Wyrażaj się jaśniej, szeryfie - zażądała Różowa Perła lodowatym tonem. - Dlaczego ją aresztowałeś?

- Ponieważ sięgnęła po cudzą własność.

- To prawda, siostrze? - Perła nie kryła zaskoczenia.

- To nie była kradzież w ścisłym tego słowa znaczeniu - próbowała tłumaczyć się Gorący Rubin, obrzucając Quenta niechętnym spojrzeniem.

- Więc o co właściwie szeryf cię oskarża? - dopytywała się siostra.

- Zastosowałam w praktyce zasadę „małej zemsty”. - Podenerwowana niejasnością tego wytłumaczenia, Rubin wylała na biurko trochę kawy z kubka.

Jasny Nefryt, która w szmaragdowej sukni i z gładko zaczesanymi włosami wyglądała bardzo arystokratycznie, wyjęła kubek z jej ręki i odstawia na biurko.

- Być może powinniśmy - rzekła z charakterystycznym akcentem - przedyskutować rzecz całą po powrocie do domu. - Spojrzała znacząco w stronę Beau Baskina, który pilnie przysłuchiwał się rozmowie, nie odrywając wzroku od warg obecnych w biurze dam. - Tu nie ma warunków na swobodną wymianę poglądów.

Diament od razu przeszła do rzeczy.

- Czy płacimy jakąś grzywnę? - spytała szeryfa. Quent Regan doznał pokusy. Zapłacił handlarzowi odszkodowanie przekraczające rzeczywistą wartość świecidełek. Nadarzała się okazja odebrania sobie tej kwoty. I to z niczyją krzywdą, gdyż dla sióstr Jewel były to grosze. Uznał jednak w końcu, że nie będzie małostkowy. Chciał jak najprędzej pozbyć się kobiety, która sprawiła mu większy kłopot niż liczna grupa bandziorów.

- Żadnej grzywny, moje panie. Tylko prośba, żeby Rubin traktowała prawo z należytą powagą.

Gorący Rubin rzuciła mu wyzywające spojrzenie.

- Wczoraj nie szczędziłeś mi upokorzeń, szeryfie. Ciekawa jestem, cóż takiego

odmieniło twe serce?

Wzruszył ramionami.

- Sam zadaję sobie to pytanie. Onyx Jewel był moim przyjacielem. Być może jedynym prawdziwym przyjacielem w Teksasie. Sporo mu zawdzięczam. Niech zatem będzie to jakby częściowa spłata długu.

Rubin najeżyła się, ale Świetlisty Diament nie dała jej dojść do słowa.

- Dzięki, Quent - powiedziała i objawszy siostrę ramieniem, poprowadziła ją ku drzwiom.

- Gotowa do drogi bryczka czeka na podwórzu. Konie spędziły noc w stajni Neville'a Oakleya. Jesteście mu winne za obrok i starunek.

- Załatwimy to jak należy - obiecała Diament i wszystkie cztery siostry opuściły miejski areszt, w którym mieściło się zarazem biuro i mieszkanie szeryfa.

Przedtem jednak Beau, gdy przechodziły obok jego celi, zdążył kilka razy wciągnąć głęboko przez nos powietrze.

- Niech mnie oskalpuje pierwszy Apacz, jakiego spotkam, szeryfie - rzekł, gdy zostali sami - jeśli te siostry to nie bukiet kwiatów. Jedna piękniejsza od drugiej.

Gdy człowiek na nie patrzy, to ma w głowie same zachciewajki.

Quent wprawdzie nic nie odpowiedział, lecz w duchu przyznał moczymordzie rację. Rubin w tym bukiecie była polną różą. Piękną, ale też z kolcami.

- Krawcową? - Świetlisty Diament sięgnęła po kromkę chleba z kukurydzianej mąki. - Spędziłaś noc w areszcie, ponieważ postanowiłaś zostać krawcową?

Carmelita, gospodyni i kucharka w jednej osobie, trzepnęła Diament po palcach drewnianą łyżką i zabrała talerz.

- Nie objadamy się przed głównym posiłkiem - upomniała.

Siostry pokonały niemal całą odległość dzielącą miasto od rancza, zanim Gorący Rubin, zarzucana pytaniami, zdecydowała się przerwać milczenie. Jej słowa jednak nie dotyczyły zasadniczego tematu, tylko planów na przyszłość. Oznajmiła siostrze, że zamierza otworzyć w mieście pracownię krawiecką. Powód, dla którego Quent Regan zdecydował się wziąć ją pod klucz, wciąż był osnuty mgłą tajemnicy. Jednak Świetlisty Diament nie zwykła się poddawać i kiedy usiadły wreszcie przy stole w jadalni, podjęła śledztwo.

Z kuchni dolatywały smakowite zapachy przygotowywanych potraw.

Gorący Rubin posłała siostrze mordercze spojrzenie.

- Między tymi sprawami nie ma najmniejszego związku.

- W takim razie wyjaśnij nam, proszę, co się właściwie wydarzyło - nalegała Diament.

- Quent powiedział, że dopuściłaś się kradzieży.

Rubin westchnęła, dając tym do zrozumienia, że czuje się pokrzywdzona.

- Nie chcę do tego wracać. Lepiej porozmawiajmy o moich planach na przyszłość. Przemyslałam wszystko. Potrafię szyć, i to wcale nieźle. Suknię, którą mam na sobie, sama zrobiłam. Czy zwróciliście uwagę na szwy? - Uniosła dolny rąbek sukni i pokazała siostrze.

- Z tego ściegu byłaby dumna nawet siostra Dominika.

- Siostra Dominika? - Jasny Nefryt wydawała się nieco stropiona. - Nic nie wiedziałam o tym, że masz siostrę.

- Ależ skądże! - żywo zaprzeczyła Rubin. - Mówię o siostrze zakonnej, mojej nauczycielce, a zarazem przyjaciółce z lat szkolnych. Przyjaźniłyśmy się mimo ogromnej różnicy wieku. Wiele razy ratowała mnie z opresji. Zawsze wówczas, kiedy siostra Klotylda surowo karała mnie za nieposłuszeństwo.

- I jakie to były kary? - spytała Nefryt, ścigając brwi.

Gorący Rubin lekko pobladła. Starła się dotąd nie wracać pamięcią do tamtych dni.

- Och, jej pomysłowość zasługiwała na podziw. Raz kazała mi wyszorować posadzkę refektarza.

- A inne kary? - nalegała Nefryt. Rubin wzruszyła ramionami.

- Zapomniałam. Miałam przyjaciółkę, jedyną prawdziwą przyjaciółkę w Notre Dame du Bayou, i była nią siostra Dominika. To ona wprowadziła mnie w tajniki krawiectwa. Suknia, którą mam na sobie, mech służy za dowód moich umiejętności.

- Ja również miałam wymagających nauczycieli - powiedziała Jasny Nefryt. - Dzięki nim zdobyłam wiedzę o erotycznej sztuce Wschodu.

Po twarzy Gorącego Rubinu przemknął cień melancholii. Jej doświadczeń z okresu dzieciństwa nawet nie sposób było porównywać do doświadczeń Nefrytu.

- Gdybym w mojej szkole pisnęła choć słówkiem o erotyce, siostry natychmiast odesłałyby mnie do matki.

- Przechodząc od erotyki do krawiectwa - wtrąciła się Perła - chciałabym zauważyć, że o ile siostra Dominika mogłaby pochwalić twoje ściegi, to samą suknię nie byłaby zachwycona. Nie pasuje bowiem ona do tego miejsca. Tutejsze kobiety cechuje praktyczność.

- Niezbyt trafne określenie - sarknęła Diament. - Gdyby były praktyczne, nosiłyby to co ja.

Różowa Perła uśmiechnęła się wyrozumiale.

- Kocham cię, siostrzyczko, i wiesz o tym dobrze. Ale nie ma drugiej kobiety w promieniu setek kilometrów, która prócz skór nie uznawałaby innego ubrania i nie rozstawiała

się z rewolwerem.

Teraz i pozostałe siostry się uśmiechnęły. Dobrze im było ze sobą. Miały wrażenie, że znają się od dzieciństwa. Była w tym jakaś tajemnica, gdyż dowiedziały się o sobie nawzajem dopiero po śmierci ojca, a więc kiedy były już dorosłe.

Carmelita krążyła pomiędzy jadalnią a kuchnią, dumna jak paw. Udało się jej w niedługim czasie przyrządzić całkiem oryginalne dania. Dla Diamentu miała aromatyczną mieszaninę meksykańskiego i teksaskiego chili. Perła przepadała za pieczoną na wolnym ogniu wołowiną, która była specjalnością jej matki. Jasny Nefryt najwyżej ceniła chińską kuchnię. Z kolei Gorący Rubin uznawała tylko pikantne dania, których nie sposób było jeść, nie roniąc zarazem łez. Jasny Nefryt sięgnęła po filiżankę z herbatą.

- Uważam - rzekła - że pracownia krawiecka jest bardzo dobrym pomysłem.

- I uszyłybyś sobie coś takiego? - Świetlisty Diament wskazała palcem na czerwoną suknię Gorącego Rubinu.

- A co jest złego w mojej sukience? - spytała kandydatka na krawcową.

- Och, nic takiego. - Diament wypięła duszkiem kucek maślanki, po czym wytarła usta rękawem. - Z wyjątkiem może zbyt głębokiego dekoltu, który odsłania piersi niemalże do sutek. Tył zaś ma tak opięty, że idąc, kołyszysz zadem, jak za przeproszeniem moja stara klacz Wiktoria.

Carmelita, zajęta rozkładaniem talerzy i sztućców, parsknęła śmiechem.

- Lunch gotowy - obwieściła po chwili, po czym zmierzyła brzemieną Diament krytycznym spojrzeniem. - Powinnaś jeść, a nie gadać.

Ale ta puściła mimo uszu tę uwagę.

- I jeszcze ten kolor. Jeśli zobaczy cię w tej sukience nowy buhaj Adama, zaatakuje jak amen w pacierzu.

- Skończyłaś? - spytała Rubin.

- Dopiero zaczynam. - Diament wzięła z wiklinowej tacki może z dziesięć kromek chleba. - Co gorsza, gdy byk zaszarżuje, nie będziesz mogła uciec. Spójrz na spódnicę. Przecież ty nawet z trudnością chodzisz, a co dopiero mówić o bieganiu. Wyobraź sobie Lavinie Thurlong czy Gladys Witherspoon, ubrane w suknie podobne do tej, przemierzające naszym chodem nasze miasto.

Siostry zachichotały chórem.

- A czy teraz skończyłaś? - spytała Rubin przez zaciśnięte zęby.

- Przyjmijmy, że tak. - Do fura chleba dołączyła fura chili; wydawało się, że przez ostatnie tygodnie Diament zachowywała ścisły post.

- Czy macie mnie za idiotkę? - spytała Rubin urażonym tonem.

- Ależ żadna z nas tak nie uważa - zapewniła ją Różowa Perła. - Mimo to Diament ma trochę racji. Twoje suknie wyglądają elegancko na tobie, trudno jednak wyobrazić sobie w nich miejscowe panie.

- Prawdę mówiąc, niczym by się nie różniły od kokot z saloonu Bucka - postawiła kropkę nad i Diament, udając, że nie zauważa znaczących spojrzeń Perły.

- Jestem jak najdalsza od narzucania swojego gustu innym.

Gorący Rubin, w odróżnieniu od sióstr, nie zjadła jeszcze ani okruszyny. Gnębiła ją myśl, że jeśli nie przekona do swego pomysłu najbliższej rodziny, to o zjednaniu społeczności miasteczka nie będzie mogła nawet marzyć.

- Od dziecka mi wpajano - rzekła Jasny Nefryt, i jak zwykle w jej starannie wypowiedzianych słowach wyczuwało się melodię Wschodu - że również prości zadzie odczuwają potrzebę piękna i elegancji. Dowodem na to mógłby być fakt, że Złoty Smok cieszył się takim powodzeniem.

- A potem Złoty Smok zmienił się w kaplicę zwaną Złotą Regułą. Czy to również dowód na pożądaną piękna przez maluczkich? - spytała Diament sarkastycznie, z pełnymi ustami.

Na jej spalonym od słońca ramieniu spoczęła alabastrowa dłoń Różowej Perły.

- Och, siostrze, czy ty naprawdę nie możesz przepuścić żadnej okazji do wszczynania sporów?

Diament przełknęła kęs.

- Taki już mam charakter. Ojciec zawsze powtarzał, że trzeba trzymać się wskazań zdrowego rozsądku.

- Być może za wiele go u ciebie - zauważyła Perła, po czym z ciepłym uśmiechem zwróciła się do Rubinu:

- Miasto szydziło z mojego pomysłu utworzenia szkoły. Minęło kilka miesięcy i wszyscy ją zaakceptowali. Podobnie jak mnie w roli nauczycielki. Uważam, że dobrze jest mieć marzenia. I ze swej strony gorąco namawiam cię, siostrze, żebyś za wszelką cenę próbowała je urzeczywistnić.

- Zgadza się z Perłą - powiedziała Jasny Nefryt.

- Nasze miasto to perkaliki, samodział i bawelna, przydałoby mu się trochę szyku. Niech i u nas dadzą znać o sobie nowe prądy w modzie.

- *Merci*. - Rubin spojrzała na Diament. - Byłabym niepokieszona, gdybym nie uzyskała i twojej aprobaty mojego pomysłu, *chérie*. Jeśli własna siostra mnie nie zaakceptuje,

to jak mogę oczekiwać tego od obcych?

Świetlisty Diament powiodła wzrokiem po twarzach sióstr. Zauważyła, że przestały jeść i wyraźnie na coś czekają. Odsunęła talerz niemal na środek stołu.

- Wcale nie jest tak, że cały ten pomysł uważam za chybiony. Dobrze, że chcesz zrobić użytek ze swoich umiejętności. Tylko nie oczekuj, że kobiety z Hanging Tree zaczną szturmować do drzwi twojej pracowni. Harują od rana do wieczora w polu lub przy zwierzętach. Każdy ciężko zarobiony grosz wydają na ziarno lub narzędzia. Nie ma w ich życiu miejsca na zachcianki w rodzaju kapelusza z piórkiem lub atłasowej sukni.

- W życiu każdej kobiety jest miejsce na coś miłego i ładnego - podkreśliła Gorący Rubin z przekonaniem. - Jeśli zachowam umiar, jeśli uda mi się połączyć prostotę z elegancją, będą do mnie przychodziły.

- Miejmy taką nadzieję. - Świetlisty Diament odsunęła krzesło. - Muszę wracać. Obiecałam Adamowi pomoc w ogrodzie. Dzięki za smakowitości, Carmelito. Brakuje mi twojej kuchni.

- W takim razie proszę przyjechać wraz z mężem któregoś dnia na kolację. - Carmelita miała śpiewny głos i nie sposób było odmówić jej wdzięku.

- Kto wie, może zjawię się już jutro. - Diament chwytła się każdej okazji, byleby tylko wykręcić się od gotowania, którego nie znosiła. - To da mi sposobność dowiedzenia się czegoś więcej o planach Rubinu. - Okrążyła stół, całując po kolei siostry. - Nie zamierzam odbierać ci odwagi. Perła ma rację. Musisz urzeczywistnić swoje marzenia.

- Naprawdę tak myślisz? - Rubin wydawała się nieco zaskoczona.

- Zwykłam mówić to, co myślę. Teksas jest krainą marzycieli, z których wielu ma odwagę iść za głosem serca. To słowa naszego ojca.

- Och, *chérie*. Jestem taka szczęśliwa. Tak bardzo pragnęłam twojej akceptacji.

- Więc ją masz. - Diament skierowała się ku drzwiom, lecz na progu stanęła. - Tylko nie oczekuj, że będę twoją pierwszą klientką.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Szeryfie, zbliża się południe. - Zastępca Arlo Spitz wsparł się na miotle, starając się zrównoważyć pospolitość narzędzia pracy godną miną. - Millie Potter przysłała Birdie Bidwell z zapytaniem, czy zje pan lunch u niej, czy też ma przynieść go tutaj.

Quent uniósł wzrok znad rozłożonych na biurku papierów. Zaczął masować sobie kark. Nie znosił urzędniczej mitręgi. Już wolałby nawet spoglądać w wylot lufy wycelowanego w siebie rewolweru bandyty.

- Nie jestem głodny. - Ostatni raz powiódł wzrokiem po nadesłanych listach gończych, utrwalając w pamięci nazwiska i twarze poszukiwanych przestępców. W końcu zebrał papiery i włożył je do szuflady.

- Kazała przekazać, że dzisiaj na lunch jest kurczak z kluskami.

Quent uśmiechnął się.

- Wie, jak mnie podejść. Powiedz Birdie, że wkrótce się zjawię.

Wstał zza biurka i sięgnął po wiszący na kołku kapelusz.

- Po lunchu wybieram się do Widow's Peak. Zorientuj się, czy Boyd Barlow dał od wczoraj jakiś znak życia. Postaram się wrócić przed nocą.

- Niech się pan nie martwi, szeryfie. Zrobi się, co trzeba.

Quent wyszedł z biura na szeroką, przypominającą trakt ulicę, na której widniały tu i ówdzie kupki końskiego nawozu. Idąc, myślał z niejakim rozbawieniem, że jego zastępca rozsiada się w tej chwili zapewne na jego krześle, kładzie nogi na biurko i zsuwa kapelusz na oczy. Tylko bandycki napad na miasto ze strzelaniną mógłby ruszyć Arlo z tego miejsca, a i to było dość wątpliwe.

Gdy mijał bank, coś zwróciło jego uwagę. W perspektywie ulicy, bliżej prawej strony, gęstniał tłum. Przeważali mężczyźni i chłopcy, ale było też kilka kobiet, przypominających bakalie w drożdżowym cieście. Wyciągały szyje, próbując coś zobaczyć ponad ramionami mężczyzn. Quent postanowił zbadać przyczynę zbiegowiska.

Pomiędzy Farleyem Duke'em, właścicielem tartaku, a przystojnym młodym bankierem, Byronem Connerem, stała panna Jewel w swojej opiętej, prowokującej sukni. Wszyscy troje zwróceni byli ku nie zabudowanej, porosłej trawą i krzakami działce.

Quent potrząsnął głową, uśmiechając się pod nosem. Właściwie mógł być się domyślić, że zobaczy właśnie Gorącego Rubina. Żadna inna kobieta w mieście nie ściągnęłaby tylu mężczyzn, którzy, wydawało się, lgnęli do niej jak pszczoły do miodu.

Usłyszał jej głos:

- Och, nie. Mam inne zdanie. Nie wystarczy schodek. Koniecznie trzeba zrobić kilka stopni. Żeby nie wnosić ulicznego brudu na butach do środka. I duże okna wystawowe. Gdzieś przecież muszę prezentować materiały i gotowe kreacje.

Jakie znowu kreacje? Quent nadstawił ucha niczym szpieg podsłuchujący rozmowę w kwaterze głównej przeciwnika. Całkiem zapomniał o lunchu, jaki czekał nań w domu Millie Potter.

Farley zmierzył krokami szerokość działki i coś zanotował na skrawku papieru.

- Już jutro mogę zacząć ścinać drzewa, panno Jewel. Jutro bowiem kończę robotę przy oborze Tatesów.

- Wspaniale, panie Duke. - Gorący Rubin wyjęła piękną jedwabną chusteczkę i wytarła nią czoło. Uznała jednak, że to nie wystarczy, i chusteczka znalazła się u wylotu przesmyku pomiędzy wzgórkami jej piersi. Duke i Conner zaczęli nagle jak na komendę wpatrywać się w piękną rozmówczynię.

- Dzień dobry, panowie. - Quent uznał, że dłużej nie może pozostawać biernym obserwatorem. Dotknął palcami brzegu kapelusza. - Witam, panno Jewel.

Spojrzała nań i zmrużyła oczy. Czyżby oznaczało to, że mu nie wybaczyła?

- Zamierzamy coś tu wybudować? - spytał w formie możliwie bezosobowej.

- Panna Jewel nosi się z zamiarem otwarcia pracowni krawieckiej - odparł bankier.

Szeryfowi nie udało się ukryć zaskoczenia.

- Doprawdy? A w jakim celu?

- W celu obszywania tutejszych pań - wyjaśnił cierpliwie Byron Conner.

Quent zdawał sobie sprawę, że prezentuje światu bardzo głupią minę, ale nic na to nie mógł poradzić. Jakoś trudno mu było wyobrazić sobie pannę Jewel z igłą i naporstkiem. Prawdę mówiąc, dotąd wykluczał, by potrafiła robić coś konkretnego i pożytecznego. Z wyjątkiem oczywiście fruwania po mieście niczym barwny motyl.

- Właśnie czegoś takiego potrzeba Hanging Tree - ciągnął bankier. - Nasze panie oniemieją z zachwyty.

Quent zrozumiał, jak czuje się człowiek będący świadkiem łamania norm przyzwoitości. Gdyby Gorący Rubin próbowała zaciągnąć pożyczkę jako nie znana nikomu osoba, ten sam bankier odprawiłby ją ze śmiechem. Ponieważ jednak rodzina Jewelów trzymała wszystkie pieniądze w jego banku, przymilał się i nie szczędził pochwał.

- Panie Duke, wiem od mojej siostry, Jasnego Nefrytu, że mógłby pan również podjąć się wybudowania domu i nadzorowania prac. Powiedziała mi też, że bez pana pomocy i zaangażowania nie powstałaby Złota Reguła, dawniej Złoty Smok. - Uśmiech, jakim Rubin

obdarzyła właściciela tartaku, był tak ujmujący, że mało kto by mu się oparł.

- Z wielką ochotą podejmę się tego zadania, *ma'am*. Postaram się spełnić każde pani życzenie.

- Dziękuję, panie Duke. I również panu, panie Conner. - Podała mu dłoń, a bankier ją przyjął, jak gdyby wręczono mu paczkę banknotów. - Cenię sobie pańską opinię. Dobrze jest wiedzieć, że ma się przyjaciół, którym można ufać.

- Doceniam pani życzliwość i... przyjaźń, panno Jewel.

Quent poczuł niesmak. Gorący Rubin dobrze wiedziała, co robi. Chciała sprawić, by te dwa osły skakały. jak ona im zagra.

- Jak pan sądzi, kiedy będę mogła otworzyć pracownię? - spytała.

- Jeśli pogoda utrzyma się, *ma'am*, to ściany i dach pojawią się w przeciągu trzech tygodni. Wykończenie to już pół biedy. W sumie około miesiąca. Być może pięć tygodni - odparł Farley po chwili namysłu.

- Och, to wspaniale, panie Duke. - Klasnęła w dłonie i zawirowała w tańcu radości, przy okazji odsłaniając kształtne kostki, na których widok obaj mężczyźni uśmiechnęli się z pełną aprobatą.

Zmarszczki na czole Quenta pogłębiły się. Już nawet nie wydawali mu się osłami. Doszedł do przekonania, że są to lubieżnicy.

Farley rzucił okiem na szeryfa, po czym otarł dłoń o spodnie i podał pannie Jewel.

- W takim razie, *ma'am*, jutro zjawiam się tu z całą ekipą.

- Doskonale, panie Duke. Ja też nie omieszkam przybyć. - Gorący Rubin przeniosła wzrok na bankiera. - A pan, panie Conner, będzie na bieżąco informował mnie o kosztach.

- Ma się rozumieć, *ma'am*. Będę osobiście kontrolował wszystkie wydatki. Odtąd, myślę, będzie łatwiej mnie spotkać tutaj niż w moim miejscu pracy.

Jak zapewne każdego innego mężczyznę w tym mieście, pomyślał z irytacją Quent.

Duke i Conner odeszli, Gorący Rubin zaczęła zaś przyglądać się trawiastemu płachetkowi ziemi, jakby już stał na nim marmurowy pałac.

Quent odchrząknął.

Odwróciła głowę i zmierzyła go chłodnym spojrzeniem.

- Wciąż pan tu jest, szeryfie? Myślałam, że zajmuje się pan właśnie wyłapywaniem groźnych bandytów.

- Nie widzę żadnego w zasięgu wzroku.

- A może aresztuje pan jakąś biedną i bezradną niewiastę?

Quent odchylił głowę, wybuchając śmiechem. Doprawdy, tej pannie Jewel nie sposób

było odmówić poczucia humoru.

- Nie jest pani ani biedna, ani też bezradna. A prawdę mówiąc, po tym przedstawieniu nie jestem nawet pewien, czy pasuje do pani słowo „niewiasta”.

- O jakim przedstawieniu pan mówi? - spytała, dumnie unosząc głowę.

- Proszę nie udawać pierwszej naiwnej. Te trzepoczące rzęsy. Ta falująca pierś. Ten głos przypominający trel I ten uśmiech, którym dziękowałaś Farleyowi i Byronowi. Rubinie, zarzuć pomysł pracowni krawieckiej i lepiej wybuduj teatrzyk, na którego scenie mogłabyś występować.

- Nic z tego nie rozumiem. Wszystko, co mówię i robię, wypływa ze szczerego serca. - Tupnęła nogą. - Jest pan żalonym złośliwcem.

- I arogantem - dodał, znów się śmiejąc.

- Żeby tylko - rzuciła przez ramię, odchodząc. Po chwili ją dogonił.

- Czego chcesz? - zapytała niecierpliwie.

- Niczego szczególnego. Po prostu tak się składa, że idziemy w tym samym kierunku.

- Próbował zachować powagę w głosie, słusznie przypuszczając, że nowy atak śmiechu dolałby tylko oliwy do ognia.

Gdy dochodzili do sklepu kolonialnego Rufusa Durfee, dostrzegli przed sobą trzy postacie. Były to Lavinia Thurlong, Gladys Witherspoon oraz Effie Spitz. Zdążyły dokąds w pośpiechu. Na widok szeryfa idącego w towarzystwie Gorącego Rubinu wymieniły między sobą jakieś słowa, zwolniły kroku i zrobiły miny, jakby za chwilę miała ich zaatakować dzika bestia. A może Wielka Wszetecznicą.

Gorący Rubin nie spuściła wzroku. Odważnie szła im na spotkanie.

- Czy to prawda, panno Jewel - zagadnęła Lavinia, kiedy się mijały - że spędziła pani noc w areszcie razem z Beau Baskinem?

Quent potrząsnął głową niczym znarowiony koń, lecz zanim zdołał otworzyć usta, Gorący Rubin odpowiedziała, pieszcząc uszy swym francuskim akcentem:

- Panie wybaczą, ale chyba się przesłyszałam. Czyżby naprawdę pani sugerowała, że ja i Beau spędziliśmy razem tę noc?

Oblicze Lavinii powlekło się szkarłatem, zaś stojący przed sklepem mężczyźni głośno zarechotali.

- Bo jeśli rzeczywiście taka jest pani sugestia, to musi pani również sądzić, że szeryf Regan nie tylko przyzwala na takie rzeczy, lecz w istocie im patronuje.

Czyli że biuro szeryfa zaczyna z sukcesem konkurować z saloonem Bucka.

- Bardzo dobrze pani wie, co miałam na myśli, mówiąc. .. - zaczęła Lavinia, ale nie

dane było jej skończyć.

- O ile sobie przypominam - wpadła jej w słowo Rubin - wyraziła się pani jednoznacznie.

I uznawszy, że zamknęła tym kwestię, podążyła przed siebie, z każdym krokiem bardziej wyprostowana.

Obok niej kroczył Quent, uśmiechając się nieznacznie. Trafiła kosa na kamień. Lavinia spotkała godną siebie przeciwniczkę.

Dotarli wreszcie do pensjonatu Millie Potter. Gorący Rubin weszła na schody, widząc zaś, że szeryf robi to samo, zachnęła się.

- Powinna była już dawno domyślić się, że nie sposób uwolnić się od ciebie, szeryfie. Tylko proszę mi nie mówić, że również tu się stołujesz.

- Taka właśnie jest prawda i nic na to nie poradzę, *ma'am*.

- Przypuszczam, że jesteś zadowolony. Długi język żony zastępcy szeryfa uczynił mnie przedmiotem powszechnego pośmiewiska.

- O ile te trzy damy reprezentują wszystkich mieszkańców Hanging Tree, w co wątpię.

- W takim razie nie rozumiesz ludzkiej natury. Będą rozpowszechniać o mnie niestworzone rzeczy, byleby tylko sprowadzić mnie do swego poziomu.

Quent miał co do tego poważne wątpliwości. Już sama uroda Gorącego Rubinu wyróżniała ją z otoczenia i uniemożliwiała tego rodzaju zrównanie w dół.

Wyminał ją i otworzył drzwi. Gdy przechodziła, poczuł egzotyczny, drażniący zapach jej perfum. W jednej chwili zrozumiał swój błąd. Gdyby miał trochę olej. w głowie, machnąłby ręką na lunch i wyruszył prosto do Widow's Peak, gdzie jedynym niebezpieczeństwem, jakie nań czekało, były kule bandytów.

- Jest i nasza Rubin. Co za miła niespodzianka. - Millie Potter powitała gości serdecznym uśmiechem, Trzymała w ręce dzbanek z maślanką, którą rozlewała do szklanek. - Przyznaję, że nie spodziewałam się tej wizyty.

- Przyjechałam do miasta i pomyślałam, że zostanę na lunchu.

- I dobrze zrobiłaś. - Na widok szeryfa, który właśnie wyłonił się z sieni, gospodyni jeszcze bardziej się rozpromieniła. - Jak się masz, Quent. A więc słusznie sądziłam, że przyjdziesz.

- Jak mógłbym wyrzec się kurczaka z kluskami?

- Musisz przyznać, że mam na ciebie sposoby. Siadajcie, proszę, i czujcie się jak u siebie w domu. Zaraz wracam.

Po ścianie dzbanka pociekło trochę maślanki, otarła go więc ściereczką i zniknęła w

kuchni.

Quent wymienił pozdrowienia z czterema farmerami, którzy stali pod ścianą, rozmawiając o pogodzie i tegorocznych plonach.

- Witajcie. Zdaje się, że znacie pannę Jewel. Znali ją czy nie znali, natychmiast utkwili w niej spojrzenia. Quent poczuł coś na kształt zazdrości. Gorący Rubin wszędzie wywierała na mężczyzn ten sam wpływ. Musiał jednak oddać jej sprawiedliwość - nie było to wskutek jakichś zabiegów z jej strony. Po prostu samo jej pojawienie się wystarczało, by, skądinąd rozsądni mężczyźni zamieniali się w durniów. Rozumiał to. Była piękną kobietą, a nadto obdarzoną niezwykle czarem. Rozdawała uśmiechy na prawo i lewo i było to w niej czymś naturalnym.

- Właśnie mieliśmy siadać do stołu - oznajmił jeden z farmerów. - Siadajmy więc wszyscy razem.

Nim jednak zajęli miejsca, wydarzyło się coś dziwnego. Każdy z farmerów chciał, żeby to jego krzesło przyjęła Gorący Rubin, a więc żeby zajęła miejsce w jego sąsiedztwie. Ponieważ Quent stał najbliżej, on wygrał tę osobliwą rywalizację. W rezultacie kiedy siadał, otarł się udem o jej udo i odczuł to, jakby na spodnie wylał mu się ukrop.

Millie wyłoniła się z kuchni, niosąc na półmisku ćwiartki pieczonego kurczaka. Pukle rudych włosów przylegały do zroszonego potem czoła. Za nią weszła Birdie Bidwell, córka sąsiadów, która pomagała jej w prowadzeniu pensjonatu. Jak na swoje trzynaście lat, Birdie była wyrosniętą dziewczyną i jakkolwiek trochę niezgrabna w ruchach, starała się, jak mogła, żeby niczego nie potracić i nie stłuc. Niosła miskę z kluskami, nie odrywając zarazem wzroku od Gorącego Rubinu. Uroda panny Jewel wzbudzała w niej nabożną cześć.

- Nakładajcie sobie - rzekła Millie Potter, stawiając półmisek na środku stołu.

Natychmiast ręce wyciągnęły się i cząstki parującego jeszcze kurczaka powędrowały na talerze. Kiedy stołownicy zauważyli, że Gorący Rubin siedzi nieruchomo z dłońmi złożonymi na kolanach, przypomnieli sobie o dobrych manierach i powściągnęli apetyt. Zaczęli prześcigać się w galanterii.

- Może skosztuje pani tych bułeczek? - zapytał Gus, właściciel wydatnego nosa i pięknych bokobrodów.

- Dziękuję. - Gorący Rubin zadowolona się jedną bułeczką.

- Kurczaka, panno Jewel? Polecałbym udko. - Kulturalny Gordon poszukiwał widelcem najokazalszej cząstki.

- Te kluseczki wyglądają naprawdę smaczkowicie. Czy mogę nałożyć? - Willie, bezzębny i chudy jak szczapa, podsunął miskę ze specjalnością tego domu.

- *Merci.*

Birdie zbierała opróżnione tace, półmiski i salaterki, odnosiła je do kuchni i po chwili wracała z napelnionymi.

- Przygotowałam tyle, że starczy dla każdego - uspokajała stołowników Millie Potter.

Była wdową, ale wdową niestara i wciąż urodziwą. Jej schludność była przysłowiowa, prowadziła pensjonat wręcz wzorowo. Wyrobiła sobie opinię dobrej kucharki, w związku z czym przez jej jadalnię przewijało się sporo gości. Zarabiała niewiele, wystarczająco jednak, by radzić sobie z utrzymaniem trzech córek.

W domu Millie wszystko miało jakiś wdzięk. Talerz z rysą czy wyszczerbiony z jednej strony kubek nie były wyrzucane na śmietnik, tylko wciąż służyły gościom, a ponieważ lśniły czystością i barwami, chętniej pito i jedzono z nich niżli z nowych naczyń, bo były bardziej swojskie, bardziej pasowały do tego teksaskiego życia w trudzie i znoju.

Na kredensie stał wazon z polnymi kwiatami, które mieszały swoje delikatne wonie z zapachem jabłek i cynamonu.

- Gdzie twoje pociechy, Millie? - zapytał Quent, sięgając po kruche ciastko.

- Dziewczynki są w szkole. - Millie nałapała mu do kubka kawy, po czym obsłużyła pozostałych gości. - Będą niepokieszone, kiedy się dowiedzą o dzisiejszej wizycie. Przepadają za twymi głupimi żartami, Quent.

Gorący Rubin rzuciła na szeryfa zaciekawione spojrzenie. Łatwiej było jej wyobrazić go sobie stawiającego czoło tuzinowi bandytów niż bawiącego się z trzema małymi dziewczynkami.

Millie starała się sprawiedliwie obdzielać gości swoją uwagą.

- Co cię sprowadziło do miasta w środku tygodnia, Rubinie? - spytała, stawiając przed panną Jewel szklankę z lemoniadą.

Napój okazał się smaczny i chłodny.

- Przyjechałam na spotkanie z moim bankierem i Farleyem Duke'em w związku z planowaną budową sklepu.

- Sklepu? - Ręka Millie, w której trzymała salaterkę z leguminą, zawisła w powietrzu.

- Jakiego znowu sklepu?

- Ściślej mówiąc, ma to być pracownia krawiecka połączona ze sklepem, gdzie będą sprzedawane gotowe ubrania.

- I kto to buduje? - Ciekawość Millie ujawniała się w najbardziej naturalny sposób.

Gorący Rubin uniosła jedną brew.

- Ja.

- Ty?! - Gospodyni wytrzeszczyła oczy. - A potrafisz szyć?

- Oczywiście. - Gorący Rubin powiodła spojrzeniem po zdziwionych twarzach. - Dlaczego tak wiek osobom trudno w to uwierzyć? Nauczyłam się szycia już jako mała dziewczynka. - Wzięła ze stołu czystą serwetkę i otarła nią usta. Serwetka miała dziurę. - Mogłabym nawet zrobić koronkowy obrus, a do niego serwetki.

Millie zapomniała o swoich obowiązkach gospodyni. Podeszła do Gorącego Rubinu.

- Koronkowy, powiadasz? - spytała tonem nabożnego szacunku, jak gdyby koronki należały do sfery religijnego wtajemniczenia. - Naprawdę?

Rubin kiwnęła głową. Czuła wzrastające podniecenie.

- A co byś powiedziała o koronkowych firankach? Millie spojrzała ku oknu, częściowo przesłoniętym zasłonkami z kolorowego kretonu. Po chwili westchnęła i pokręciła głową. Wracała do rzeczywistości.

- Nie stać mnie na coś takiego.

- Skąd możesz o tym wiedzieć, skoro nie znasz ceny? Mogłabyś płacić mi ratami przez dłuższy czas.

Millie zastanowiła się przez chwilę, po czym spytała:

- Kiedy mogłabyś...?

Gorący Rubin nie czekała na koniec pytania.

- To sprawa kilku tygodni, jeżeli uda mi się jutro wysłać zamówienie do San Francisco. Wiesz dobrze, że tu na miejscu nie mamy koronczarki.

- Tylko kilka tygodni? Naprawdę? - Millie nie kryła podniecenia.

- *Cha*. Więc jak? Zostaniesz moją pierwszą klientką? Po krótkiej chwili padła odpowiedź:

- Już od dawna marzę o koronkowym obrusie i firankach.

- Po lunchu wymierzmy stół i okno, po czym obliczymy koszty.

Millie kiwnęła głową.

- Jeśli nie będą przekraczały moich możliwości, to będę twoją pierwszą klientką.

Zebrała brudne talerze i zaniósła je do kuchni. W jej ruchach widać było werwę i młodzieńczość. Gorący Rubin zapomniała o jedzeniu. Układała w myślach plan działań.

Nagle poczuła na sobie czyjeś spojrzenie. Odwróciła głowę. Quent obserwował ją z jakimś dziwnym wyrazem twarzy.

- I co, szeryfie? - zagadnęła półgłosem. - Wtrącisz mnie do aresztu pod zarzutem czerpania korzyści z oszustwa?

- Nie, *ma'am* - odparł również ściszym głosem, przeznaczając te słowa tylko dla jej

uszu. - Właśnie przyszło mi do głowy, że łatwo pomylić się w ocenie drugiego człowieka. Dostrzegam u pani żyłkę do interesów.

Ocena ta sprawiła jej przyjemność. Chociaż, oczywiście, mało ją obchodziło, co szeryf Regan o niej myśli.

Tak czy inaczej, atmosfera przy stole stała się od tej chwili weselsza i swobodniejsza. Rozmowa z Millie na temat koronek nabrała rangi przełomowego wydarzenia. Żarty mężczyzn wydawały się teraz Gorącemu Rubinowi śmieszniejsze, a szarlotka bardziej słodka. Kiedy zaś po wymierzeniu stołu i okna Millie wyraziła zgodę, Gorący Rubin opuściła jej dom w szampańskim humorze.

Szła jak na skrzydłach w kierunku stajni Neville'a| Oakleya, gdzie zostawiła konia i bryczkę.

Oakley przypominał mitologicznego giganta. Ważył ponad sto kilogramów i gdziekolwiek się pojawiał, sięgał głową sufitu. Pomimo panującego skwaru stał przed kowadłem w pobliżu paleniska i formował młotem wyciągnięte z ognia końskie podkowy. Strugi potu spływały po jego obnażonym torsie, owłosionym i osmolonym.

Zobaczywszy pannę Jewel, cisnął młot i obcęgi i ruszył do stajni po jej konia. Wyprowadził go i zaprzął do bryczki. Koń przy nim wydawał się kucykiem.

- Dziękuję, parne Oakley. Ile jestem panu winna?

- Nie ma o czym mówić, panno Jewel. Opiekowałem się pani koniem tylko kilka godzin.

Gorący Rubin musiała zadrzeć głowę, by spojrzeć w oczy olbrzymowi, którego zlepienie potem czarne włosy przypominały hełm z hebanu. Mieszkańcy miasta nie darzyli go sympatią. Szeptali za jego plecami. Podobno w czasach młodości pił i wszczywał awantury. I jakkolwiek nikt od wielu lat nie widział go pijanego, nikt też nie padł ofiarą wściekłości i agresji kowala, plotka nie chciała umrzeć śmiercią naturalną i wciąż wzbogacała się o nowe szczegóły. Faktem pozostawało, że w tak małym mieście jak Hanging Tree opinia, jaką ktoś się cieszył, była jego najlepszym przyjacielem lub najgorszym wrogiem. Jeśli ktoś grzeszył w młodości, to bez względu na to, jaki później wiódł żywot, tamte jego czyny pozostawały w ludzkiej pamięci. Co gorsza, Neville Oakley samym swym wyglądem zdawał się potwierdzać prawdziwość wszystkich krążących o nim opowieści. Zrobić komuś krzywdę mógł chociażby tylko przez nieuwagę. Matki straszyły nim dzieci, a mężczyźni go unikali.

Gorący Rubin nie podzielała tej zbiorowej niechęci. Już w czasie pierwszego spotkania z Oakleyem stwierdziła, że łączy ich szczególne pokrewieństwo. Ona również ryła obiektem drwiny i plotek. Rozumiała bolesną stronę rycia w społeczności, która nie chce cię

zaakceptować.

Uniosła rękę, w której trzymała niewielki węzełek.

- Jestem przeciwnego zdania, panie Oakley. Nalegam, by przyjął pan zapłatę. Ostatecznie mój koń jadł pana owies i pił pana wodę. A moja bryczka zajmowała miejsce na pana podwórze.

Założył ręce do tyłu, wpatrując się w zawiniątko.

- Co to jest? - spytał nieufnie.

- Lunch, panie Oakley. Prosto z kuchni pani Potter. - Dotknęła węzełkiem jego imponującego torsu, tak iż poczuł się zmuszony go przyjąć.

Głośno przełknął ślinę, wzruszony tym dowodem życzliwej pamięci. Na tym jednak Rubin nie poprzestała. Wcisnęła mu w dłoń srebrną monetę.

Cofnął się gwałtownie.

- Proszę uważać, *ma'am*. Dotykając mnie, może się pani ubrudzić.

Uśmiechnęła się.

- Na brud najlepsza jest woda i mydło, panie Oakley. Poza tym brud i pot będące efektem uczciwej pracy budzą mój szacunek. - Wdrapała się na kozioł bryczki i ujęła lejce. - Miłego dnia, panie Oakley. Dziękuję za opiekę nad koniem. I proszę zjeść lunch, póki ciepły.

Cmoknęła i ruszyła, olbrzym zaś odprowadził ją życzliwym spojrzeniem. Następnie usiadł w cieniu drzewa i zajął się odwijaniem węzełka. Czynił to z taką ostrożnością, jak gdyby w środku znajdowało się dopiero co wyklute pisklę. Zobaczył połówkę kurczaka, dwie bułeczki i sporą porcję szarlotki. Wpatrywał się w te wszystko przez jakiś czas jak w święty obrazek. W końcu wytarłszy wierzchem dłoni coś pod oczyma, zaczął jeść, delektując się każdym kąskiem.

Tymczasem ze stajni wynurzył się Quent, prowadząc osiodłanego konia. Nie zamierzał podsłuchiwać. Ale stało się i teraz już całkiem nie wiedział, co ma sądzić o pannie Jewel.

Czy musiała uwodzić każdego mężczyznę, jaki stanął na jej drodze? Czy to dlatego wychodziła ze skóry, by zawrócić w głowie temu biednemu Neville'owi, że wszystko gotowa była poświęcić dla kokieterii?

Zresztą niech ją piekło pochłonie. Gdy już zaczynał zmieniać o niej zdanie jako o bezwstydnej flirciarze, właśnie potwierdziła jego poprzednią o niej opinię.

Wskoczył na siodło i ruszył galopem. Jechał w tym samym kierunku co ona. Dogoni ją i postara się czegoś więcej o niej dowiedzieć.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Oto i znów nasz szeryf. - Gorący Rubin patrzyła, jak Quent zrównuje się z bryczką. Potem jej ton z ironicznego przemienił się w chłodny. - Czy mnie ścigasz? Jeżeli tak, to zapewniam, że nie zrobiłam nic złego.

- Nie ścigam cię, panno Jewel. - Poprawił się w siodle. Była cięta jak osa. Ze wszystkich mężczyzn tylko jego nie uwodziła, nie miała swym czarem. Czyżby przeszkadzała jej w tym gwiazda, którą nosił? - Po prostu jedziemy w tym samym kierunku. Udaję się ku Widów's Peak.

Widać było, że uspokoił ją tą informacją.

- Właściwie powinnam podziękować ci za towarzystwo, gdyż ochroni mnie ono przed nudą długiej podróży.

- Proszę zaprosić mnie do bryczki i oddać mi lejce. O ile oczywiście nie masz nic przeciwko temu.

W pierwszym odruchu chciała mu odmówić. Zmiesiła jednak zamiar i przystała na propozycję.

Quent zsiadł z konia, przywiązał go do bryczki i po chwili siedział już na koźle.

- I cóż będziesz porabiał w okolicach Widow's Peak?

- Poszukiwał śladów - odparł lekkim tonem. - Bardzo często się zdarza, że stróż prawa zajmuje się tropieniem.

- I na co to?

- By się przekonać, ilu jeźdźców i kiedy przejeżdżało danym szlakiem.

- I wszystkiego tego można dowiedzieć się ze znaków na ziemi?

Kiwnął głową. Zaimponował jej.

- Od dawna jesteś szeryfem?

- Niebawem minie dziesięć lat. - Nagle zasepił się, zatapiając wzrok w bezkresnej dali. Czy naprawdę minęło już tyle czasu? Zdawać by się mogło, że nie tak dawno po raz pierwszy przypinał do kamizelki srebrzystą gwiazdę.

- I co skłoniło cię do wybrania tego zawodu, szeryfie Regan?

Uśmiechnął się, ona zaś pomyślała, że gdy nie robi tych swoich groźnych min, jest całkiem przystojny.

- Chyba zdecydowałem o tym już w kołysce - odparł, a kiedy zmarszczyła czoło, dodał: - Mój ojciec był szeryfem. Wydawało się oczywiste, że pójdę w jego ślady. Co prawda, były i takie lata, gdy naprawdę niewiele brakowało, bym znalazł się po tamtej stronie prawa.

Na szczęście, dzięki twojemu ojcu, w porę zrozumiałem swój błąd.

- Więc zdarzało ci się łamać prawo? Wzruszył ramionami.

- Byłem młody, nieokrzesany i głupi. I rozgniewany na cały świat. Niebezpieczna mieszanka.

Na próżno próbowała wyobrazić sobie szeryfa po tamtej stronie prawa.

- Na czym polegała zasługa mego ojca?

- Przypuszczam, że dostrzegł we mnie coś, czego sam nie dostrzegałem. Twój ojciec, Rubinie, był niezwykłym człowiekiem.

- Proszę mi o nim coś powiedzieć - powiedziała łagodnie.

Na twarzy Quenta odmalowało się zdumienie.

- Wydaje się, że córka powinna znać go najlepiej. Uciekła spojrzeniem w bok. Zdążył jednak zauważyć ból w jej oczach.

- Prawie w ogóle go nie znałam. Wizyty, jakie składał w Bayou Rouge, były rzadkie i krótkie.

Quent z chęcią by ją pocieszył. Nie lubił patrzeć na czyjeś cierpienie. Teraz odczuwał to podwójnie dotkliwie, gdyż oczy Gorącego Rubinu stworzone były do wyrażania samej tylko radości.

Słońce schowało się za chmury i Rubin zadrżała.

Obrzucił ją krótkim spojrzeniem.

- Zimno ci? - zapytał w trosce o jej samopoczucie. Zaprzeczyła ruchem głowy, lecz jej nie uwierzył.

Zdjął skórzaną kurtkę, nasyoną ciepłem jego ciała, i zarzucił jej na ramiona. Skóra pachniała tytoniem i końskim potem. Zapachy te znów przywiodły jej na myśl ojca. Wtuliła się w miłe ciepło.

- *Merci*, szeryfie. Urodziłam się i wyrosłam w gorącym klimacie Luizjany. Nie przywykłam jeszcze do panujących tu różnic temperatury.

Było coś takiego w *tej* młodej kobiecie, co przemawiało mu do serca. Pomimo jej usiłowań, by stworzyć wrażenie, że jest światową damą, wyczuwał w niej najczystsza niewinność. Niewinność i wrażliwość. A także głębokie pokłady smutku. Nagle wydało mu się czymś ważnym uśmiechnąć się do niej.

- Jeżeli chcesz poznać swojego ojca, spójrz wokół siebie. Bo to, co widzisz aż po horyzont, to jego ziemia. Nieliczni są ci, którym udało się wydrzeć dzikiej naturze tak wielką część. Onyx Jewel stał się człowiekiem - legendą, zanim zginął od kuli podłego tchórze. Dokonał rzeczy niezwykłej. Zawładnął tą ziemią i uczynił ją swoim domem. Potem wyruszył

na poszukiwanie najlepszej rasy bydła. Wszyscy byli mu wdzięczni za to, że obojętnie dokąd wyjeżdżał, zawsze wracał do domu. Do tej ziemi. Do swoich korzeni. Do ludzi, którzy go kochali i szanowali.

Gorący Rubin była zaskoczona głębią uczuć ujawniającą się w tych słowach.

- Nie wiedziałam, że tak wiele łączyło cię z ojcem. - Próbowała być sarkastyczna, ale bez większego powodzenia. - Przypuszczam, że chętniej szukamy przyjaźni z bogaczem niż z biedakiem.

- Miałem w nosie jego bogactwo - rzekł szorstko, wprowadzając konia w płytki, leniwie płynący strumień. - Twój ojciec był po prostu porządnym, uczynnym człowiekiem. Nigdy nie skąpił swojego czasu innym. Interesował się ich problemami. To mówi o nim więcej niż jego majątek.

Gorący Rubin ściągnęła brwi.

- W takim razie co zrobił dla mieszkańców Hanging Tree?

Quent wzruszył ramionami.

- Nigdy się nie chwalił, ale krążyło wiele opowieści.

- Opowieści? - Spoglądała w tej chwili na dłoń szeryfa, duże, silne, budzące zaufanie. A zarazem zaskakująco delikatne.

- Tak. O tym, jak darowywał i umarzał długi. Jak kazał swym kowbojom zaszlachtować jałówkę, a mięso oddać biednej wdowie lub borykającemu się z losem farmerowi. Jak po śmierci żony wskutek porodu wysłał swojego człowieka na Wschodnie Wybrzeże, by sprowadził do Hanging Tree doktora, a uczynił to z myślą, by żaden inny ranczer nie podzielił jego losu.

Gorący Rubin milczała. Czyż jej matka nie opowiadała jej o owych licznych dowodach czułości ojca, kiedy się dowiedział z jej ust, że nosi w łonie jego dziecko? A potem spadł na niego cios, ponieważ Madeline dość szybko powiadomiła go, że nie wyjdzie za niego za mąż i nie pozwoli mu zabrać córki do Teksasu.

Zaczęły piec ją oczy. Łzy gromadziły się pod powiekami. Uświadomiła sobie, ile musiał w życiu wycierpieć jej ojciec. Znosił ból ze stoicyzmem, pogodny na zewnątrz i niemal zawsze uśmiechnięty. Dlatego też ona, Gorący Rubin, myślała o nim niezmiennie jako o bogatym ranczerze, którego stać na zaspokojenie każdej zachcianki. Teraz zaś, widząc ów szmat ucywilizowanej przez niego ziemi, świadoma samotności ojca, gorąco mu współczuła. Mimo całej swej władzy i bogactwa, nie mógł mieć tego, czego pragnął najbardziej.

Żony i dzieci wokół siebie, by dawać im miłość i zapewniać dobrobyt.

- Dziękuję, szeryfie, za ten szkicowy, a przecież jakże piękny portret mojego ojca.

- Przypominasz mi go, Rubinie. Spojrzała nań ze zdumieniem w oczach.
- W jakim sensie?
- Ty również jesteś pełna zapału i życzliwa ludziom. Wszystkim ludziom.
- Skąd to wiesz, szeryfie?

Przypomniał sobie to, co widział i słyszał, siodłając konia w stajni Oakleya.

- Kilka razy zdarzyło mi się być świadkiem twych rozmów z mieszkańcami naszego miasta. Masz czas dla tych, których inni nawet nie zauważają. To piękna cecha charakteru. Nie każdy ma szczęście być nią obdarzony.

Poczuła się wzruszona.

- Porównanie z moim ojcem przynosi mi zaszczyt - bąknęła zmieszana. - Niewiele dokonałam w życiu, a już niczego takiego, z czego mogłabym być dumna.

- Jak mam to rozumieć?

Oblała się rumieńcem. Chyba posunęła się za daleko w samokrytyce.

- Nie trzeba tego rozumieć. Nie wiem, dlaczego tak powiedziałam.

Quent tak łatwo nie ustępował.

- O co chodzi, Rubinie? Dlaczego nie jesteś dumna z przynależności do rodziny Jewelów?

Chyba dała się złapać w sidła własnych słów.

- W moim mieście wszyscy wiedzieli, że ojciec matka nie są małżonkami. Przypominano mi o tym wielokrotnie, na różne sposoby, i często te przypomnienia były bardzo nieprzyjemne.

Quent zacisnął zęby. Pogрузzył się w milczeniu. Zdawało się, że cały pochłonięty był powożeniem. W rzeczywistości serce wyrywało mu się do siedzącej przy nim na koźle kobiecie. Rozumiał już, co ukształtowało jej osobowość.

Nagle bryczka podskoczyła na jakimś dużym kamieniu, przechyliła się niebezpiecznie i o mało co nie znaleźli się na ziemi. Quent instynktownie objął ramieniem towarzyszkę podróży. Był to gest najnaturalniejszy w świecie, jednak ją oblała fala gorąca.

Nie spodziewała się, że tak szybko ją puści. Zrobił o po to, żeby ściągnąć lejce. Koń zarył się w miejscu przednimi kopytami. Ręka Quenta powędrowała ku rewolwerowi na biodrze. Gorący Rubin podążyła za jego wzrokiem i zobaczyła zbitą grupę jeźdźców pędzących ku nim na złamanie karku.

- Co to za...? - Owładnął ją strach. Zakrył jej usta dłonią.

- Ani słowa - rzekł spokojnie, ale stanowczo. Zgrabnym susem zeskoczył z bryczki, po czym chwyciwszy Rubin w talii, postawił ją na ziemi. Oszołomiła ją ta nieoczekiwana zmiana

sytuacji. A także jego fizyczna bliskość. Ich oddechy mieszały się ze sobą, serca były przyspieszonym rytmem. Trwało to tylko chwilę, gdyż zaraz poprowadził ją ku drzewu, którego graby pień zapewniał osłonę. Sam zaś wrócił na drogę, by oczekiwać jeźdźców.

Tymczasem Gorący Rubin zadawała sobie pytanie jak to się dzieje, że jeden człowiek staje się dla drugiego tarczą ochronną i puklerzem.

Kiedy jeźdźcy zbliżyli się na rzut kamieniem, Quent schował rewolwer do olstra. Ośmielona tym, Gorący Rubin wyjrzała zza pnia drzewa.

- To Diament i Adam! - wykrzyknęła z ulgą. - A z nimi ich kowboje.

Kawalkada zatrzymała się w obłoku kurzu. Wysunięta nieco do przodu Świetlisty Diament patrzyła na siostrę i szeryfa z niepokojem w oczach.

- Nie spodziewaliśmy się spotkać cię na tej drodze. Quent. Czy jakieś nowe kłopoty?

- Nie te, o których myślisz - zapewnił ją z uśmiechem. - Jedziemy razem, gdyż Rubin wraca do domu, a moim celem jest Widów's Peak.

- Szukasz tam czegoś?

Quent przez chwilę ważył słowa.

- Sam nie wiem. Chcę się rozejrzeć. Może zobaczę jakieś ślady. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, to wstąpię do was w drodze powrotnej i powiem, co znalazłem.

- Jesteś u nas zawsze mile widziany - zapewniła go Diament. - Gdybyś natrafił na coś niepokojącego, wyślemy do pilnowania stad dodatkowych kowbojów. Jeśli zamierzasz wracać dzisiaj, to nie ma sensu, żebyś nadrabiał drogi. Zajedź na ranczo ojca, gdzie jeszcze zastaniesz mnie i Adama. - Jakkolwiek ogromne posiadłości Onyxa Jewela zostały rozparcelowane pomiędzy jego córki, dla każdej z nich ranczo pozostało ranczem ojca. - Carmelita pewnie już tam warzy, piecze i pichci. Zadbamy, żeby zostało coś dla ciebie.

- Nie ma nic lepszego od perspektywy zjedzenia dobrej kolacji. - Quent podszedł do bryczki z zamiarem odwiązania konia. - Carmelita to prawdziwy skarb.

Gdy się dorobię, zaproponuję wam za nią wór złota. Powiedziawszy to, włożył nogę w strzemie, lecz zaraz ją wyjął, gdyż poczuł czyjaś dłoń na ramieniu. Obok stała Gorący Rubin.

- Zapomniałeś o kurtce. Machnął ręką.

- Zatrzymaj ją. Czeka cię jeszcze długa droga, a nie wygląda mi na to, by słońce miało się ukazać zza chmur.

Skrzywiła wargi w sarkastycznym uśmiechu.

- Jesteś pewien, szeryfie, że odzyskasz swoją własność?

- Nie muszę się o to kłopotać. Wiem, gdzie mieszkasz, więc zawsze cię znajdę - zauważył nie bez ironii Quent.

Pomógł jej usadowić się na koźle, kiedy zaś ruszyła, odprowadził ją wzrokiem. Niebawem wszyscy zniknęli za szczytem pagórka.

Osaczyła go cisza tej ziemi. Wsłuchiwał się w nią przez jakiś czas. Potem dosiadł konia i pomknął galopem.

Stopniowo robiło się coraz chłodniej, jednak Quent nie czuł zimna. Myślał o Rubinie, kobiecie tak gorącej, że wystarczyło jedno jej dotknięcie, by w ten sposób ofiarowane mu ciepło czyniło go odpornym nawet na najsroźsze chłody.

- Przygotuj jeszcze jedno nakrycie, Carmelito - powiedziała Diament, gdy wyściskała się z gospodynią. - Quent Regan zapowiedział się z wizytą.

- Nasz dzielny szeryf. To wspaniale. - Carmelita wyjęła z pieca blachę z rumianymi bochenkami chleba a znając słabość Diamentu do gorącego jeszcze pieczywa. zaniósła ją w najdalszy kąt kuchni. - Im więcej mężczyzn przy stole, tym lepiej. Już mi się nie chce pichcić dla jednej gęby. - Wskazała drewnianą łyżką na Rubina. - Albo jest chora, albo pości. Albo też moja kuchnia jej nie smakuje.

- Daj spokój, Carmelito. Nie ma w tym żadnej twojej winy - zapewniła ją Rubin. - Po prostu mam na głowie dużo ważniejsze rzeczy od jedzenia.

- Widzicie mądralę? Co na tym świecie może być ważniejsze od jedzenia? Rozumieją to mężczyźni. Ci o nienasyconych apetytach, wołający o kolejną dokładkę. - Zamieszała łyżką w garnku pełnym warzyw i mięsiwa. - Kiedy Cal mieszkał tutaj, jadł prawie tyle co wasz ojciec.

- Ale wyjechał i zakochał się w Różowej Perle. W rezultacie straciłaś stołownika - powiedziała Świetlisty Diament.

- Tak. Lecz kiedy jeszcze tu pracował, zaś Adam smażył cholewki do ciebie, miałam do wykarmienia dwóch głodomorów. - Rozejrzała się po kuchni. - A właśnie. Co z Adamem?

- Poszedł pogadać z kowbojami. Miał też nadzieję spotkać Cała. - Przysunąwszy się do gorącego jeszcze chleba, Diament zdążyła odłamać przylepkę, zanim drewnianą łyżką dostała po palcach.

- To i przed kotem łatwiej coś ochronić! - wykrzyknęła Carmelita, udając oburzenie. - Jazda stąd, bo inaczej nic nie zostanie na kolację.

Gorący Rubin parsknęła śmiechem. Zachowanie Diamentu zabawnie kontrastowało z faktem, że była w poważnym stanie. Siostry wciąż chichotały, gdy drzwi się otworzyły i wszedł Adam w towarzystwie Quenta Regana.

- Z czego się śmiejecie? - zapytał, całując gospodynię w nadstawiony policzek.

- Pewne rzeczy się nie zmieniają - odparła Carmena, a w jej oczach błyszczały iskierki

humoru. - Małżeństwo nie odmieniło twej żony. Wciąż jest tą samą niegrzeczną dziewczyną, którą łąjałam niegdyś aż do znudzenia.

- Gdyby mimo wszystko się zmieniła - rzekł Adam, spoglądając czule na małżonkę - musiałbym wyruszyć v świat w poszukiwaniu owej niegrzecnej dziewczyny, która zawróciła mi w głowie.

Carmelita podała dłoń Quentowi, przedtem otarłszy ją o fartuch.

- Witam, szeryfie. Gość w dom, Bóg w dom. Cieszę się, że pokosztujesz mojej kolacji.

- Nie ma nic lepszego od domowego jedzenia, a twego w szczególności - rzekł z uśmiechem Quent.

- Carmelita doczekała się wreszcie swojego wymarzonego mężczyzny - powiedziała z ironią Świetlisty Diament. - Dla niej największym szczęściem jest urobić sobie ręce po łokcie dla takiego niewdzięcznego łakomczucha.

- Mój ideał kobiety - rzekł Quent, po czym powiesiwszy kapelusz na kołku, umył ręce w stojącej przy drzwiach miednicy.

Gdy wszyscy zasiedli już przy stole i każdy nabrał na talerz chili i duszonego mięsa, Diament zapytała:

- Co z Boydem Barlowem, Quent? Natrafiłeś na jego ślady w pobliżu Widow's Peak?

Potrząsnął głową.

- Przepadł jak kamień w wodę. Żadnego śladu, że nadal przebywa w tej okolicy. Jednak w drodze powrotnej wstąpiłem do Franka i Nellie Cooperów i Frank powiedział mi, że kilka dni temu widział jakiegoś jeźdźca na wzgórzach.

- To mógł być jeden z naszych kowbojów.

- W pierwszej chwili też tak pomyślałem, lecz Frank przysięga, że był to obcy. Jechał na koniu bardzo podobnym do ukradzionego z sąsiedniego rancza. Jednak Nellie mówi, że oczy Franka nie są już takie jak dawniej.

- Ojciec zwykł mawiać, że gospodarzenie w tych stronach jest dla młodych i głodnych - mruknęła Diament.

Adam się uśmiechnął.

- Pewnie nas miał na myśli. Jesteśmy młodzi i głodni.

- Pragnę zauważyć, że zaspokoiliśmy już pierwszy głód - rzekł Quent, ponownie nabierając na talerz duszonej wołowiny. - Młodym i głodnym dopiero wtedy dobrze, gdy mają swoją Carmelitę.

Gospodyni postawiła przed nim kubek z gorącą kawą.

- A tobie, szeryfie, potrzebna jest żona, która by się tobą opiekowała.

- Stokrotne dzięki. Arlo już dawno temu upatrzył mnie sobie na powiernika. Potrafi żalić się na swoją żonę całymi godzinami. Nie chciałbym znaleźć się w jego sytuacji. Wolę gospodynię. Ale tylko taką, której kuchnia dorównywałaby twojej, Carmelito.

- Żony mogą być dobre pod innymi względami - rzucił Adam, udając, że nie dostrzega szkarłatnego rumieńca żony.

Świetlisty Diament, pragnąc ukryć zmieszanie, wypaliła:

- Żona Arlo to idiotka. A odkąd przestaje z Lavinią Thurlong i Gladys Witherspoon, stała się już całkiem nieznośna. Wciąż tylko plotkują albo o czymś tam szepczą między sobą. Bywają szczęśliwe tylko wtedy, kiedy ktoś przez nie cierpi.

Adam zachichotał.

- Widzę, że wsiadasz na swego ulubionego konika.

Gorący Rubin przestała jeść. Stwierdziła, że nie jest głodna. Wciąż miała przed oczyma scenę, jaka rozegrała się przed sklepem kolonialnym. Jakkolwiek zachowała wtedy zimną krew, poczuła się zraniona słowami Lavinii. Nie pierwszy to raz, kiedy doświadczyła na sobie okrucieństwa innych. Pobyt w Notre Dame du Sayou obfitował w takie wydarzenia. To tam hartowała swą duszę na drwiny i docinki ze strony nienagannie wychowanych koleżanek.

Patrząc na posmutniałą twarz Rubinu, Quent odgadł powód jej milczenia. Postanowił wyrwać ją z tego smutku, odciągnąć jej myśli od przykrych przeżyć.

- Możesz być dumna, Diamencie, z dzisiejszego sukcesu siostry - powiedział mocnym głosem. - Czy już wiesz, że złowiła pierwszą klientkę?

- Kogo?

- Millie Potter - odparł, zadowolony, że przygnębienie Rubinu ustępuje miejsca ożywieniu. - Rubin namówiła ją podczas lunchu na nowy koronkowy obrus.

- Ależ to cudownie! - Diament uściśnęła dłoń siostry. - Pensjonat Millie Potter to najlepsze miejsce wystawowe.

- Pomyślałam dokładnie to samo. Jeżeli uda mi się zainteresować moją pracą dwie lub trzy miejscowe panie, inne nie pozostaną obojętne.

- Więc na razie rezygnujesz z szycia sukien? - zapytała Diament.

Gorący Rubin wzruszyła ramionami.

- Wszystko rozstrzygnie się w najbliższym czasie Potrafię szyć suknie, ale mogę też wymodelować kapelusz, utkać makatę lub skroić męską koszulę. Jest mi obojętne, co robię, bylebym robiła to dobrze i za pieniądze.

Na napomnienie o męskiej koszuli Quent obrzucił swoją krytycznym spojrzeniem.

- Moja koszula ma mnóstwo dziur, ja zaś nie mac czasu ich zacerować. Czy mógłbym zamówić u ciebie podobną?

Gorący Rubin uśmiechnęła się, po raz pierwszy od dłuższego czasu.

- Prośba nietrudna do spełnienia, szeryfie. Najpierw jednak trzeba wziąć miarę.

- Żaden problem. - Napił się kawy. - Czy moglibyśmy zrobić to po kolacji?

- Oczywiście.

Carmelita rozstawiła pucharki z mrożonymi brzoskwiniami, przybranymi bitą śmietaną. Przy stole zapadło milczenie. Każdy rozkoszował się przepysznym deserem.

Gorący Rubin czuła się tak, jakby siedziała w pełnym słońcu. Skąd to ciepło, które zalewało ją falami? Tłumaczyła sobie, że to skutek przejedzenia. Bo w żadnym przypadku źródłem tych sensacji nie mogła być myśl, że niebawem będzie mierzyła klatkę piersiową ramiona Quenta.

Mimo to po skończonym posiłku uparła się pomagać gospodyni w sprzątaniu.

Carmelita nie chciała o tym nawet słyszeć.

- Obędzie się, ptaszyno. Uciekaj do swych gości.

- Ale talerze...

- Nie martw się talerzami. - Carmelita chwyciła ją za ramiona, obróciła w miejscu i pchnęła w kierunku drzwi.

- Chodźmy. - Diament wzięła siostrę za rękę. - Carmelita nie lubi, kiedy ktoś szarogęsi się w jej królestwie.

Przeszły do salonu, gdzie ogień huczał już w piecu. Adam i Quent stali przed paleniskiem, paląc cygara i wymieniając uwagi.

- Zamierzasz sprawdzić prawdziwość relacji Franka Coopera?

Quent kiwnął głową.

- Najwyższy czas, bym zrobił objazd całej okolicy.

- Może ci to zająć nawet kilka tygodni.

- Być może, ale... - Widząc wchodzące kobiety, przerwał rozpoczęte zdanie. Spojrzał na cygaro i zrobił ruch, jakby chciał rzucić je do ognia.

Zapobiegła temu Rubin, chwytając go za ramię.

- Nie trzeba. Lubię zapach tytoniu. Może dlatego, że kojarzy mi się z wizytami ojca. A były to chwile, kiedy ja i mama czułyśmy się po prostu szczęśliwe.

Quent próbował nie patrzeć na jej dłoń. Czuł ciepło dotknięcia poprzez rękaw koszuli.

- Twoja matka była bardzo wyrozumiała, skoro pozwałała mu palić. Jeśli chodzi o mego ojca, to został zmuszony do palenia w oborze. W rezultacie, paląc, czuję się tak, jakbym

robił coś nieprzyzwoitego, czego nie wypada robić przy damach.

- A odkąd to uważasz mnie za damę, szeryfie? - spytała zaczepnie Diament, wskazując wzrokiem na swoje spodnie z koźlej skóry i buty z cholewami.

Quent uśmiechnął się szeroko.

- Może cię zaskoczę, lecz pomimo tych spodni byłeś dla wielu mężczyzn z Hanging Tree najpiękniejszą dziewczyną w okolicy. Tyle że pomiędzy tobą a nimi wznosiła się przeszkoda nie do pokonania. Był nią twój ojciec. Niewielu miało odwagę narażać się na gniew Onyxa Jewela. Tym bardziej że nie rozstawał się z rewolwerem.

Adam roześmiał się, Rubin zaś powiedziała do siostry:

- Pewnie brakuje ci tego poczucia bezpieczeństwa, jakiego doświadczałaś, kiedy żył ojciec?

Na twarzy Świetlistego Diamentu odmalowało się wzruszenie.

- Masz rację. Czułam się bezpieczna. I kochana. I wszystko byłoby cudowne, gdybym jeszcze znała ciebie. I Różową Perłę. I Jasny Nefryt. Gnębiło mnie, że kiedy ja cieszyłam się na co dzień dowodami miłości ze strony ojca, wy byliście jakby na uboczu, jakby odrzucone i zapomniane.

Ręka Gorącego Rubinu powędrowała do złotego łańcuszka na szyi, a palce dotknęły dwóch kamieni - onyksu i rubinu. Diament zrobiła to samo, tyle że pod opuszkami jej palców znalazł się onyks i diament.

- Niepotrzebnie się o mnie martwiłaś - szepnęła Rubin. - Ojciec kochał nas wszystkie jednakowo. I wciąż nas kocha, bo, jak obiecał, jest tutaj z nami.

Obie siostry czule się pocałowały.

- Przyniosłam coś do picia. - Carmelita wkroczyła z tacą, na której brzęczały dzbanek i filizanki. - Życzę też wszystkim dobrej nocy. Rosario chce mnie już zabrać do domu.

- Dzięki za pyszną kolację. - Diament uściskała gospodynię. - Takich smakowitości ja i Adam nie jedliśmy od wieków.

- Jak to? - obruszył się Adam. - Nie odpowiada ci moje kucharzenie? Tak czy inaczej, muszę przyznać, że Carmelita wzniosła się na wyżyny sztuki kulinarnej. Poza tym dzięki niej mam dzisiaj wolne.

- A ja, jak zwykle, musiałbym się zadowolić zimną fasolą i suszoną wołowiną - dorzucił Quent, całując gospodynię w policzek.

- Musisz przyjeżdżać tu częściej, szeryfie. - Twarz Carmelity promieniała od tych wszystkich pochwał i komplementów. Na dodatek nie szczędzili ich bardzo przystojni mężczyźni. - Lubię gotować. A jeszcze bardziej lubię, gdy to, co zrobię, zjadane jest z

apetytem.

Odwróciła się z furkotem spódnicy i już jej nie było.

Diament napełniła do połowy złocistą whisky dwie niewielkie szklanki i podała mężczyznom. Sobie i siostrze naląła do kruchych filiżanek gorącej herbaty.

- A więc wypijmy za twoją pierwszą klientkę - powiedziała, wznosząc toast. - Za Millie Potter. I żeby okazała się jedną z wielu.

Usiedli całą czwórką w pobliżu buzującego w kominku ognia. Quentowi przypadło miejsce przy Gorącym Rubinie.

- Opowiedz nam o swojej krawieckiej pracowni - poprosiła Diament.

- Nie będzie duża, ale w sam raz dla moich potrzeb. Na jednej ścianie do samego sufitu półki na materiały. Duże szyby wystawowe, by móc prezentować gotowe już kreacje. - Z każdym słowem coraz bardziej się ożywiła, a jej oczy nabierały blasku. - Oczywiście, przymierzalnia dla moich klientek i jakieś niewielkie pomieszczenie biurowe, gdzie będę trzymać księgi rachunkowe.

Diament potrząsnęła głową.

- Wciąż nie potrafisz wyobrazić sobie siebie jako kobiety interesu. Odnoszę jednak wrażenie, że wiesz, czego chcesz.

- Przede wszystkim pragnę czuć się użyteczna. Z gościa chciałabym przemienić się w mieszkankę Hanging Tree. Nie mam innych pragnień.

Quent patrzył i słuchał. Starał się nie uronić ani jednego słowa Gorącego Rubinu. Czy zdawała sobie sprawę, jak wiele z siebie ujawniła przed chwilą? Odchylił do tyłu głowę, opróżniając swoją szklankę. Wstając z krzesła, powiedział:

- Na mnie już czas. Do miasta kawał drogi. Założyłbym się, że Arlo zasnął za biurkiem.

- A co z miarą? - przypomniała mu Diament. Zrobił niewyraźną minę.

- Może przy innej okazji.

- Nie bądź dzieckiem, Quent. - Diament wlała mu whisky do pustej szklanki. Spojrzała na siostrę. - Biegnij po centymetr, a my tu już zadbamy, by szeryf grzecznie na ciebie poczekał.

Rubin wróciła po kilku minutach z woreczkiem ściągniętym ozdobnym plecionym sznurem. Wysypała zawartość na stół, po czym z masy guzików, nici i igieł wyjęła taśmę krawiecką, małą tabliczkę i krede.

Odwracając się do Quenta, powiedziała:

- Obawiam się, że jesteś za wysoki, szeryfie. Czy mógłbyś zrobić mi tę łaskę i

ukłęknać?

Ukłęknać? Do diaska, pomyślał Quent, mógłby zrobić dużo więcej. Mógłby nawet położyć się na podłodze jak pies i łaścić się do jej nóg.

Ukłęknął, ona zaś stanęła przed nim. Prawie na wysokości wzroku miał jej biust. I biust ten przesłonił mu cały świat. Och, gdyby Gorący Rubin wiedziała wokół czego krążyły teraz jego myśli, zarzuciłaby go potokiem przekleństw w tym swoim śmiesznym francusko - angielskim narzeczu.

Najlepiej zrobiłby, gdyby zamknął oczy i skoncentrował się, na przykład, na problemie wodopojów dla bydła. Ale diabeł mieszał mu szyki i nie pozwalał skupić się na niczym pożytecznym. Co więcej, oglądanie tego, co miał przed oczyma, sprawiało mu ogromną przyjemność. Zapuszczał się wzrokiem w cienisty przesmyk pomiędzy jej bujnymi piersiami. Do diabła, od tego patrzenia aż pulsowało mu w skroniach.

Gorący Rubin rozpoczęła od zmierzenia szerokości jego ramion. Poznała ich siłę, domyślała się zaborczości. Musiała go dotknąć i zrobiła to, bo przecież miary nie mogła wziąć w powietrzu. Zadrżał pod dotknięciem jej rąk. Drżenie to udzieliło się jej. *Mon Dieu*, czy słyszał bicie jej serca? Czy zauważył, że oddycha jak po biegu?

Cofnęła się dwa kroki, by zapisać odmierzoną na taśmie z podziałką liczbę centymetrów. Błogosławiona chwila! Mogła uspokoić oddech i otrząsnąć się z tego zagadkowego podniecenia.

Quent również czuł się do głębi poruszony. Podniósł się z klęczek, sięgnął po szklanke i wychylił ją jednym haustem.

- Teraz zmierzmy obwód klatki piersiowej.

Posłusznie uniośł ręce na boki. Robiła z nim, co chciała.

Rubin rzuciła okiem na siostrę i szwagra. Siedzieli, pilnie obserwując poczynania Rubinu. Ale najgorsze ryło spojrzenie Quenta. Patrzył na nią z góry nieodgadnionym, ciemnym, jakby zamglonym wzrokiem. Słowem, znajdowała się w centrum uwagi wszystkich. I jak aktorka, którą nagle ogarnia na scenie atak paraliżującej tremy, tak i ona przez chwilę nie mogła się ruszyć. W końcu jednak przewyciężyła odrętwienie : opasała centymetrem klatkę piersiową Quenta.

- A niech cię, szeryfie. Jesteś... - Urwała, bo zaschło jej w gardle. Serce trzepotało się jak ptaszek w klatce. - Jesteś prawdziwym atletą.

Centymetr upadł na podłogę. Gdyby Rubin trzymała go mocniej, zapewne pękłby na skutek tego, że Quent wziął głęboki oddech i nagle powiększył się mu obwód klatki piersiowej. Rubin szybko schyliła się i podniosła centymetr z podłogi. Trzeba było zaczynać

wszystko od początku.

Tym razem Quent, pomimo iż wciąż doświadczał najśrodszych w życiu tortur, starał się stać spokojnie. Jego usta od skroni Rubinu dzieliło zaledwie kilka centymetrów. Wystarczyło zrobić mały ruch głową. Wstrzymał oddech. Do diaska, kiedy wreszcie skończy się ta męka!

- Tym razem udało się - oznajmiła i zanotowała kolejną cyfrę. - Jeszcze tylko muszę mieć długość rękawów i długość samej koszuli.

Jęknął w duchu. Bał się tych jej dotknięć bardziej niż indiańskich strzał. W każdej chwili mógł stracić panowanie nad sobą i na oczach Diamentu i Adama porwać Rubin w ramiona i obsypać ją pocałunkami.

- Odwróć się, szeryfie - rozkazała.

Nigdy nie miała się dowiedzieć, z jaką wdzięcznością przyjął to polecenie. Przynajmniej na kilka chwil mógł skryć twarz, na której, był o tym głęboko przeświadczony, malowała się dzika żądza.

Mierzyła go teraz wzdłuż linii kręgosłupa, od nasady szyi po talię. Dotknęła dłonią spływających na kark włosów i cofnęła rękę, jakby to były rozżarzone węgle.

Miara przedłużała się, a może to tylko dla nich dwojga czas zwolnił bieg. Może ich reakcje i cała ta udreka zmysłowego kontaktu umykały uwagi postronnych świadków. Jakakolwiek była prawda, w końcu usłyszał upragnione słowa:

- Dziękuję, szeryfie. Mam już wszystko co trzeba. Odwrócił się, jakby ospale i niechętnie.

Rubin stała przy stole, zajęta wrzucaniem do woreczka uprzednio wysypanych rzeczy. Widział jej rzęsy, nieco spuszczone, ocieniające policzki.

- Chodźmy, Quent - usłyszał głos Diamentu. - My też wracamy i część drogi możemy przejechać razem.

Poprawił pas na biodrach i skierował się ku drzwiom.

Wyszli przed dom, gdzie czekały przywiązane do palików konie.

Trzeba było się żegnać. Siostry ucałowały się serdecznie. Adam, jako szwagier, też miał prawo do pocałunku.

Quent wyciągnął rękę.

- Dobranoc, Rubinie. Dzięki za kolację.

- Dobranoc, szeryfie. - Opanowała ją dziwna słabość. Najchętniej by usiadła, - Koszula będzie gotowa za kilka dni.

- Nie ma pośpiechu. Spuściła oczy.

- Jak wiesz, na razie nie zebrałam wielu zamówień. Uszycie koszuli nie zajmie mi dużo czasu.

Puścił jej dłoń i wskoczył na konia.

- Dobranoc - powtórzyła, lecz nie odwrócił głowy.

Zrobił to dopiero wówczas, gdy minęli wrota. Zobaczył ją na ganku w słabym świetle lampy. Dzielili ich już spora odległość, a wciąż czuł jej zapach: delikatną woń róż.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Gorący Rubin pewnie trzymała lejce, jadąc drogą biegnącą wśród pastwisk i pól. Zbliżała się do miasta. Słońce prażyło. Spod końskich kopyt i kół bryczki unosiły się tumany kurzu. Na siedzeniu obok leżała owinięta w papier męska koszula. Co jakiś czas Rubin rzucała okiem na pakunek.

Gdy zatrzymała się przed stajnią, zobaczyła zdążającego ku niej ciężkim krokiem Neville'a Oakleya.

- Dzień dobry, panno Jewel.

- Dzień dobry, panie Oakley.

Pomógł jej zsiąść na ziemię. Sięgnęła po paczkę.

- Wygląda dziś pani bardzo elegancko, *ma'am*.

- Dziękuję za miłe słowo, panie Oakley. - Obdarzyła go najpromienniejszym z uśmiechów. - Nie zabawię długo. Muszę zobaczyć się z szeryfem i wstąpić do sklepu pana Durfee. Nie ma potrzeby wyprzęgania konia.

- Rozumiem, *ma'am*.

Odczekał, aż zniknie za rogiem najbliższego domu. Następnie wyprzągnął konia, wytarł go wiechciem słomy i zaprowadził do stajni. Tu go напоił, a żłób napełnił obrokiem. Wróciwszy na podwórze, wziął się do czyszczenia bryczki z kurzu.

Zaharowałby się na śmierć, gdyby nagrodą miał być uśmiech panny Jewel.

Gorący Rubin zatrzymała się przed placem budowy, gdzie miała stanąć jej pracownia krawiecka. Farley Duke dyrygował grupą robotników, którzy wyładowywali z wozu krokwie, bale i deski. Pozdrowił Rubin uniesieniem ręki, po czym wrócił do swoich obowiązków.

Pomachała mu niczym wypływającemu z portu żeglarzowi i nadal śledziła z żywym zainteresowaniem krzątanie i wysiłek mężczyzn. Budulec układany był w pryzmy, których naliczyła osiem.

Jej serce wzbierało dumą.

- Och, ojczy - szepnęła. - Spójrz na to wszystko, przypatrz się tym deskom złotym jak miód. Powstanie z nich mój sklep. Twoje miasto rozbuduje się. - Pokręciła głową. - Nie, to już nie jest tylko twoje miasto. Ono jest również moje.

Ruszyła piaszczystą ulicą. Czuła się lekka i wesoła. Zniknęło gdzieś dawne skrepowanie. Przed aresztem, oparty o miotłę, stał Arlo Spitz.

- Piękny mamy dziś dzień, panie Spitz.

- Trudno zaprzeczyć, panno Jewel. - Spojrzał na paczkę w jej ręku. - Co sprowadziło

panią do miasta?

- Interes - odparła i ucieszyła się, że użyła tego właśnie słowa.

- A czy partnerem w tym interesie ma być nasz szeryf?

Kiwnęła głową.

- Zastałam go?

- Tak, ale niebawem wyrusza w drogę. - Nagle ściszył głos i nachylił się do jej ucha. - Szeryf dostał wiadomość, że zabito ranczera i jego żonę.

- Jednego z naszych ranczerów?

- Nie, *ma'am*. Szmat drogi stąd. Znalazł ich tamtejszy szeryf. Poprosił w liście pana Quenta, by też rzucił okiem na miejsce morderstwa.

- Wyruszaćcie razem?

Arlo wypiął pierś jak do odznaczenia.

- Ktoś musi zostać w Hanging Tree i bronić jego mieszkańców.

- Oczywiście. Przepraszam za moje niemądre pytanie. Powinnam była od razu się tego domyślić - powiedziała Rubin i z uśmiechem przepłynęła obok zastępcy szeryfa, kierując się ku frontowym drzwiom aresztu.

Przestąpiwszy próg, przestała się uśmiechać. Zobaczyła puste cele i przypomniała sobie tamtą noc, kiedy to miejscowy stróż prawa uwięził ją jak pospolitą złodziejkę. Zaraz jednak odsunęła od siebie tę niewesołą myśl. Dziś był radosny dzień. Nie mogła pozwolić, by cokolwiek go zepsuło.

Biuro było puste, więc rzuciła okiem przez szparę w uchylonych drzwiach do pokoju Quenta. Dochodził stamtąd odgłos czyichś kroków, a na przeciwległej do okna ścianie chybotął się jakiś cień.

- Halo! - zawołała.

Drzwi otworzyły się na oścież i stanął w nich Quent, wypełniając swym masywnym ciałem niemal całą framugę. Pod pachą trzymał zrolowany koc, w prawym ręku strzelbę, zaś przez lewe ramię przerzucił wypchane jaki. Arlo miał rację, pomyślała. Tak mógł wyglądać tylko mężczyzna, który wybiera się w drogę.

- Dzień dobry, szeryfie. Dowiedziałam się przed chwilą od twojego zastępcy, że wyruszasz ścigać bandytów.

- Zgadza się. - Ciągle stał w drzwiach, chłonąc oczyma cudowny zarys jej sylwetki. - Cóż to tak wcześnie sprowadza cię do miasta?

- Skończyłam koszulę i chciałam, byś jak najszybciej miał z niej pożytek. Gdybym zjawiała się godzinę później, pewnie bym cię już nie zastała. - Położyła paczkę na biurku. -

Możesz zajrzeć do środka, kiedy wrócisz z wyprawy.

- Zrobię to teraz.

Uwolnił się od juków, strzelby i koca i odwinął papier. Na pierwszy rzut oka koszula wydawała się całkiem zwyczajna. Była uszyta z czarnego materiału i miała czarne guziki. Wystarczyło jednak przyrzeć się bliżej, by przekonać się o wyjątkowości tego materiału. Prawa strona przypominała skórę - była błyszcząca, zbita i twarda. Lewa strona fakturą upodabniała się do mchu - miękka, delikatna, z łatwością chłonąca pot.

- I jak? Podoba się, szeryfie? - Bardzo jej zależało, by właśnie tak było. Przypatrując się jego twarzy, nie mogła jednak niczego z niej wyczytać.

Nie rzekł ani słowa, tylko zdjął kurtkę, potem zaś ściągnął starą koszulę. Po chwili był już w nowej. W przeciągu tych kilku sekund, kiedy stał przed nią obnażony do pasa, miała okazję przyrzeć się jego rzeźbionemu torsowi i od tego patrzenia zaschło jej w gardle.

- Pomyślałam, że powinna być trochę obszerniejsza by zapewniała swobodę ruchów. - Nagle opanowała ją dziwna nieśmiałość. - Wiem, że stróż prawa często uczestniczy w różnych awanturach i bywa zmuszany sięgać po broń.

W kącikach jego warg pojawił się uśmieszek. Zaczynał już mniej więcej orientować się w jej wyobrażeniu o jego pracy.

- Nie przeczę. Zdarzało mi się robić użytek z rewolweru w ramach moich obowiązków.

- Dlatego zrobiłam podwójne szwy, żeby w razie czego nie puściły.

Całkiem go rozbroiła ta cudowna naiwność.

- Rozumiem, że nawet gdyby w bójce połamano mi kości i poszatkowano ciało, koszula pozostanie nienaruszona.

Spuściła głowę.

- Proszę nie kpić sobie ze mnie, szeryfie. Poglądził ją po policzku.

- Jakżebyś mógł, Rubinie. Chciałem tylko podroczyć się z tobą. - Obwiodł opuszką kciuka jej usta. - To wspaniała koszula. Dziękuję. A teraz powiedz, ile jestem ci winien.

- Pięćdziesiąt centów - wypaliła.

- Tylko pięćdziesiąt centów?

- Taka jest cena koszul w tutejszym sklepie.

- Te koszule są zrobione ze starych worków na zboże - rzekł głosem, w którym brzmiała irytacja. - Ta zaś... Skąd wzięłaś ten materiał?

- Kupiłam go w Nowym Orleanie. Z myślą o uszyciu koszuli ojcu.

- I pewnie za sam materiał zapłaciłaś tyle, ile ja bym musiał zapłacić za dobrą strzelbę.

- W jego palcach pojawił się zwitek banknotów.

Na widok tych pieniędzy Gorący Rubin potrząsnęła głową.

- Nie wezmę ani centa więcej. To uczciwa cena. Pomyśl tylko. Mając do wyboru droższą i tańszą koszulę, poszedłbyś do sklepu pana Durfee. I nie musiałbyś czekać. Miałbyś ją od razu.

- Ty uparte stworzenie! - Wcisnął jej w dłoń kilka banknotów. - Naprawdę chciałbym zatrzymać tę koszulę. Jednak zwrócę ci ją, jeśli nie zgodzisz się na moje warunki.

Przez chwilę wahała się. Potem kiwnęła głową na znak zgody.

Ujął jej dłoń i pocałował. To ją już całkiem zbiło z tropu.

- Dziękuję - rzekł. - Teraz naprawdę muszę już jechać. Koszula będzie mi o tobie przypominała w drodze.

Włożył kurtkę, przerzucił przez ramię juki, wziął koc i strzelbę i ruszył ku drzwiom. Ale nie doszedł do nich.

Zanim Rubin zdążyła zorientować się, co właściwie się stało, już znajdowała się w jego ramionach, a jego usta miażdżyły jej wargi w namiętym i zaborczym pocałunku. Zabrakło jej czasu zarówno na myślenie, jak i na obronę. Poddawała się jego woli bez cienia buntu czy niechęci - oszołomiona, zdumiona, zalewana falami najsprzecznějších uczuć, których nie potrafiła nawet nazwać. Pozwalała się całować, kiedy zaś bierność próbowała zmienić w aktywność, nie dał jej na to sposobności. Górował nad nią wzrostem, siłą i nieokiełznaną namiętnością.

Na pewno nie zaplanował takiego właśnie pożegnania. Ale gdy już się odwrócił i dopadł do niej, nie zamierzał poprzestawać na małym. A nawet gdyby rozkazał sobie ukraść jej tylko jeden krótki pocałunek, nie mógłby wypełnić tego nakazu. Zbyt przemożna była potrzeba, która rozsadzała go od wewnątrz.

Słyszał przyśpieszony oddech Rubinu, wyczuwał pulsowanie pod jej gładką jak atlas skórą i wiedział, że powinien puścić ją i czym prędzej dosiąść konia. Uczynił coś wręcz przeciwnego - przygarnął ją jeszcze mocniej do siebie, tak iż ich dwa bijące serca zlały się w jedno. Była jego najdroższym skarbem, nieodłączną częścią jego osobowości. I skarb ów zapragnął posiadać tu i teraz.

Zawsze uważał się za żołnierza. Od rana gotował się na wojnę, jakkolwiek wszystko na to wskazywało, że wojna ta niczym nie będzie różniła się od polowania. Myśl o czekającej go bitwie sprawiła, że spędził ostatnie godziny w atmosferze skupienia i wielkiej jasności umysłu. Teraz zaś z przyczyny tych gorących warg, tego upojnego zapachu i tych wszystkich kuszących miękkości popadł w coś w rodzaju oszołomienia.

Przywołał na pomoc całą swoją wolę. Oderwał usta od jej warg, uniósł głowę i

spojrzał na trzymaną w ramionach kobietę przymrużonymi oczyma. Miała prześlicznie zaróżowione policzki, a jej rozchyłone wilgotne usta przypominały rozkwitający pąk kwiatu.

- Nie wiem, jak długo mnie nie będzie. - Na chwilę zanurzył twarz w jej pachnących włosach. - Lecz kiedy wrócę, zaczniemy wszystko od początku. I przekonamy się - wykrzywił wargi w uśmiechu - czy uda się nam lepiej wykorzystać czas.

Cofnął się o krok, odwrócił i pospiesznie wyszedł.

Trzasnęły drzwi.

Rubin poczuła taką słabość, że musiała się oprzeć o biurko. Z dwora dochodził głos Quenta, który wydawał zastępcy ostatnie polecenia. Zamknęła oczy, próbując zebrać i uporządkować myśli. Daremnie.

Nagle dobiegł jej uszu tętent kopyt końskich. Quent wyruszył na swoją wojnę z bezprawiem i złem. Osunęła się na krzesło, przyciskając dłoń do rozszalałego serca.

Mrużąc oczy od słońca, Gorący Rubin przypatrywała się pracy robotników, kończących dach.

- Oto mamy gotową już bryłę - rzekł Farley Duke tonem przechwałki. Sam był zaskoczony faktem, że termin ukończenia budynku w jego zewnętrznym kształcie udało się nieco przyśpieszyć, mimo że wstępny harmonogram prac nie uwzględniał przestojów. - Jutro przenosimy się do środka i zaczynamy od wewnętrznych schodów. Całość będzie do oddania pod koniec przyszłego tygodnia.

- Dziękuję, panie Duke. To, co pan mówi, jest po prostu cudowne.

Miała wielką ochotę uczcić zakończenie pierwszej fazy budowy. Tylko jak? Uśmiechnęła się do swych myśli. Oczywiście, uroczystość musi być rodzinna i ściśle prywatna. Poprosi Carmelitę o przygotowanie bardziej wystawnej kolacji dla wszystkich trzech sióstr i ich mężów.

Pożegnała się z majstrem i skierowała ku stajni Neville'a Oakleya. Kowal zobaczył ją z daleka i zanim weszła na jego podwórze, zdążył wyprowadzić i zaprząć konia.

- Dziękuję, panie Oakley - powiedziała z przemiłym uśmiechem, wspierając się na jego ramieniu przy wsiadaniu do bryczki.

- Mam nadzieję, że jutro znów panią ujrzymy, panno Jewel - rzekł swym tubalnym głosem, świadomy tego, że dni z panną Jewel są pod każdym względem lepsze od dni bez niej.

Kiwnęła głową.

- Niebawem, panie Oakley, stanę się stałą mieszkanką Hanging Tree i po jakimś czasie zdążę się wszystkim znudzić.

Chciał zaprotestować, lecz zebrała lejce, cmoknęła na konia i ruszyła. Jechała jak w gorączce. Miała jeszcze tyle do roboty, czasu zaś doprawdy niewiele, W przeciągu ostatnich dwóch tygodni pracowała od świtu do późnej nocy. Szyła suknie, przy czym każda miała inny fason i styl Chodziło o to, by w dzień otwarcia pracowni i sklepu ona, Rubin, mogła zaprezentować paniom z miasta różnorodną ofertę. Miały składać się na nią suknie na każdą kieszeń i okazję.

Zamówione w San Francisco tkaniny, nici, guziki i zestawy pasmanteryjne nadeszły w kilka dni po wyjeździe Quenta. A również koronki na obrus, serwetki i firanki dla Millie Potter. Gdy Millie je ujrzała, nie mogła wyjść z zachwytu. Ona i Rubin zgodnie uznały, że wybrany wzór bardzo pasował do obić i mebli w jadalni.

Teraz Rubin jechała pogrążona w myślach, planując takie same lub podobne koronki na firanki do swego sklepu. W rezultacie dopiero w ostatniej chwili dostrzegła jeźdźca, który nadciągnął od strony dalekich wzgórz. I tak zresztą by go nie rozpoznała, gdyby nie wykrzyknął jej imienia.

- Rubinie!

Serce zamarło jej w piersi na dźwięk znajomego głosu.

- Quent!

Była wstrząśnięta jego wyglądem. Przypominał trapera, który po miesiącach polowań opuścił właśnie swój teren łowiecki. Pokryty był grubą warstwą kurzu, a ciemny zarost przesłaniał mu dół twarzy. Nie zmieniły się tylko oczy. Były równie czyste i jasne jak przed dwoma tygodniami.

- Wiesz, jakimś cudem odgadłem, że będziesz pierwszą osobą, jaką spotkam na tej drodze.

Przeszedł ją miły dreszcz.

- Być może ukułam to spotkanie. Wygiął wargi w uśmiechu.

- Czyżbyś próbowała mnie uwieść, panno Jewel? Zaśmiała się zalotnie.

- A jeśli nawet, to co w tym nagannego?

- Jest niebezpieczną rzeczą zbliżać się do mężczyzny, który zapomniał, jak smakuje życie w cywilizowanym świecie. - Pochylił się ku niej w siodle. - Czy moglibyśmy się spotkać dziś wieczorem?

Niedwuznaczna intymność tej propozycji sprawiła, że serce skoczyło jej do gardła.

- Przecież właśnie spotkaliśmy się, szeryfie. Czy to nie wystarcza?

- Obawiam się, że nie. - Wyciągnął rękę i pieszczotliwie pogładził ją po włosach. - Nie było dnia, żebym w ciągu tych dwóch tygodni nie myślał o tobie i o naszym pożegnaniu. I o

różnych innych rzeczach związanych z tobą. Od tych myśli o mało co nie oszalałem. Dzisiaj chciałbym mieć obok siebie ciebie samą.

Poczuła, że czerwienieje, i chcąc ukryć zmieszanie, znów się roześmiała. Jej śmiech jednak nie zabrzmiał naturalnie.

- Przecież masz mnie. Jestem tutaj.

- I cóż z tego, skoro w tej chwili wyglądam jak niedźwiedź po zimowym śnie.

Kiwnięciem głowy przyznała mu rację.

- I pewnie pachniesz jak ów włochaty stwór.

- Chciałabyś to sprawdzić? - spytał gardłowym głosem, który przeszedł w pomruk.

Ponownie się zapłoniła, on zaś z jakiejś przyczyny poczuł się radosny i szczęśliwy.

- Jak widzisz, muszę się umyć i ogolić. Dlatego proszę o spotkanie dopiero za kilka godzin.

Udała, że rozważa coś w duchu.

- Dziś wieczorem urządzam przyjęcie. Taka mała uroczystość w gronie rodzinnym.

Będą siostry z mężami.

- Jakiś szczególny powód?

- Chcemy uczcić zakończenie pierwszego etapu budowy pracowni krawieckiej. Dziś właśnie budynek ma być zadaszony, a od jutra Farley Duke zaczyna prace w środku.

- W takim razie moje gratulacje. Poczuła błogie ciepło w okolicy serca.

- Więc jak? Chciałbyś do nas dołączyć?

Teraz on z kolei udał, że zastanawia się nad jej propozycją. Prawda była taka, że nie miał wyboru.

- Wolałbym być z tobą sam na sam, lecz chyba będę musiał przystać na obecność twoich najbliższych.

- Zatem czekam, szeryfie. - Uniosła lejce. - I nie zapomnij się ogolić. Żebyśmy nie pomylili cię z niedźwiedziem.

Odprowadził ją wzrokiem do miejsca, gdzie droga ginęła pomiędzy skałami, i ruszył ku miastu. Po godzinie zsiadał z konia przed miejskim aresztem.

- Szeryf! Co za niespodzianka! - Arlo poderwał się z krzesła, jakby właśnie odkrył pod nim gniazdo grzechotników. - Spodziewałem się pana powrotu dopiero za kilka dni.

- To widać.

Quent powiódł wzrokiem wokół siebie. Powinien właściwie zmyć głowę swojemu zastępcy za nieporządek, jaki zastał w biurze, lecz, prawdę mówiąc, nie miał na to najmniejszej ochoty. Wrócił do domu cały i zdrowy i to było najważniejsze. Poza tym

opuściło go zmęczenie, które towarzyszyło mu przez ostatnie kilka dni. Znał powód tej przemiany. Sprawiała to spotkana na drodze piękność, która zaprosiła go na kolację.

- Czy mogę coś dla pana zrobić? - Arlo w pośpiechu zbierał walające się wszędzie papiery.

Quent dotknął dłonią zarośniętych policzków.

- Tak. Biegnij do Barneya Healeya i powiedz mu że ma oczekiwać mojej wizyty. Zamawiam golenie i strzyżenie, a także wannę gorącej wody. Zamierzali się trochę pomoczyć.

- Tak, sir.

- I jeszcze jedno, Arlo - dorzucił, gdy jego zastępca był już na progu. - Gdy wrócę, wszystko ma tu lśnić czystością jak u naszej poczciwej Millie Potter.

Arlo kiwnął głową, lecz zaskoczenie nie pozwoliło mu na wydobywanie żadnego dźwięku. Po chwili biegł już ulicą, zachodząc w głowę, co też spowodowało, że szeryf był w tak dobrym nastroju; że zamiast ryczeć - mówił, zamiast przeklinać - upominał. Być może wdał się w walkę z bandziorami, z których ani jeden nie pozostał żywy. A może udało mu się uratować od kuli jakąś niewinną istotę.

Tak czy inaczej, Arlo czuł się jak wyrostek, którego ominęły baty. Kiedy Quent Regan wróci od fryzjera, biuro będzie tak czyste jak kaplica przed mszą.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Nadjeżdżają! - zawołała Carmelita, - Słyszę turkot bryczki.

Gorący Rubin rzuciła się do drzwi. Wybiegła na gatek. Przed domem stał lekki wolant, z którego, korzystając z pomocy małżonka, wielebnego Dana Simpsona wysiadła właśnie Jasny Nefryt. Wolant różnił się od pojazdów używanych przez teksaskich ranczerów. Jasny Nefryt sprowadziła go z San Francisco.

- Witajcie, moi drodzy. - Rubin wyściskała szwagra siostrę. - Dzięki, że nie zawiedliście.

- Na nas zawsze możesz liczyć - rzekł Dan z uśmiechem.

Jakkolwiek Jasny Nefryt wciąż ubierała się zgodnie z chińską tradycją, fascynując chłodem elegancji, najbardziej chyba odpowiadała jej rola małżonki pastora z prowincjonalnego miasteczka. Pełne miłości spojrzenia, jakie wymieniała pomiędzy sobą ta para, mówiły prawie wszystko o ich małżeńskim szczęściu.

Nie zdążyli jeszcze przejść na ganek, gdy nadjechała Perła z Calem. Na tylnej ławce bryczki siedzieli ich przybrani synowie - Gil i Danny. Z tyłu kłusowali Diament i Adam. I jak to oni, dosiadali wierzchowców ognistych i narowistych.

- No to jesteśmy w komplecie - powiedział Adam zeskakując na ziemię.

Carmelita też chciała powitać gości, w związku z czym dokładnie wytarła ręce o fartuch. Zaczęła od wyściskania chłopców.

- W tym domu stanowczo brakuje dzieci. Czternastoletni Gil, równy wzrostem dorosłemu.

mężczyźnie, zrobił obrażoną minę, podczas gdy czteroletniemu Danny'emu raczej przypadły do gustu pieszczoty i przytulanki gospodyni.

- Na szczęście niebawem przybędzie nowe - dodała ' ; Carmelita, obejmując Diament, by zaraz zmierzyć ją krytycznym spojrzeniem. - Co znaczy ten wariacki ubiór?

- To jedna ze starych kurtek Adama - wyjaśniła Diament, po czym poklepała się po wzdętym brzuchu. - Nie mieszczę się już w moje dawne stroje.

- Stroje! Dobre sobie! - sarknęła gospodyni. - Kto to widział nazywać strojami skórzane portki i kamizelki. Myślałam, że choć w stanie brzemiennym przeprosisz się z sukienkami.

- Jestem, jaka jestem, i nic... - Diament urwała i spojrzała ku wrotom, skąd dobiegł właśnie tętent kopyt. - Ktoś nadjeżdża. Zdaje się, że to...

- Quent Regan - dokończyła Gorący Rubin głosem na pozór spokojnym, choć bardziej

wyczulone ucho wychwyciłoby w nim tłumioną radość.

Szeryf zeskoczył na ziemię i przywiązał konia. Idąc w stronę ganku, widział grupę osób, ale tylko postać Rubinu jawiła mu się wyraziście, jakby obrysowana ołówkiem na tle zamazanej reszty.

Patrzył na olśniewająco piękną kobietę, której kasztanowe włosy okalały świeżą twarz, prawie jeszcze dziewczęcą. Opięta czerwona suknia ujawniała kształty pełne, proporcjonalne jak u bogini. Zauważył kontrast pomiędzy tą twarzą a linią biustu, talii i bioder. Gorący Rubin wydawała się połączeniem świętości i rozpasania, czystości i zmysłowej zachęty.

- Dobry wieczór - powitał towarzystwo.

- Dobry wieczór, szeryfie - odparła w imieniu wszystkich. Nie uszły jej uwagi gładko wygolone policzki Quenta i przycięte włosy. Najważniejsze jednak, że miał na sobie jej koszulę. - Nie przypominasz już włochatego niedźwiedzia.

Błysnął w uśmiechu białymi zębami, a ją znów ogarnęła fala gorąca.

- Dziś jestem przykładem tego, co z człowieka może zrobić zręczny fryzjer.

Słuchając tej rozmowy, siostry Rubinu wymieniały między sobą zdumione spojrzenia. Diament pochyliła się i szepnęła do ucha Nefrytowi:

- Kiedy ci zaprzysięgli wrogowie stali się... hmm, przynajmniej przestali być wrogami?

Jasny Nefryt wzruszyła ramionami. Niewątpliwie we wzajemnym stosunku tych dwojga była jakaś zagadka. Coś musiało się wydarzyć, coś, co sprawiało, że tylko sobą byli zajęci i tylko w siebie zapatrzeni, mimo że inni stali obok.

Wreszcie Quent raczył zauważyć tych innych i każdemu rzekł jakieś miłe słowo. Witając się z Carmelitą, okazał się szczególnie serdeczny.

- Wygląda na to, Carmelito, że znów będę cię objadał.

- Lubię mężczyzn, którzy wymiatają talerz do czysta - powiedziała z dobrodusznym śmiechem. - Zapraszam do środka. A dla was - przygarnęła do siebie Gila i Daniela - mam coś specjalnego.

Towarzystwo przeszło do salonu, a Carmelita pośpieszyła do kuchni. Rubin naląła mężczyznom whisky, siostry zaś poczęstowała herbatą. Gdy podawała szklanekę Quentowi, ich dłonie na chwilę się zetknęły. Jak kilka razy w przeszłości, tak i teraz ten zmysłowy kontakt przyprawił ją o dreszcz, który ogarnął całe jej ciało.

Stanowczo zbyt łatwo się czerwieniła. Zbyt często oddawała marzeniom.

- Nie było cię kawał czasu, puent - powiedział Adam, gdy zajęli już miejsca. Zaczynał

rozmowę od tego, co ciekawiło wszystkich. Każdy już od pewnego czasu zadawał sobie pytanie, co też przydarzyło się szeryfowi w ciągu tych dwóch tygodni. - Wiemy od Arlo, że wyruszyłeś w związku z pewnym bestialskim morderstwem. Zdaje się, że ofiarami było małżeństwo ranczerów.

- Arlo gada stanowczo za dużo. - Quent pociągnął whisky i widać było, że nie spieszy się z podjęciem relacji.

- Słyszałem, że ci ranczerzy to byli młodzi ludzie - powiedział Cal. - Podobno dopiero co osiedlili się w Teksasie. Mówią, że przed rokiem. Wszystko to są jednak nie sprawdzone wieści. Nie zechciałbyś rozjaśnić nam w głowach Quent? A może mamy poczekać i dowiedzieć się wszystkiego od twego zastępcy?

Szeryf wzruszył ramionami.

- Arlo lub jego żona zapewne o wszystkim już jutro powiadomią miasto. To małżeństwo pochodziło z Kanas City. Kupili w Teksasie niewielkie rancho, kilkanaście akrów kamienistej ziemi. Nie mieli niczego, co posiadałoby jakąś wartość dla złodzieja. Jak się wydaje, bandyta po prostu wszedł do środka i tam dokonał morderstwa. Obojgu strzelił w głowę. Kobieta przedtem została - Quent zawahał się, spojrzał po twarzach i na chwilę zacisnął szczęki - pohańbiona w najdziwszy sposób.

- Czy wiesz, kto to zrobił? Quent zwlekał z odpowiedzią.

- Spotkałeś na szlaku kogoś, kto wydał ci się podejrzany? - spytał Adam.

- Nie. Zwróciłem się do wszystkich okolicznych szeryfów z prośbą, by natychmiast mnie powiadomili, jeśli zauważą kogoś podejrzanego.

- Wygląda na to, że nie lekceważysz sprawy. - Adam i Cal wymienili spojrzenia. - Szukasz kogoś konkretnego?

Quent starannie dobierał słowa. Nie było sensu szerzyć niepokoju bez niezbitych dowodów.

- Wiem tylko to, że nienawidzę morderców i z zasady im nie odpuszczam.

- Sądzisz, że Boyd Barlow wróci? - spytał Cal. Quent uznał, że jego słuchacze posuwają się w swych obawach za daleko.

- Nie powinniście od razu zakładać najgorszego. Zostawcie mnie tę sprawę. Jeśli Barlow ma trochę oleju w głowie, już dawno przekroczył granicę z Meksykiem Oczywiście, nie można niczego wykluczyć. I właśnie w celu zebrania dowodów dokonałem tego objazdu.

- Natrafiłeś na jakiś ślad? - naciskał Cal.

- Ktoś jechał na północny zachód. I oczywiście nie byłoby w tym nic szczególnego, gdyby nie zadawał sobie trudu zacierania śladów po nocnych obozowiskach.

Zapadło milczenie. W końcu Adam powiedział:

- Tak nie zachowuje się zwykły włóczęga. Ktoś najwyraźniej próbuje się ukryć.

- Też tak myślę. - Quent sączył whisky, podczas gdy inni zastanawiali się nad głębszym sensem jego słów.

W drzwiach prowadzących do jadalni stanęła Carmelita.

- Zapraszam na kolację.

Mężczyźni dokończyli whisky i towarzystwo przeszło do sąsiedniego pokoju. Stół nakryty był najlepszym obrusem. Kryształ i srebra lśniły w świetle świec, które paliły się w artystycznej roboty kandelabrach.

- Nie przypominam sobie tego obrusa - powiedziała Diament, siadając na krześle, które podsunął jej mąż.

Tak się złożyło, że kobiety znalazły się po jednej stronie stołu, mężczyźni zaś po drugiej. U szczytu, dotykając się łokciami, siedzieli chłopcy i sądząc po minach bardzo odpowiadało im to miejsce.

- Nie przypominasz sobie, bo go nie widziałas - rzekła zarazem dumna i rozweselona Gorący Rubin. - Dziś rano dopiero go skończyłam.

- To naprawdę twoje dzieło? - spytała Różowa Perła kręcąc głową. - Nie wiedziałam, że potrafisz robić tak piękne rzeczy.

I wszystkie trzy siostry zaczęły przyglądać się obrusowi, oceniać szwy, dotykać materiału, wodzić palcami po gustownych haftach.

- Teraz już mam pewność, że otwarcie pracowni i sklepu okaże się wielkim wydarzeniem - powiedziała Jasny Nefryt z głębokim przekonaniem w głosie. - Kiedy mieszkańcy Hanging Tree poznają twoje umiejętności, nie będziesz mogła opędzić się od klientek.

- Jestem tego samego zdania - rzekł Quent. - Miałem okazję pierwszy przekonać się o tym, jak dobrą krawcową jest wasza siostra. Koszula, którą widzicie, została przez nią uszyta, i zapewniam was, że nie miałem lepszej.

Wszyscy jak na komendę skupili wzrok na czarnej koszuli Quenta.

Adam się roześmiał.

- Teraz już wiem, dlaczego ta koszula od razu zwróciła moją uwagę. - Przeniósł wzrok na Rubina. - Mam nadzieję, że nie zapomnisz o swoich najbliższych. Wprawdzie niejednokrotnie już brałem igłę do ręki, jednak ostatnio na cerowanie i łatanie brakuje mi czasu.

- O sobie wolę nie wspominać - dorzuciła Świetlisty Diament. - Biedny Adam, żeniąc

się ze mną, nie miał pojęcia, że zamiast ująć, dodał sobie obowiązków.

- Skoro mowa o dodawaniu sobie pracy... - Cal zaskoczył wszystkich, gdyż poderwał się z krzesła, okrążył stół i podszedł do żony, którą pocałował w skroń.

- Sądzę, że powinniśmy podzielić się dobrymi wieściami. Co wy na to, chłopcy?

Gil i Daniel uśmiechnęli się od ucha do ucha.

Cal ponownie pochylił się i uściskał Perłę. Nikt nie wiedział, co myśleć o tej manifestacji miłości.

- Jesteś w gorącej wodzie kąpany, Cal - powiedziała Perła pół żartem, pół serio. - Zamierzałam poczekać z ogłoszeniem nowiny do narodzin dziecka Diamentu Ponieważ, jak widać, ty nie chcesz zwlekać, to powiedz im o wszystkim.

Cal puścił żonę i odchrząknął.

- Jako zarządca posiadłości Jewelów ogłaszam niniejszym z wielką radością, że moja żona i ja zamierzamy powiększyć naszą ekipę o kolejnego kowboja.

- Pozwólcie, że przetłumaczę to na bardziej ludzki język - powiedziała Różowa Perła ze śmiechem. - Oczekujemy dziecka.

- Dziecka? - wyrwało się z czyichś ust. Zapanowało ogólne ożywienie i nie było twarzy, na której nie zagościłby uśmiech. Gorący Rubin wstała i pierwsza pogratulowała szczęśliwym rodzicom.

- Jestem wzruszona i przejęta - wyznała. - Mama zwykła mówić, że dziecko jest darem danym od Boga by nam przypominało o istnieniu aniołów.

Quenta uderzyła nuta bezmiernej czułości, pobrzmiwająca w jej głosie. I nie było to coś, czego by się spodziewał u tej płomiennej piękności.

Posypały się gratulacje, uściski i pocałunki. Perła Cal i obaj chłopcy doświadczyli tylu dowodów gorących uczuć, że aż byli tym nieco oszołomieni.

Weszła Carmelita z kolejnym półmiskiem i wyrazem zaciekawienia na twarzy. Już bowiem od kilku minut zadawała sobie w kuchni pytanie, co też to za niezwykły gwar dochodzi ze stołowego pokoju.

Kiedy poznała przyczynę, wyraziła radość śmiechem i łzami.

- To prawdziwy cud. Najpierw susza, a potem deszcz. Najpierw długie, bardzo długie oczekiwanie na dziecko w tym domu, a potem dwoje naraz. Och, Perło! Och, Diamentcie! Moje najdroższe kwiatuszki. - Zamilkła, gdyż ściśnięte wzruszeniem gardło nie pozwalało jej mówić. Wytarła oczy rąbkiem fartucha i wycofała się do kuchni.

- I cóż o tym wszystkim myślisz, Danielu? - spytała Rubin czteroletniego malca, przerywając ciszę, jaka zapanowała w jadalni po odejściu Carmelity.

- Gil mówi, że będzie fajnie z małym braciszkiem. Nauczymy go kilku rzeczy.

- Rozumiem, że wolelibyście brata. Co będzie, jeśli urodzi się dziewczynka?

Uśmiech znikł z twarzy Daniela, zastąpiony przez zdumienie. Było jasne, że takiej możliwości nie brał pod uwagę.

- Co zrobimy z małą siostrą, Gil?

Starszy z chłopców wzdrynął ramionami. Następnie wyciągnął rękę i czułym gestem zburzył bratu włosy.

- Myślę, że przez cały dzień będzie dreptała za tobą, a ty będziesz musiał jakoś to znieść. Bo ja nie będę miał czasu. Muszę pomagać tacie w gospodarstwie.

Gil zamilkł, a na buzi Daniela odmalowały się tak wielkie zaskoczenie i strach, że wszyscy wybuchnęli śmiechem. Rubin najszybciej opanowała wesołość i przytuliła malca do siebie.

- Nie ma co rozpaczać, Danielu - powiedziała. - Obojętnie, czy urodzi się chłopiec, czy dziewczynka zawsze będziesz tym wielkim bratem, który nie pozwoli zrobić krzywdy maleństwu.

Daniel rozpogodził się.

- Naprawdę będę wielkim bratem?

- Tak - potwierdziła, całując chłopca w czoło. - Kiedy byłam małą dziewczynką i mieszkaliśmy daleko stąd, dałabym wszystko za wielkiego brata.

I znów Quent dojrzał w Rubinie rys charakteru, którego istnienia nie podejrzewał. Biły w niej źródła czułości, a w zachowaniu przejawiało się wiele delikatności uczuć.

W końcu towarzystwo przypomniało sobie, w jakim celu się tu zjawilo, i ponownie zasiadło do stołu. Rozległ się brzęk sztućców i talerzy. Nakładano sobie kurczaka, wołowinę, chleb i chili. Przechodziły z rąk do rąk półmiski, salaterki i koszyki na pieczywo.

Zanim jednak ktokolwiek uniósł kęs do ust, wszyscy pochylili głowy, zaś mąż Jasnego Nefrytu, wielbny Dan Simpson, odmówił stosowną modlitwę.

- Pobłogosław, Boże, te dary i tych, którzy zasiedli do ich spożywania. Polecamy Twojej szczególnej opiece Diament i Adama, Perłę i Cala, jako że to oni, ku Twojej chwale, wyhodowali ziarna nowego życia.

- Amen - rozległo się ze wszystkich ust.

- Diamencie, kiedy wreszcie zaprzestasz tych szaleństw na koniu i na dodatek rzucania lassem? - spytała Perła, nabierając na widelec pierwszy kęs wołowiny.

- A dlaczego mam rezygnować z czegokolwiek? - Na twarzy Diamentu malowało się szczere zdumienie.

- Ponieważ powinnaś zacząć dbać o siebie - odparła Różowa Perła. - Przecież wiem, co robią inne kobiety w błogosławionym stanie. Prawie nie wychodzą z domu, unikają cięższych prac i głównie zajmują się szyciem ubranek dla dziecka.

- A wyobrażasz mnie sobie z igłą lub drutami? - Diament nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

- Perła ma rację - wtrąciła się Jasny Nefryt. - Powinnaś zrezygnować z jazdy wierzchem i podróżować bryczką.

- Mam odstawić Sunrise do stajni? - Diament potrząsnęła głową. - Jeżdżę na niej, odkąd przestała być żrebakiem. Ani myślę rozstawać się z nią na dłużej niż kilka godzin.

- Wkrótce nie będziesz miała wyboru - powiedziała Jasny Nefryt spokojnym głosem osoby wierzącej w nieodpartą siłę logiki. - Niebawem nie będziesz mogła zmieścić się w siodle. Bądź rozsądna również w sprawie ubioru. Pożegnaj się na jakiś czas ze skórzanymi spodniami i pasem z nabojami. Kobiecie przy nadziei nawet nie wypada paradować w czymś takim.

Gorący Rubin, widząc, że rady Nefrytu fatalnie wpływają na nastrój Diamentu, postanowiła załagodzić sprawę.

- Nie trap się, *chérie*. Dzieci zawsze znajdują drogę na ten świat, bez względu na to, jak ubierają się ich matki. Ty i Adam będziecie kochającymi i troskliwymi rodzicami. Podobnie Perła i Cal. A jedyny kłopot waszych dzieci będzie się wiązał z nadmiarem szczęścia.

Uśmiech wrócił na twarz Diamentu, a siedzący po drugiej stronie stołu Adam rzucił Rubinowi spojrzenie pełne wdzięczności.

Weszła Carmelita z wonną i ciepłą jeszcze szarlotką. Zdołała wziąć się w garść i na twarzy jej gościł spokojny uśmiech. Cieszyła się, że ciasto się udało. Na widok deseru wszyscy wyrazili aprobatę. Obchodząc stół, gospodyni obdzielała wielkimi porcjami kolejnych gości. Diament i Perłę dodatkowo pogłaskała po głowie.

- Będziecie pięknymi matkami - rzuciła. Diament zażyczyła sobie podwójną porcję, co zresztą nikogo nie zdziwiło.

- Mam nadzieję, że mogę liczyć na waszą pomoc przy organizowaniu festynu - odezwała się Jasny Nefryt.

- Jakiego znowu festynu? - zdziwiła się Gorący Rubin.

- Jak możesz o to pytać? - Jasny Nefryt przykro zaskoczyła niewiedza siostry. - Gdzie byłaś, gdy o tym rozmawialiśmy?

- Była myślami przy swojej pracowni krawieckiej - próbowała tłumaczyć siostrę

Świetlisty Diament. - Myślała też zapewne o tych sukniach, które uszyła w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Ile w końcu udało ci się skończyć?

- Dziesięć, z tym że nad jedną muszę jeszcze popracować - odparła Gorący Rubin. - Przecież zamierzam otworzyć i pracownię, i sklep. Zresztą z tej to właśnie przyczyny zaprosiłam was dzisiaj. Ściany i dach budynku są już ukończone. Całość będzie gotowa za tydzień lub dwa.

- Niewdzięczni z nas goście - zauważyła Perła. - Mówimy o wszystkim, tylko nie o twojej pracowni.

Rubin energicznie potrząsnęła głową.

- Lepiej mieć kilka radosnych okazji niż jedną. - Przeniosła spojrzenie na Jasny Nefryt. - A teraz powiedz mi coś więcej o festynie.

- Chodzi o wspólną zabawę okolicznych ranczerów i mieszkańców Hanging Tree. Najlepsza byłaby ostatnia niedziela lata.

- Nefryt mówi o zabawie - wtrąciła Diament - ale tradycją takich spotkań jest również wieszanie groźnych przestępców. Stąd zresztą wzięła się nazwa miasta.

- Tylko że my - powiedział Danny - chcemy egzekucje zastąpić tańcami i piknikiem.

Jakkolwiek Diament nie wydawała się zachwycona tym pomysłem, inni okazali żywe zainteresowanie.

- Dlaczego wybraliście ostatnią niedzielę lata? - spytała Gorący Rubin.

- Jest wówczas już po żniwach, a jeszcze przed spędzaniem bydła z pastwisk. Dobry moment na zebranie wszystkich: ranczerów, kowbojów i mieszkańców miasta.

- I co planujecie na ten dzień? - spytała Rubin z rosnącym zainteresowaniem.

- Wszystko, co rozwesela duszę. Gry, zabawy, tańce, konkursy i popisy.

- Wielkie nieba - westchnęła Perła. - Nie tańczyłam od wyjazdu z Bostonu.

Cał wybuchnął śmiechem.

- Nie patrzcie tak na mnie. Nigdy jeszcze dotąd nie tańczyłem. Po prostu nie wiem, jak to się robi.

- Nauczę cię - obiecała jego żona.

- A czego ja mógłbym cię nauczyć? - spytał mąż, na co Perła odpowiedziała rumieńcem.

Kolacja dobiegła końca. Wszyscy przeszli do salonu na brandy i kawę. Kobiety omawiały sprawy związane z festynem, mężczyźni zaś interesowały, jak zwykle, prace polowe.

W końcu, gdy opróżniono szklanki i wypalono cygara, Adam odszukał spojrzeniem

żonę.

- Wracamy do domu - oznajmił. - Nie chcę, żebyś zasnęła mi w siodle.

- Ostatnio pod koniec dnia czuję się trochę zmęczona - wyznała Diament, tłumiąc ziewanie. - To chyba z powodu dziecka, które noszę w łonie.

Perła kiwnęła głową.

- Mam podobne objawy. Tyle że nie znam przyczyny.

Siostry spojrzały po sobie. Ich wiedza o okresie ciąży była praktycznie żadna.

Diament uznała, że w tych sprawach mądrzejsza jest od nich Carmelita.

- Czy ten stan mija?

- A jakże. Tyle że kiedy nosisz dziecko, musisz postępować tak, jak dyktuje ci ciało. Zbiera ci się na sen, to kładź się i utnij sobie drzemkę. Tak, sen jest najważniejszy.

- Na nas czas, Diamencie - nalegał Adam. - Wczesnym rankiem trzeba objechać ranczo i wydać stosowne polecenia. Tym razem będę musiał zrobić to sam. - Pocałował żonę w czoło. - Ty powinnaś przede wszystkim zająć się sobą.

Diament uświadomiła sobie, że sprawy przybierają nieoczekiwany dla niej obrót.

- Nigdy nie sądziłam, że może być coś ważniejszego od gospodarskich obowiązków. Każdego dnia człowiek uczy się czegoś nowego.

- Świat się nie zawali, jeśli zostaniesz w domu - próbował pocieszyć ją Cal.

Perła kiwnęła głową i wszyscy powstali. Po chwili ganek zapełnił się odjeżdżającymi gośćmi. Zaczęto się zegnąć.

- Jedziesz, Quent? - spytała Diament sennym głosem.

- Ruszajcie przodem - odparł szeryf. - Postaram się was dogonić.

- A może zaczekamy na ciebie, skoro... - Urwała, czując delikatny kuksaniec w bok. To mąż dawał jej do zrozumienia, by dała spokój.

- Rób, jak uważasz, Quent - powiedział Adam. - Tak czy inaczej, nie będziemy pędzić co koń wyskoczy.

- Do zobaczenia. - Quent wsparł się o barierkę ganku, podczas gdy goście, zajmawszy miejsca w pojazdach lub dosiadłszy koni, skierowali się ku wrotom, dzielącym prerię od porośłego trawą podwórza w obrębie zabudowań. Niebawem pochłoneła ich noc.

Kiedy ucichł turkot kół i tętent kopyt, Gorący Rubin opanowała nagła nieśmiałość. Spojrzała ku gwiazdzystemu niebu. Poczuli się nic nie znaczącym pyłkiem.

- Może masz ochotę na jeszcze jeden kawałek szarlotki? - spytała ściszym głosem.

- Nie, dziękuję.

- To w takim razie może kawy?

- Daj spokój, Rubinie. - Położył dłoń na jej zaciśniętej na poręczy balustrady dłoni i też spojrział w niebo. Zobaczył spadającą gwiazdę. Przez chwilę śledził jej lot. - Dobrze wiesz, po co zostałem. Przecież nie po to, żeby znów zasiąść za stołem.

Ośmieliła się nań spojrzeć. Na jego wyrazisty profil.

- Myślę, że...

- Nie myśl. - Pogładził ją po włosach. - Po prostu pozwól mi na siebie patrzeć.

Widział ją oblaną księżycową poświatą, w którym to oświetleniu jej zmysłowa uroda stawała się eteryczna.

- Pamiętasz nasze pożegnanie sprzed dwóch tygodni? Pocałowałem cię. Jeszcze żadnemu mężczyźnie nie wystarczył jeden pocałunek. Zostałem, by poprosić cię o więcej.

Ujął jej twarz w dłonie i zatopił wzrok w jej oczach. Wolno pochylił głowę, tak wolno, iż zamarła w oczekiwaniu na dotknięcie jego warg. Kiedy zaś już myślała, że zwłoka przemieni się w niespełnienie, poczuła na swoich ustach jego gorące wargi.

Ten pocałunek różnił się od wszystkich poprzednich. Przede wszystkim Quent nie zamknął oczu, tylko śledził jej reakcje. Jego dłonie spoczywały na jej policzkach, a kciuki delikatnie masowały brodę. Rubin ryła do tego stopnia wzruszona subtelnością jego zachowania, że wręcz bała się głębiej odetchnąć. Pomyślała bowiem, że wskutek jakiegoś nieostrożnego ruchu czar może prysnąć i już nigdy więcej nie dozna podobnej rozkoszy.

W końcu Quent oderwał usta i spojrział na nią spod przymrużonych powiek. Jego głos, gdy się odezwał, zabrzmiał wyjątkowo szorstko:

- Wiesz, że jest coś pomiędzy nami. To narodziło się tamtego dnia, gdy po raz pierwszy się spotkaliśmy.

Zanurzył palce w jej włosach, co ją zmusiło do odchylenia głowy. Czekwała na coś, co miało być powtórzeniem tamtego doznania, lecz on jak gdyby badał siłę swej woli, oceniał moc zapór, szturmowanych pragnieniami i żądzą. Widocznie jednak te ostatnie okazały się silniejsze, gdyż westchnął głęboko i rzekł:

- Bóg mi świadkiem, że próbowałem się przeciwstawić, lecz jesteś zbyt uwodzicielska, Rubinie. Któż mógłby ci się oprzeć?

I w tej właśnie chwili tuż za nimi dał się słyszeć odgłos otwieranych drzwi.

- Chciałabym się pożegnać, seniorita. Rosario już rzeka na mnie w wozie. - Carmelita dopiero teraz uświadomiła sobie, że Gorący Rubin nie jest sama.

Rysujące się na tle rozgwieżdżonego nieba dwie postacie odskoczyły od siebie.

- Dziękuję, Carmelito. Dobranoc. - Słowa te zabrzmiały zdawkowo, jednak Rubinu nie stać było w te; chwili na nic więcej.

- Dobranoc. A może chciałby pan, szeryfie, wybrać się razem z nami? Miło nam będzie w pana towarzystwie.

- Dziękuję, ale myślę, że zostanę jeszcze przez chwilę. - Przykro mu było, że odmawia tak chłodnym i szorstkim tonem.

Carmelita była jak natrętna mucha.

- Robi się chłodno. Radziłabym wejść do środka. Będzie wam wygodniej i milej.

W końcu dała im spokój i poszła sobie. Quent znów mógł się skupić wyłącznie na Rubinie. Złożył na jej czole czuły pocałunek.

- Może powinienem wskoczyć na konia i póki nie jest jeszcze za późno, uciekać stąd, gdzie pieprz rośnie.

Złękła się perspektywy tak szybkiego rozstania.

- Za późno na co?

- Na odzyskanie jasności myślenia. Jeśli zostanę, Rubinie, wiem, dokąd nas to zaprowadzi.

Kilka razy głęboko odetchnęła, chcąc uspokoić bicie rozszalałego serca. Dawał jej możliwość wyboru. Mogła w tej chwili podjąć decyzję o pożegnaniu się z nim lub poddaniu rozpaczliwemu pragnieniu, które z każdą chwilą stawało się coraz bardziej nieodparte.

Och, dlaczego to właśnie Quent Regan wzniecił w niej to pragnienie? Dlaczego musiała trafić akurat na szeryfa, stróża prawa? Był to wybór najgorszy z możliwych. Oboje o tym doskonale wiedzieli. Jednak ta świadomość niczego nie zmieniała. Coś ich pchało ku sobie. Coś, z czym już dłużej nie mogła walczyć.

Och, ojczy, czy między tobą a mamą działo się coś podobnego? - spytała w duchu.

Aż do tego momentu nic właściwie nie wiedziała o istocie związku Madeline St. Jacques z Onyxem Jewelem. Czy to namiętność sprawiała, że drwili sobie z konwenansów, plotek i opinii społecznej? A teraz to ona była kawałkiem drewnianka w nurcie wezbranej rzeki. I była o krok od popełnienia tego samego błędu.

- Nie odchodź - wyszeptała, gdy Carmelita i Rosario rozplynęły się w ciemności. - Chcę, żebyś został.

- Dobry Boże, dziewczyno! - Chwyił ją w ramiona. - Czy zdajesz sobie sprawę z konsekwencji decyzji, córą właśnie podjęłaś?

W milczeniu kiwnęła głową.

Przytulił ją do siebie tak mocno, że o mało nie połamał jej żeber. Od tej chwili ani myślał ukrywać swoich zamiarów.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Quent porwał Rubin na ręce i ruszył ku drzwiom. Otworzył je jednym mocnym kopnięciem i z sionki skręcił na schody.

Sądził, że będzie musiał spytać ją o jej pokój. Wszystko okazało się bardziej proste. Mijając otwarte drzwi, drugie po lewej stronie korytarza, wyczuł delikatny zapach róż. Bez wahania wszedł do środka. Podszedł do łóżka i uwolnił się od słodkiego ciężaru.

Przez okno wsączała się księżycowa poświata. Rubin w tym świetle wyglądała wręcz zjawiskowo.

Obsypał jej twarz pocałunkami. Całował jej czoło, skronie i policzki.

Drżała niczym w febrze, ale nie cofała się przed tym naporem uczuć.

Quent marzył o takiej chwili już od dawna. Obmyślał to sobie podczas tych wszystkich nocy na szlaku, kiedy leżał pod kocem, mając nad sobą rozgwieżdżone niebo. Wtedy to właśnie układał sobie w myślach wszystkie szczegóły związane z dniem swojego powrotu do Hanging Tree. Ale nie widział miasta i jego mieszkańców. Oczyma duszy widział jedynie piękną młodą kobietę, która kusila go i drażniła. Pożądanie stawało się męką nie do zniesienia.

Lecz teraz byli razem i już wiedział, że tamte fantazje były niczym wobec rzeczywistości.

- Rubinie, jesteś taka piękna, że brak mi słów. - Pocałował ją w koniuszek nosa, potem w kąciki ust i czubek brody.

Ona zaś, drżąca, wciąż czekała na moment złączenia się z nim w długim i gorącym pocałunku.

On jednak wybrał okrężną drogę. Zbliżył usta do jej acha i zaczął pieścić je językiem. Jego gorący oddech spływał rozkosznym dreszczem po karku, a potem dalej, wzdłuż kręgosłupa. Dostała gęsiej skórki. Rozkosz, jakiej doznawała, zaczynała graniczyć z bólem. Westchnęła z cichym jękiem i próbowała odsunąć się od Quenta. Na przeszkodzie stanęły jego zaborcze ramiona.

- Quent...

- Sza - zamknął jej usta pocałunkiem.

I to najśłodszym, najbardziej namiętnym. Równocześnie pieścił jej ciało. Zarzuciła mu ręce na szyję i w tym momencie poczuła, że dotarł do jej piersi. Dotknął palcami stwardniałych brodawek.

Odczuła tak intensywne pragnienie, iż przez moment myślała, że umrze. Pragnęła

więcej. Chciała dostać wszystko. Przywarła do niego.

Zaczął ją rozbierać. Zanim pozwolił sukni zsunąć się na podłogę, musiał poradzić sobie z licznymi guzikami. Suknia ułożyła się wokół stóp Rubinu.

Następnie przyszła kolej na koszulę i halkę.

- Chcę wreszcie zobaczyć cię całą - szepnął. I zobaczył.

Rubin nie czuła wstydu. Od dawna wiedziała, iż prędzej czy później nadejdzie taki dzień, gdy jakiś mężczyzna zobaczy ją nagą. Pewnym zaskoczeniem był tylko fakt, że tym mężczyzną okazał się Quent Regan.

- Jesteś piękna. Tak piękna, że aż lękam się ciebie dotknąć.

A jednak pragnienie okazało się silniejsze od lęku. Zaczął dotykać jej, zrazu nieśmiało, potem już pewnie i bez oporów.

Wzbudził w niej ochotę czynienia tego samego.

- I ja chcę dotykać ciebie. - Wyciągnęła rękę ku guzikom jego koszuli.

- Pozwól, że sam to zrobię. - Po chwili stał przed nią nagi.

Zbliżyli się do siebie. Miękkość dotknęła twardości Szorstkość ją ocierać się o delikatność.

- Drżysz - szepnął. - Boisz się?

- Nie. - Kręciło się jej w głowie. - Może trochę. Z jego gardła wydobywały się dziwne pomruki. Nie poznawała jego głosu.

- Nie musisz się niczego obawiać. To ja tracę siły. To ze mną możesz w tej chwili zrobić wszystko.

Muskała rozpalonymi wargami jego tors.

- Drzę, bo jesteś ze mną. Dotykasz mnie.

Jej policzki płonęły, oczy ściemniały od żądz. Kołysali się na fali pożądania niczym dwa kłosa na wietrze.

Aż wreszcie opadli na łóżko.

- Chcesz, żebym ci powiedział, co za chwilę zrobię? Wczepiła się palcami w jego włosy.

- Nie - jęknęła. - Nie mów. Wolę, żebyś zrobił.

Tak oto dała mu klucz do klatki, w której zamknięte ryło dzikie zwierzątko. Miał je uwolnić.

Dotarł dłonią do jej najintymniejszego miejsca.

Jakby ktoś dotknął jej rozpaloną głownią. W płucach zabrakło powietrza. Gardło zaschło. Uda zrosił pot.

Z dworu dochodziły odgłosy nocy. Cykady cykały. W oddali rozległo się przejmujące wycie kojota.

W Quenta wstąpiła dzikość, lecz jeszcze mocował się ze sobą.

- Powiedz mi - wyszeptał - powiedz mi, że mnie pragniesz.

- Pragnę cię.

Poczuł, że nie jest już zdolny narzucić sobie niczego. Zawładnęło nim bez reszty nieprzeparte pragnienie posiadania.

Uniósł się nieco na łokciach.

- Wymów moje imię, Rubinie. Niech usłyszę je w twoich ustach.

- Quent - wyszeptała, po czym w jakimś radosnym porywie powtórzyła je kilkakrotnie. Wydało jej się piękne niczym początek pieśni miłosnej. - Pragnę cię, Quent.

Opadł na nią, zamroczony żądzą. I zamarł.

- Boże w niebiesiech! - Czy to możliwe? Czy możliwe było coś, co jego serce od dawna pragnęło - odkryć?

- Quent, o co chodzi? - Chwyliła go za ramiona. Zaniepokoiło ją to jego nagle cofnięcie się.

Ale on bynajmniej nie wycofywał się. Zachowywał się raczej jak człowiek, który przeżywa chwilę wahania przed przeszkodą, którą musi pokonać.

- Jesteś... - Dygotał, gdyż wszystko pchało go ku jednemu tylko celowi. - Powinnaś była powiedzieć mi, Rubinie. Ty nigdy... - Nienawidził siebie. - Jesteś dziewczcą.

- *Oui*. - Jej twarz zajaśniała uśmiechem. - Jesteś moim pierwszym, Quent. - Najczulej, jak mogła, pogładziła go po policzku. - Czy żałujesz tego?

- Żałuję? - Pokręcił w zdumieniu głową. - Przecież to marzenie każdego mężczyzny. Raczej powinienem czuć się zaszczycony. Nie miałem pojęcia, że... - Przy - cisnął czoło do jej czoła. Modlił się o siły, które pozwoliłyby mu postąpić zgodnie z zasadami honoru. - Mężczyzna powinien wiedzieć, co mu wolno.

Zarzuciła mu rękę na szyję.

- Proszę, Quent - szepnęła. - Nie możesz porzucić mnie w tej chwili. „Właśnie tego ci nie wolno.

Serce waliło mu jak młotem. Krew kipiała i burzyła się. Oddychał płytko, spazmatycznie.

Nagle Rubin się poruszyła. Oplotła go nogami i uniosła się ku górze.

Wszedł w nią, docierając do samej jej upalnej głębi. Już nie było odwrotu. Jego ruchy nabrały zdecydowania. Zresztą Rubin była mu przewodniczką. Chciała dokładnie tego

samego. Ofiarowywała mu swoje młode i nieskalane ciało, żądając w zamian tylko tego, by nie odtrącał tego daru - tego nasyconego żarem słonecznym soczystego owocu.

Aż w końcu zatraciła się. Zaczęła się prężyć i wić. Krzyknęła, gdy osiągnęła szczyt. Ekspłodował. Zamroczony, zapadł się w siebie.

Potem przez jakiś czas leżeli bez ruchu, ciężko oddychając. Quent rozkoszował się różnym zapachem jej włosów. Wiedział, że ów zapach zawsze będzie przywodził mu na myśl tę noc i tę niezwykłą, zdumiewającą młodą kobietę.

Nagle opanowały go wyrzuty sumienia. Odgarnął włosy z jej czoła.

- Rubinie, wybac mi. Powinienem był zatrzymać bieg wypadków, zanim rzeczy wymknęły się nam spod kontroli. - Czuł się w tej chwili słaby tyleż na ciele, co na duchu. Przywarła ustami do jego dłoni.

- Cicho. Nie sądziłam, że z ciebie taki gaduła. Dotąd raczej skąpiłeś mi słów.

- A więc nie żałujesz? - spytał, nie kryjąc zaskoczenia.

- A ty żałujesz? - odparła pytaniem na pytanie.

- Oczywiście, że nie. Ale myślałem... - Uważnie przyjrzał się jej twarzy. Dostrzegł malujące się na niej pełne zadowolenie. Jak u kotka, który dopiero co wylizał słodką śmietankę z miseczki. - Nie gniewasz się, że zabrałem ci dziewictwo?

- Nie tyle ty mi je zabrałeś, co ja ci je oddałam. A to istotna różnica - odparła, po czym namiętnie pocałowała go w same usta.

Poczuł, że to, co się wydarzyło, musi się powtórzyć.

- Jutro będziesz trochę obolała. Pieszczotliwie wytargała go za ucho.

- Mała cena, zważywszy ogrom przyjemności.

Uśmiechnął się. Była cudowna. Pod każdym względem. Flirtowała, jakby był jej kolejnym kochankiem.

- Chcesz wiedzieć, od jak dawna cię pragnę, Rubinie? - spytał gardłowym głosem.

Wzięła głęboki oddech.

- Zamieniam się w słuch. Położył dłoń na jej piersi.

- Od pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałem. A było to wówczas, gdy po raz pierwszy pojawiłaś się w mieście. ubrana w tę swoją obcisłą czerwoną suknię i jakby nieświadoma tego, co dzieje się z patrzącymi na ciebie mężczyznami.

- Włącznie z tobą?

- Włącznie ze mną, kusicielko.

I ponownie złączyli się w miłosnym uścisku, dając i biorąc rozkosz, krzycząc, dysząc i się śmiejąc.

- Przykro mi, że Onyx umarł w tak stosunkowo młodym wieku. - Quent wypowiedział te słowa z nutą niekłamane go smutku. On i Rubin leżeli w skotłowanej pościeli. - Był cudownym przyjacielem. Dotąd nie mogę go odżałować. Myślę jednak, że jego śmierć wyda wspaniały plon. Chcesz przykładu? Oto on. Nigdy bym cię nie spotkał, gdybyś nie przyjechała na jego grób.

Skinęła głową.

- Ja również nie mogę pogodzić się z jego śmiercią. Zresztą nie tyle tu przyjechałam, co przyleciałam na skrzydłach. Jedno z tych skrzydeł to pragnienie zmówienia modlitwy nad jego grobem, drugie to chęć sprawdzenia, co też trzymało go tutaj, w tym jego ukochanym Teksasie. I zdaje się, że jeszcze zanim opuściłam dom, wiedziałam, że nigdy już tam nie wrócę.

- Dlaczego?

- Bayou Rouge to same smutne wspomnienia. Ludzie szkalowali i oczerniali moją matkę. I tylko dlatego, że nie wyszła za ojca dziecka, które urodziła.

- Ale dom jest zawsze domem, bez względu na ludzi zamieszkujących w sąsiedztwie.

- Nie. Tu jest mój dom. Tu czuję się u siebie. Przygarnął ją do piersi. Pragnąłby jednym słowem zaleczyć wszystkie jej rany. Było to niemożliwe. Mógł co najwyżej dać jej trochę rozkoszy i zapomnienia. - Kiedyś przyrzekłam sobie, że ułożę sobie życie, nie oglądając się na innych. - Bawiła się włosami porastającymi jego tors. - Ale to trudna sprawa. - Uświadomiła sobie, że Quent uważnie się jej przygląda. - Wiem, co mówią o mnie. Że muszę być podobna do mamy, bo noszę zbyt opięte, wyzywające suknie. Mimo że taka ocena sprawia mi przykrość, postępuję po swojemu. Pragnę pokazać im, że nie mogą mi niczego dyktować. Tak miło i łatwo rozmawiało się jej z Quentem. Był wspaniałym słuchaczem. Widziała, jak chłonał każde jej słowo.

- Siostra Dominika zwykła była mówić, że to mój sposób sprzeciwiania się władzy.

- Wygląda na to, że była mądrą kobietą. Rubin całkowicie się z tym zgadzała.

- I moją jedyną przyjaciółką. Ciekawa jestem, co by powiedziała, dowiedziawszy się, że w Teksasie odnalazłam trzy siostry.

- Nazwałaby cię szczęściarą. To niezwykle kobiet}'. Pasujecie do siebie.

Gorący Rubin uśmiechnęła się, po czym objęła ramionami mężczyznę, który tej nocy wprowadził do jej życia tyle słodczy i upojenia.

- My również pasujemy do siebie.

- Jak klucz do zamka - zażartował.

- To chyba ty jesteś tym kluczem. - Jej zmysłowy, gardłowy śmiech sprawił, że Quent

zadrzał.

- A ty zamkiem, który zaraz otworzę - mruknął i po raz kolejny tej nocy zagubił się w niej i zatracił.

- Co robisz?

Za oknami wciąż panowała ciemność, tylko na wschodnim nieboskłonie dawał się zauważać jaśniejszy pas świtu. Szczelnie okrywając się kocem, Gorący Rubin wtuliła się w nagrzaną niszę w posłaniu, jaką pozostawił po sobie Quent.

- Chciałbym ubrać się i wrócić do miasta. - Quent stał na środku pokoju, wybierając z rozrzuconych części garderoby własne ubranie. - Arlo ma już pewnie dość czuwania. Najwyższy czas, bym zwolnił go do domu.

Rubin wyciągnęła się i podłożyła ręce pod głowę. Obserwowała go spod przymrużonych powiek. Schylał się i prostował. Był wspaniały. Tylko takie określenie przychodziło jej na myśl.

Przez całą noc gwałtowność miłosnych uniesień przeplatali delikatnością pieśzcot. To zbliżali się do granicy szału, to znów zachowywali się jak długoletni kochankowie.

- Jesteś taki piękny - powiedziała.

Odwrócił głowę i popatrzył na nią z łobuzerskim uśmiechem.

- Nigdy nie przypuszczałem, że kiedykolwiek usłyszę o sobie coś takiego.

- Usłyszałeś prawdę. Masz piękne ciało. Zarazem szczupłe i umięśnione. I zbrązowiełe od słońca.

- Mów dalej. Miło tego słuchać. - Podniósł z podłogi koszulę.

- Pamiętam, że na początku wzbudzałeś we mnie lęk.

- Ja? Dlaczego?

- Przypuszczam, że to z powodu... gwiazdy szeryfa. Podszedł i usiadł na brzegu łóżka.

- Dlaczego moja gwiazda miałaby tak działać na ciebie?

- Och, to trudno wytłumaczyć. Być może przyczyna leży w tym, że... - Wzruszyła ramionami, umykając spojrzeniem. - Zresztą nie wiem.

Ujął ją pod brodę, zmuszając do patrzenia mu w oczy.

- Myślę, że wiesz. Czy chodzi o to, że uważasz gwiazdę za symbol władzy? Podobnie jak ci, którym zwykłaś się opierać?

Odepchnęła jego rękę.

- Być może. Nie wiem.

- A jeśli wyjaśnię, jak zostałem szeryfem, pomoże ci to w czymś?

- O ile wiem, poszedłeś w ślady ojca.

Przez chwilę spoglądał na jej białe krągłe ramię. Jej ciałem nie sposób się było nasycić.

- W czasach młodości szumiałem i harcowałem.

Nienawidziłem dyscypliny. Podejrzewam, że wiele razy musiałem głęboko zranić ojca, któremu się przeciwstawiłem. Przystawałem z typkami spod ciemnej gwiazdy. Nie myśl tylko, że była to banda morderców. Po prostu rozrabialiśmy. Piliśmy, dziurawili kulami ściany i sufity w knajpach i łamali meble. Gdy teraz patrzę wstecz, myślę sobie, że niewiele brakowało, a całkiem bym się stoczył.

- I co zawróciło cię z tej niebezpiecznej drogi? - zapytała.

- Pewien bandzior, prosto po ucieczce z więzienia pojawił się w okolicy, by wyrównać rachunki z moim ojcem. Tchórz strzelił mu w plecy i uciekł. Nie mogłem mu tego puścić płazem. Gdy już ruszałem w pogoń za mordercą, nadjechał Onyx Jewel. Przypiął mi do koszuli gwiazdę ojca i mianował zastępcą szeryfa. Następnie powiedział, że oczekuje po mnie nie tyle zemsty, co wymierzenia sprawiedliwości. - Quent potrząsnął głową. - Nie mogłem uwierzyć, że człowiek tej miary co Onyx zaufał mi w sprawie tak wielkiej wagi. To jego zaufanie odmieniło moje życie.

- Złapałeś zabójcę? Potwierdził skinieniem głowy.

- Zabrało mi to blisko dwa tygodnie, lecz w końcu go dopadłem.

- Zabiłeś go?

Na chwilę przymknął oczy.

- Chciałem to zrobić. Bardzo chciałem. Ta przeklęta gwiazda, na którą ciągle spoglądałem, zabraniała mi tego. Pamiętałem słowa Onyxa Jewela. Nie miałem wątpliwości, że tylko honorowym czynem mogę uczcić pamięć ojca. On zawsze trzymał się zasad. I dlatego nie miałem wyboru. Bez względu na to, jak bardzo pragnąłem krwi, musiałem dostosować się do wymogów prawa. Schwyciłem mordercę i wróciłem z nim do miasta.

Gorący Rubin poczuła, że pod powiekami zbierają się jej łzy. Jakże pasowało to do jej ojca - zaufać zbuntowanemu młodzieńcowi, dla którego prawo nie przedstawiało dotychczas żadnej wartości. Onyx Jewel miał rzadką zdolność przejrzania na wylot drugiego człowieka. Wiedział o innych więcej, niż oni sami wiedzieli o sobie.

Nagle zorientowała się, że Quent głaszcze ją po głowie.

- Tak więc masz już pełną odpowiedź na swoje pytanie. Pomędzy mną a moim ojcem i między mną a twoim ojcem została zawarta milcząca umowa, że będę nosił tę gwiazdę i dbał o bezpieczeństwo mieszkańców Hanging Tree, a tym samym bronił ich przed szaleńcami, którym posiadanie rewolweru daje przeświadczenie, iż wszystko im wolno.

- Gdzie znajduje się grób twojego ojca? - spytała niespodziewanie Rubin.

Zmarszczył brwi.

- Na obrzeżach miasta. Jego mogiła sąsiaduje z mogiłą mojej matki. Umarła, gdy miałem dziesięć lat.

- Chciałabym odwiedzić groby twoich rodziców.

- Dlaczego?

Usiadła, nieświadoma swojej nagości, i zarzuciła mu rękę na szyję.

- Żeby powiedzieć im, jakiego cudownego, szlachetnego i dzielnego mają syna.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Chłodna, rześka bryza ciągnęła od Widow's Peak, przyginając ku ziemi wysokie trawy i marszcząc powierzchnie nielicznych w tej okolicy strumieni. Quent Regan otworzył tylne drzwi aresztu i rozkoszował się orzeźwiającym powietrzem. Uwielbiał takie dni. Ani za gorące, ani za chłodne.

W ciągu najbliższej godziny powinna pojawić się w mieście Rubin. To uczyni ten dzień z pewnością jeszcze piękniejszym.

Wrócił z uśmiechem do biurka, na którym piętrzył się pokaźny stos dokumentów. Ostatnio wiele myślał o pannie Jewel.

Do diaska, dlaczego ta kobieta działa na niego jak żadna inna? Nie potrafił sobie przypomnieć, by kiedykolwiek czuł się tak wspaniale jak teraz. Był pełen życia, radosny, wesoły... szczęśliwy.

Potrząsnął głową. Czyżby doszło do tego, że stanął na granicy podjęcia decyzji o małżeństwie? Albo, co gorsza, o własnych dzieciach? Właściwie nie wydawało mu się to wcale takim złym pomysłem. Myśl o tym, iż mógłby dzielić resztę życia z Gorącym Rubinem, wywołała na jego twarzy uśmiech.

Spojrzał ku drzwiom na wchodzącą Birdie Bidwell.

Niosła na tacy przykryte białą serwetą śniadanie. Poczł aromat gorącej kawy i zniewalający zapach świeżo upieczonych ciasteczek. Puścił do dziewczyny perskie oko.

- Wygląda na to, że Millie dziś rano przeszła samą siebie.

- Chyba tak, sir. - Birdie rozłożyła na biurku lniany obrusik i zaczęła ustawiać na nim talerze, kubki i sztucce. - Chociaż można się temu dziwić, zważywszy, w jakim jest nastroju.

- A cóż się stało? - Quent uniósł parujący kubek do ust.

- Wydaje się, że ją obrabowano.

Quent gwałtownie odstawił kubek z kawą, ochlapując blat biurka i dodatkowo parząc sobie rękę. Ledwo co zdołał powstrzymać cisnące mu się na usta przekleństwo.

Zmrużył oczy.

- Co ukradziono? Dziewczynka wruszyła ramionami.

- Z tego, co wiem, to jedynie małą śliczną broszkę. Nie mam pojęcia, dlaczego gospodyni rozpacza po takiej drobnostce, ale tonie we łzach od chwili odkrycia straty.

Nagle Quent zapomniał o śniadaniu. Przemierzył szybkim krokiem pokój, chwycił kapelusz i skierował się ku drzwiom.

- Szeryfie, co ze śniadaniem? - zawołała za nim Birdie, on jednak nie odwrócił głowy.

Po kilku minutach stukał już do frontowych drzwi pensjonatu. Otworzyła Millie i cofnęła się, by mógł wejść.

Mógł sam zobaczyć, że przed chwilą płakała. Miała zapuchnięte oczy, a nos czerwony od wycierania chusteczką.

- Birdie powiedziała, że cię okradziono.

- Och, Quent... - Jej dolna warga wykrzywiła się, zapowiadając atak płaczu. Zdołała jednak go powstrzymać.

- Podobno zginęła ci jakaś drobnostka.

- To była... broszka. - Tym razem Millie dała upust łzom. Samo mówienie o stracie raniło jej serce. - Złoty skręcony pręcik z kilkoma błyszczącymi kamykami. To była ostatnia rzecz, jaką podarował mi Mick przed... - Zaniosła się płaczem. Po chwili wykrztusiła: - To wszystko, co pozostało mi po Micku.

- Nie przypominam sobie, byś ją kiedykolwiek nosiła - powiedział cicho Quent.

Miał świadomość beznadziejności sytuacji. Millie nigdy nie płakała, a przynajmniej on nigdy nie widział łez w jej oczach. Była najsilniejszą i najodważniejszą kobietą, jaką znał. Po śmierci męża zamieniła dom na pensjonat, by utrzymać trzy córki. Harowała bez słowa skargi.

- Broszka była zbyt droga, by ją nosić. - Millie przetarła oczy wierzchem dłoni. Starła się wziąć w garść. - Trzymałam ją w szufladzie komody, by codziennie na nią popatrzeć. Przypominała mi tamtą ostatnią noc z Mickiem. Och, Quent, któż mógł uczynić coś tak okrutnego?

Szeryf otoczył ją ramieniem i posadził na krześle. Klękając przed nią, chwycił jej dłoń.

- Kiedy zauważyłaś stratę?

- Dziś rano. Podczas sprzątania sypialni. Jeszcze zanim zeszłam na dół przygotować śniadanie.

- Czy jesteś pewna, że kradzież nastąpiła wczoraj? Skinęła głową.

- Wczoraj rano. Zwykłam patrzeć na broszkę każdego ranka przed rozpoczęciem codziennej krzątania.

- Być może była tam April, May lub June. Wiesz, jakie są dzieciaki, Millie. Może któraś z twoich dziewczynek pożyczyła ją sobie, a potem po prostu zapomniała odłożyć na miejsce.

Millie pokręciła głową.

- Żadna z dziewczynek nie zachodziła do mojej sypialni. Poza tym dobrze znają

wartość tej broszki, Quent. Wartość zarówno uczuciową, jak i materialną.

- No dobrze. - Ścisnął jej dłonie. - Teraz skup się i pomyśl, Millie. Czy ktoś inny mógł znaleźć się w twojej sypialni? Może Birdie?

Przełknęła łzy, zmuszając swój umysł do wysiłku.

- Nikt wczoraj nie został u mnie na nocleg, toteż Birdie nie była potrzebna na górze. Nikogo nie było. Czeka! - Zmarszczyła brwi. - Przypominam sobie. Była Gorący Rubin.

Quent poczuł, jak dreszcz przebiegł mu po plecach. - Co Rubin robiła na górze?

- Przyniosła próbkę koronek, które zamówiła. - Millie głośno pociągnęła nosem. - Musisz pamiętać, Quent. Chodzi o tę koronkę na obrus, który obstałowałam.

- Taaak. - Robił wszystko, by zachować spokój. - Przypominam sobie. Jak długo była na górze?

- Myślę, że kilka minut. Właśnie rozwieszałam pranie, a Birdie powiedziała jej, gdzie może mnie znaleźć. Położyła koronkę na łóżku, a potem we dwie ją podziwialiśmy.

- I co dalej? - Quent czuł silny ucisk w żołądku. Wiele by dał, by nie usłyszeć tego, co za chwilę miało zostać powiedziane.

Millie przymrużyła powieki, pociągnęła nosem i powiedziała:

- Pamiętam, że Rubin zaproponowała, byśmy zeszły na dół, gdzie będę mogła ocenić, czy koronka pasuje do stołu i firanek.

- Która z was pierwsza zeszła? - Quent nie patrzył w tej chwili na swoją rozmówczynię. Nie miał odwagi. Wpatrywał się w jej dłonie i zastanawiał, które z nich dwojga potrzebuje większej pomocy.

- Myślę, że ja. Tak. - Kiwnęła głową. - Rubin została jeszcze na chwilę, by zwinąć materiał. Dopiero potem mnie dogoniła.

Podniósł się z klęczek. To zadawanie pytań sprawiało mu ból.

- A poza tym nikogo więcej nie było wczoraj na górze?

Millie Potter zastanawiała się przez chwilę. Nagle jej oczy rozszerzyły się.

- Quent, chyba nie myślisz... - Zakryła usta dłonią. - Ma się rozumieć, słyszałam te plotki. Zresztą chyba już wszyscy słyszeli o pobycie panny Jewel w areszcie. Tylko że ja nigdy nie uwierzę, że zrobiła to, o co ją oskarżają. - Świeże łzy popłynęły jej z oczu. - Jej ojciec był najbogatszym ranczerem w Teksasie. Po cóż miałyby to robić? - Zaszlochała. - Nie mogła ukraść proszki Micka. Och, nie, Quent. Nie. Nie zrobiłaby tego. Nigdy.

- Przecież nie mówię, że to zrobiła, Millie. - Podał jej swoją czystą chusteczkę.

- Czy zamierzasz porównać moje zeznania z zeznaniami panny Jewel?

- Nic innego mi w tej chwili nie pozostaje. - Już stojąc w drzwiach, odwrócił się i

dodał: - Nie martw się, Millie. Nie spocznę, póki nie odkryję, kto to zrobił.

Na ulicy Quent wcisnął kapelusz na głowę i ruszył przed siebie. Przemierzył około dziesięciu metrów, gdy ujrzał Gorącego Rubina stojącą pomiędzy Farleyem Duke'em a Byronem Connerem. Wymachiwała rękami w pełnych ekspresji gestach. Jej usta nie zamykały się nawet na moment. Cokolwiek mówiła, sprawiała, że obaj mężczyźni uśmiechali się i przytakiwali, wpatrując się w nią cielecym wzrokiem.

Ach, była w tym świetna. Ale z nim tym razem tak łatwo jej nie pójdzie.

- Rubinie... - Podszedł do niej na sztywnych nogach. Obserwował, jak jej uśmiech staje się jeszcze bardziej promienny. Dawała mu w ten sposób znać, że jest uszczęśliwiona z tego spotkania. Istotnie, sprytu jej nie brakowało.

- Dzień dobry, Quent - powiedziała, nie kryjąc radości. Nie mogła oderwać oczu od swego strzelistego niczym topola i władczego kochanka. - Czyż nie cudowny mamy dzisiaj dzień?

- Chciałbym zamienić z tobą kilka słów.

- Ależ oczywiście. - Wydawał się podenerwowany. Możliwe, że ponownie przyłapał Arlo na spaniu w biurze. To tłumaczyłoby jego wręcz szorstkie zachowanie.

- Jak tylko skończę rozmowę z panem Duke'em i panem Connerem. - Odwróciła się ku szefowi ekipy budowlanej. - Zdecydowałam, że trzeba zbudować podwyższenie w kącie dla mych klientek. Będzie mi łatwiej wziąć miarę.

Farley skinął głową.

- Rozumiem, *ma'am*.

- Poza tym - przeniosła wzrok na bankiera - zamówiłam kilka dużych luster, oczywiście, najlepszej jakości.

- To nie powinien być żaden problem, panno Jewel - powiedział Byron Conner. - Dopóki nie przekroczymy w wydatkach złożonej na koncie sumy, dopóty nie mamy się o co kłopotać.

- Ale to będą bardzo drogie lustra - przyznała Rubin - i przyplyną aż z Nowego Jorku.

- Powiada pani, że aż z Nowego Jorku! - Bankier nie ukrywał wrażenia, jakie to na nim zrobiło. - Czy przemyślała pani ten wydatek?

- Zapewniono mnie, że kto kupuje drogo, ten kupuje tanio. Moje klientki będą usatysfakcjonowane. Uważam, że podjęłam słuszną decyzję.

Niechętnie skinął głową.

- Skoro tak pani uważa, panno Jewel. Tylko że w ten sposób możemy przekroczyć limit wydatków.

- Coś wymyślę - zapewniła go. - Niech pan to mnie zostawi.

Mężczyźni odeszli i Rubin zwróciła się ku Quentowi z wyrazem oczekiwania na twarzy.

- A teraz jestem do twojej dyspozycji.

Jego głos był równie zimny, jak jego spojrzenie.

- Radziłbym przygotować się na najgorsze. Uśmiech powoli zniknął z jej twarzy.

- Nie rozumiem....

- Co właściwie powiedziałaś Byronowi Connerowi? Ze znajdziesz jakiś sposób, by zapłacić za te kosztowne lustra?

Skinęła głową.

- Nawet jeśli miałyby się to łączyć z krzywdą wyrządzoną Millie?

- A któż chciałby ją krzywdzić? - Ściągnęła brwi. - To, co mówisz, nie ma sensu. Nie wiem, co masz na myśli.

Widząc nadjeżdżający powóz, chwycił ją za ramię i odciągnął na pobocze drogi.

- To, co zrobiłaś, także nie ma sensu. Ale jestem pewien, że znalazłaś jakiś powód, który pasowałby do twojej pokręconej logiki.

- Powód? Do czego?

Próbowała uwolnić się z uścisku, ale Quent nie puszczał.

- Do popełnienia kradzieży. Po raz wtóry.

- Kradzieży?!

- Dobrze słyszałaś. O, byłbym zapomniiał. Ty nie nazywasz kradzieżą zagarnięcia cudzej własności, nieprawdaż? Myślę, iż nazwiesz to swoją małą zemstą. Ale cóż takiego mogła zrobić ci Millie?

- Czy coś jej ukradziono?

- Już dość tych kłamstw. Nie mam zamiaru nabierać się więcej na te miny niewiniątka.

- Już od chwili rozstania się z Millie przepelniała go wściekłość. Teraz zaś, widząc Gorący Rubin tak świeżą, ponętą i piękną, i w do datku mówiącą tym swoim gardłowym głosem, poczuł, że jego gniew osiąga punkt krytyczny. Mimo to jego zdradzieckie ciało reagowało na jej bliskość. - Nie tym razem. Rubinie. Tym razem masz powiedzieć prawdę. I musisz wynagrodzić krzywdę wyrządzoną Millie.

W końcu udało się jej uwolnić ramię. Wyzywająco uniosła brodę.

- Twierdzisz, że mam coś należącego do Millie Potter? Jesteś w błędzie. Uważam twe oskarżenie za niewybacalne. Żądam przeprosin, Quent.

- Niech cię piekło pochłonie! - Już nie panował nad sobą. Złapał ją za ramiona i uniosł

do góry, jakby z zamiarem ciśnięcia o ścianę najbliższego budynku. - Pewnie sądzisz, że wciąż jeszcze nie przejrzałam cię na wylot. Postanowiłaś sobie, że będę jadł ci z ręki, bo wtedy będziesz mogła robić, co zechcesz. Cóż, tym razem posunęłaś się za daleko. Nie była to jakaś tam zwykła sobie broszka. Millie dostała ją w prezencie od zmarłego męża. Podejrzewam, że do tej chwili wyplakała już sobie oczy. Teraz ostrzegam cię, Rubinie. Jeśli nie wyznasz mi prawdy, zamknę cię w celi i wyrzucę klucze. Czy wyrażam się jasno?

Gdyby spojrzenie mogło zabijać, Quent leżałby już martwy. Rubin powiedziała lodowatym tonem, akcentując każdą sylabę:

- To, o co mnie oskarżasz, jest godne pogardy.

- Akurat w tym punkcie zgadzamy się ze sobą. Ale do rzeczy, Rubinie.

Zaklęła, mieszając francuskie i angielskie przekleństwa.

- Nie mam broszki Millie Potter. Co więcej, nigdy jej nie widziałam. Do diabła, czyżbyś chciał mnie zmusić do przyznania się do czegoś, czego nie zrobiłam?

- Dość już tego! - warknął. - Słodkimi słówkami niczego nie zdołaasz. Jeśli nie wyznasz mi teraz całej prawdy, to...

- To co?

- Powtarzam: zamknę cię w areszcie. Zostaniesz tam do chwili, aż dowiem się, gdzie jest broszka Millie.

- Nie ośmielisz się.

- Zaraz się o tym przekonasz.

Mówiąc to, podniósł ją, przerzucił przez ramię i pomaszerował ulicą w stronę aresztu. Odbyło się to na oczach mieszkańców miasta, którzy zaraz całe wydarzenie zaczęli komentować.

Więści rozszerzały się z szybkością ognia szalejącego na prerii. Effie Spitz opowiedziała o wszystkim Lavinii Thurlong, która przekazała nowinę Gladys Witherspoon. Ta z kolei nie była w stanie powstrzymać się od powiadomienia każdego, kogo spotkała, o tym, że szeryf Regan zawłókł pannę Jewel do więzienia. I to drugi raz w ciągu kilku ostatnich tygodni. Arlo Spitz wyjaśnił żonie, że powodem była kradzież broszki Millie Potter. Żona Arlo, Effie upiększyła historię do tego stopnia, że Gorący Rubin zaczęła w niej przypominać sławną Jane James.

- Rufus Durfee poszukuje woreczka tytoniu, który zniknął mu z półki blisko tydzień temu. - Effie zniżyła głos. - Podejrzewał o kradzież swoich chłopaków, bo wie, że palą za stacją Neville'a Oakleya. Nie byłabym zdziwiona, gdyby szeryf znalazł teraz zgubę w kieszeni panny Jewel. Sądząc z jej zachowania, prawdopodobnie też pali tytoń.

Mąż zmierzył ją krytycznym spojrzeniem.

- Następnym razem powiesz, że pije whisky i tańczy z klientami w saloonie Bucka.

Effie spłonęła rumieńcem.

- Cóż, sam wiesz, co mówią o kobietach pokroju panny Jewel. Jeśli kradnie, to prawdopodobnie łamie też inne zasady. A przecież nie możesz zaprzeczyć, iż jest złodziejką. Prawdopodobnie poradziłyby sobie ze wszystkim, co nie byłoby przybite gwoździami.

- Effie! Lepiej, żeby szeryf Regan nie usłyszał tego, co teraz wygadujesz.

- A to dlaczego? Założę się, że ma zamiar od dzisiaj trzymać swoje rzeczy pod kluczem. Nic już mnie nie zaskoczy, cokolwiek usłyszę na temat tej bezczelnej osóбки. Mówiłam ci, jak tylko pierwszy raz ją zobaczyłam w tej jej czerwonej sukni i dziwnym kapeluszu, że to niebezpieczna istota. Chyba nie zaprzeczysz, Arlo?

Jej mąż wstał i wyszedł z domu, mruczając coś pod nosem. Śpieszył się do pracy. Poza tym nie chciał przegapić awantury, jaka musiała wybuchnąć pomiędzy panną Jewel a szeryfem.

Effie również ruszyła na miasto. Ostatecznie nie każdego dnia w tak małym miasteczku jak Hanging Tree pojawiał się tak cudowny temat do plotek. Wręcz nie mieściło się w głowie, że jedna z najbogatszych kobiet Teksasu jest pospolitą złodziejką.

Kiedy Diament wjechała do miasta, zdziwił ją tłum zgromadzony na głównej ulicy. Ludzie, wyraźnie podekscytowani, rozmawiali o czymś, nikt jednak do niej nie podszedł. Zsiadła z konia przed sklepem i spokojnie weszła do środka.

Kilka kobiet stało z boku, szepcząc i chichocząc. Kiedy Diament zmierzyła je wzrokiem, momentalnie ucichły.

- Jak się masz, Rufus? - zawołała, podchodząc do lady ciężkim krokiem.

Im większy był jej brzuch, tym trudniej było jej się poruszać. Szczególnie w wysokich butach i skórzanych spodniach.

- Witaj, Diamencie. - Rufus Durfee manifestacyjnie zdjął okulary i przetarł je fartuchem. Odniosła wrażenie, że unika jej wzroku.

- Wyjątkowo tłumnie tu dzisiaj. Co się stało?

- Och, nic takiego - odparł i założył okulary. - W czym mogę pomóc?

- Chodzi o specjał twojej żony. Mówię o korniszonach. Tatko zwykł je kupować na różne okazje.

Rufus przytaknął.

- Nadal je sprzedajecie?

- Tak, oczywiście. Diament uśmiechnęła się.

- Ach, Rufus. Całą noc rozmyślałam o tym przysmaku. Nie dawało mi to spokoju.

Obrzucił ją dziwnym spojrzeniem.

- Przyjechałaś do miasta wyłącznie dla ogórków. A to dobre! - Podszedł do szafy i wyciągnął mały szklany słoiczek.

- Jeden wystarczy?

- A ile ich masz? Zmrużył oczy i przeliczył.

- Jedenaście.

- Świetnie. Biorę wszystkie.

- Wszystkie? - Pomimo zaskoczenia, wyjął słoik i ustawił na ladzie. - To wyniesie całego dolara, Diamencie.

- W porządku. Moim zdaniem warte są więcej. - Odliczyła pieniądze, po czym otworzyła jeden ze słoików, wyjęła ogórek i uniosła do ust, mówiąc: - Czy mógłbyś, Rufusie, włożyć mi je do juków przy siodle. Pomyślałam, że skoro już jestem w mieście, to rozejrzę się i sprawdzę, jak posuwają się roboty przy sklepie mojej siostry.

Gdy już zbliżała się do drzwi, Rufus wreszcie zdobył się na odwagę.

- Może lepiej będzie, jeśli zatrzymasz się najpierw przy biurze szeryfa.

Ze strony gromadki plotkarek dotarła do niej fala tłumionego śmiechu. Spojrzała w ich stronę, a potem odwróciła się do Rufusa. Jej twarz przybrała kolor purpury.

- Dlaczego? - spytała, pełna złych przeczuć. - Co się stało?

- To z powodu twojej siostry. Przebywa w areszcie za kradzież biżuterii Millie Potter.

Diament szybkim krokiem pokonała odległość, dziejącą sklep od budynku aresztu. Po drodze wyrzucała z siebie najbardziej soczyste przekleństwa, jakich najeżyła się od ojca i jego kowbojów. Aż wreszcie otworzyła drzwi z rozmachem i wtargnęła do środka.

- Gdzie trzymasz moją siostrę? - spytała władczo i groźnie.

Quent spojrzał na nią znad stosu papierów zawałających biurko, po czym wskazał głową w kierunku celi.

Diament przecięła pokój i zatrzymała się przed kratą. Rubin stała na środku niewielkiej klitki, z dumnie uniesioną głową. Było oczywiste, że nie miała zamiaru się poddać.

Siostry patrzyły na siebie poprzez kratę.

- No dobrze, Rubinie. Słyszałam, że ukradłaś coś Millie Potter. Przynajmniej tak mówią ludzie w mieście. Teraz chcę się dowiedzieć, co ty masz do powiedzenia.

- Nikomu nic nie ukradłam. Nigdy nawet nie widziałam broszki Millie Potter.

- Zatem dlaczego tu jesteś?

Oczy Rubinu zwężyły się niebezpiecznie.

- Ponieważ ten *cochon*, mianujący się szeryfem, zdecydował się być jednocześnie oskarżycielem i sędzią. Słyszysz jedynie to, co chce usłyszeć.

Siedząc przy swym biurku, Quent sprawiał wrażenie bardzo zaaferowanego przeglądaniem papierów. W rzeczywistości uważnie przysłuchiwał się rozmowie sióstr. A każde słowo Rubinu było jak nóż wbity w jego serce.

Pragnął jej uwierzyć. Rozpaczliwie tego chciał, ale prawda była taka, że już nigdy nie będzie mógł zaufać swemu osądowi, jeśli rzecz będzie dotyczyła Gorącego Rubinu.

- Po prostu powiedz mi prawdę, Rubinie - miękko powiedziała Diament. - Czy byłaś wczoraj w pensjonacie Millie?

- *Oui*. Chciałam, by zaakceptowała wybrany przeze mnie wzór koronki.

- Wchodziłaś do środka?

- Oczywiście.

- Rozmawiałyście w kuchni, - Diament powiedziała to, mając nadzieję, że siostra potwierdzi jej przypuszczenia.

- Nie, Birdie posłała mnie na górę, bo tam była Millie. Rozłożyłam koronkę na jej łóżku. Potem jeszcze przyjrzałyśmy się jej w jadalni.

- Cholera - mruknęła Diament. - Zeszłyście razem? Gorący Rubin wzruszyła ramionami.

- Zostałam na chwilę, by zwinąć koronkę. Potem w drodze do domu - spojrzała na Quenta, przesywając go spojrzeniem - natknęłam się na szeryfa i zaprosiłam na kolację. - Poczula, że czerwienieje na wspomnienie tego, co wydarzyło się po kolacji. - To był błąd, którego już nigdy nie popełnię.

Quent wzdrygnął się.

- I nie widziałaś żadnej biżuterii podczas swego pobytu w domu Millie? - upewniła się Diament.

Ruby zaprzeczyła ruchem głowy.

- Przez cały czas rozmawiałyśmy o obrusie i firankach. Przypominam sobie, że łóżko było nakryte wytartą kapą. Pamiętam, że przemknęła mi wtedy przez głowę myśl, że Millie wszystkie swoje lepsze rzeczy pozostawiła do użytku klientów. Zapragnęłam zrobić jej podarunek z nowej kapy. Ostatecznie jest moją pierwszą klientką.

- Szlachetny gest, Rubinie.

Quent nagle uświadomił sobie, że myśli podobnie. Teraz jednak trudno było uwierzyć, że zamierzała zrobić coś tak miłego.

- Czy mogłabyś powiedzieć coś więcej o swoim pobycie w pokoju Millie? - nalegała Diament.

Gorący Rubin przez chwilę zastanawiała się.

- W pokoju była komoda. Stała pod oknem. Stolik obok łóżka, a na nim miednica i dzbanek z wodą. Wypływałe zasłony, podobnie jak kapa na łóżku. Na brzegach postrzępione. Zauważyłam to, ponieważ powiewały na wietrze.

Quent podniósł gwałtownie głowę.

- Czy jesteś pewna, że zasłony powiewały? Rubin obrzuciła go niechętnym spojrzeniem, po czym zwróciła się do siostry:

- Powiedz szeryfowi, że nie życzę sobie z nim rozmawiać.

Zaklął i dopadł kraty.

- To ważne, Rubinie. Jesteś pewna, że zasłony powiewały?

Odwróciła się do niego tyłem.

- Diamencie, nie życzę sobie mieć jakiegokolwiek kontaktu z tym panem.

Odwrócił się gwałtownie, chwycił kapelusz z kołka na ścianie i wypadł jak burza.

- Co może być takiego ważnego w powiewaniu zasłon? - zastanawiała się głośno Diament.

Rubin wzruszyła ramionami.

- Jeżeli będzie próbował oskarżyć mnie o postrzępienie zasłon Millie Potter, to klnę się na Boga, że wydrapię mu oczy.

- Chyba zbyt wiele wagi przywiązujesz do tego, cc robi szeryf. Po prostu taką ma pracę.

- Jego zadaniem jest łapanie kryminalistów, a nit prześladowanie niewinnych. A poza tym on mnie nic nie obchodzi. Znaczy dla mnie tyle co... - Pstryknęła palcami.

Ten gest pogardy nie do końca przekonał Diament Czuła, że między siostrą a szeryfem jest coś więcej, niż pokazują to światu.

Wkrótce wrócił Quent w towarzystwie Millie Potter, Millie od razu rzuciła się ku kracie. Trzymała coś w dłoni.

- Och, Rubinie! - wybuchnęła ze szlochem. - Proszę, wybacz mi. Ale kiedy nie mogłam jej odnaleźć...

Na jej otwartej dłoni leżała śliczna, zdobiona szlachetnymi kamieniami broszka. Wpadające przez wąskie okienko celi słoneczne promienie wydobywały z niej świetlne refleksy.

- To Quent podpowiedział mi, żebym sprawdziła dolne brzegi zasłon. I wyobraźcie

sobie, że tam była. Wczoraj wiatr musiał do tego stopnia wydać zasłony, że postrzępiony brzeg zaczepił o broszkę. Dzisiaj wiatr ucichł i zasłony zwisały swobodnie. I gdyby nie Quent, mogłabym rozpaczać po mej broszce aż do dnia prania zasłon.

Gorący Rubin milczała jak zaklęta.

Tymczasem Diament w porywie radości uściskała Millie Potter.

- Cieszę się, że ją znalazłaś, Millie. Domyślam się, jaką ogromną wartość przedstawia dla ciebie ten klejnot. - Odwróciła się do Quenta. - Chyba w tej sytuacji stworzysz tę kratę, szeryfie?

Skinął głową.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to chciałbym pozostać na chwilę sam na sam z moją... - powstrzymał się w samą porę; miał już na końcu języka „aresztantką” - z Rubinem.

- Poczekam na dworze - powiedziała Diament. Kiedy obie kobiety wyszły, Quent przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi celi. Zanim Rubin zdążyła wykonać jakiś ruch, zatarasował przejście swym ciałem.

- Mam nadzieję, że przebaczysz mi, Rubinie - rzekł ściszym głosem. - Dobrze wiem, ile bólu sprawiło ci moje zbyt pochopne wnioskowanie.

Rubin czuła się nie tylko obolała. Przede wszystkim czuła się upokorzona. Wszystko to dokonało się na oczach całego miasta. Nie stać jej było w tej chwili na wybaczenie.

Bez słowa próbowała przejść obok Quenta, lecz chwycił ją za ramię.

- Nie rób tego, Rubinie. Chcę wiedzieć, czy mi wybaczyłaś.

- Ty chcesz! - wykrzyknęła z sarkazmem. - A może zastanowimy się nad tym, co ja bym chciała? Zależało mi na twoim zaufaniu. Ale ty, nie mając żadnych dowodów, oskarżyłeś mnie o czyn niegodny. I wszystko to stało się w momencie, gdy zaczynałam wierzyć że... będziesz się o mnie troszczył.

- Ależ troszczę się o ciebie, Rubinie. Tyle że już raz ukradłaś jakieś świece. Teraz więc...

- Nie mamy o czym mówić. Daj mi przejść. Kiedy go mijala, delikatnie dotknął jej ręki.

- Chciałbym zobaczyć się z tobą dziś wieczorem Koniecznie.

Nawet nie raczyła spojrzeć na niego.

- To niemożliwe. Złapał ją za ramię.

- Mam nadzieję, Rubinie, że z czasem mi przebaczysz. Myślę, że ty również musisz coś do mnie czuć.

Obrzuciła go wzrokiem pełnym wściekłości.

- Jeżeli nawet darzyłam cię uczuciem, teraz to już przeszłość. Unicestwiłeś wszystko swoją głupotą i brutalnością. *Cochon!*

- Powiedz mi to chociaż, co znaczy to francuskie słowo?

- Słowo to znaczy świnia - odparła i z uniesioną wysoko głową przeszła obok niego.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Wszystko w porządku? - zapytała Diament, gdy siostra dołączyła do niej na ulicy.

Rubin zaczerpnęła kilka głębokich oddechów, po czym odrzuciła do tyłu głowę. Widać było, że z trudem powstrzymuje się od płaczu.

- Tak, oczywiście. Idź przodem. Dołączę do ciebie później.

- Czyż nie wracasz teraz na ranczo? Rubin kiwnęła głową.

- W takim razie pojedziemy razem - stwierdziła Diament. - Gdzie zostawiłaś bryczkę?

- W stajni Neville'a Oakleya.

- Chodźmy zatem. Wygląda na to, że musimy przejść przez całe to cholerne miasto.

- Nie musisz iść ze mną - zauważyła Rubin. - Nie martw się, poradzę sobie sama.

- Jasne. Bardzo samodzielne z nas istoty. To chyba rodzinne. - Diament wyłowila z trzymanego w rękę słoika kolejny ogórek. Włożyła go do ust, pogryzła i przełknęła. - Co nie znaczy, że nie możemy liczyć jedna na drugą. Pamiętaj, że jesteśmy siostrami.

Rubin ogarnęło wzruszenie. Ścisnęła mocno rękę Diamentu i ruszyła naprzód.

- Millie Potter chciała raz jeszcze cię przeprosić, ale musiała czym prędzej wracać do siebie, bo mógł się przypalić placek z jabłkami. Prosiła, bym powtórzyła ci, że ma nadzieję, iż wstąpisz do niej później. Bardzo jej przykro z powodu całego zamieszania.

- *Oui*. To nie jest wina Millie.

Kiedy znalazły się przed sklepem kolonialnym, Diament odwiązała konia od słupka i poprowadziła go za sobą, idąc dalej u boku siostry. Widziała grupki mężczyzn, kobiet i dzieci. Ludzie o czymś żywo rozprawiali, wskazując na nie palcami. Diament uniosła głowę i wysunęła brodę podobnie jak Rubin. Pomimo że tak różne, pod pewnym względem siostry były do siebie podobne. W tej chwili twarz każdej z nich wyrażała dumę, wyzwanie i wzgardę.

Obie kroczyły niczym królowe, okazując kompletny brak zainteresowania tym, co działo się wokół.

Zobaczywszy je, Neville Oakley rzucił swoje miechy i ciężkim krokiem pobiegł do stajni, skąd wyprowadził konia, którego zaprzął do bryczki.

Kiedy zbliżyły się, właśnie kończył sprawdzać uprzęż. Na koniec stał kowalskim fartuchem warstwę kurzu z siedzenia.

- Dzień dobry pani - pozdrowił Diament z ukłonem.

Zanim Neville zdążył zaofiarować jej pomocną dłoń. Diament już usadowiła się w siodle.

Odwrócił się ku Rubinowi i asystował jej przy zajmowaniu miejsca na koźle bryczki. Kiedy podawał lejce, zaskoczył go dotyk jej rąk. Były zimne jak lód.

Bez zastanowienia zamknął je w uścisku swoich wielkich i mokrych od potu dłoni.

- Nie można przywiązywać nadmiernej wagi do tego, co mówią inni - mruknął. - Jedyną ważną rzeczą jest to, co ma się w sercu.

- *Oui*. Dziękuję, panie Oakley - szepnęła Rubin ze łzami w oczach, wzruszona serdecznością człowieka, który od lat był obiektem szyderstwa i drwiny.

Jeśli ona, Rubin, miała nie okazać słabości, musiała czym prędzej opuścić to miejsce. Zebrała lejce, trzasnęła konia batem i ruszyła z kopyta. Jadąca obok niej konno Diament z rozkoszą przeżuwała kolejnego ogórka, udając, że nie zauważa sprzecznych uczuć malujących się na twarzy siostry.

Rubin siedziała na ganku od strony podwórza, pracując nad specjalnymi ściegami. Popołudniowe słońce przeświecało przez gałęzie dębu, tworząc świetlne wzory na trawie. Dzień był na tyle ciepły, że mogła obyć się bez szala na ramionach, ale było coś takiego w powietrzu, co zapowiadało, że już wkrótce pogoda całkowicie się zmieni, a wraz z nią teksaski krajobraz.

Jednakże Rubin myślami nie wybiegała ku zbliżającej się porze roku. Ani też nie rozważała różnic klimatycznych pomiędzy Teksasem a Luizjaną, gdzie spędziła dzieciństwo. Teraz jedynie zastanawiała się nad podobieństwem Hanging Tree i Bayou Rouge, czy też raczej podobieństwem w zachowaniu mieszkańców tych dwóch miejscowości.

Drzwi otworzyły się i ukazała się Carmelita z tacą.

- Przyniosłam twoją ulubioną kawę, dziecino, gorącą i mocną. I twoje ulubione lukrowane ciasteczka.

- Nie, bardzo dziękuję. - Rubin przeciągnęła się i roztarła sobie dłonią kark.

- Ale dzisiaj jeszcze nic nie jadłaś.

- Nie jestem głodna, Carmelito.

Gospodyni zmarszczyła czoło. Dotarła już do niej sensacyjna wieść o aresztowaniu Rubinu. Usłyszała ją z ust jednego z kowbojów, który wrócił z miasta. Ni; chciała rozmawiać o tym z Rubinem, by nie pogrążyła jej w jeszcze większym smutku. Ale bodaj jeszcze gorsza była minioną noc. Carmelita wywnioskowała z nieładu, jaki zastała rano w pokoju Rubinu, że szeryf opuścił ranczo dopiero o świcie.

- Oślepniesz, pracując w tym mocnym słońcu przez cały dzień. Powinnaś odpocząć.

- Nie jestem zmęczona. - Rubin uniosła wzrok, zmuszając się do bladego uśmiechu. - Naprawdę, Carmelito. Wszystko jest w całkowitym porządku.

- A ja uważam, że nie wszystko jest, jak być powinno. Ale ja nie...

Rozległ się tętent kopyt i obie kobiety spojrzały ku bramie. Zobaczywszy szeryfa, Rubin gniewnie zmarszczyła brwi. Zanim zdążyła zebrać swą cenną koronkę i uciec. Quent zsunął się z siodła i jednym susem znalazł się na ganku. Zdjął kapelusz i powitał Carmelitę uśmiechem, w którym jednak trudno byłoby dopatrzeć się wesołości.

- Zrobiłam to dla Rubinu - wyjaśniła gospodyni, wskazując oczami tacę. - Wydaje się, że straciła apetyt. Może poczęstowałbyś się, szeryfie?

Pokręcił głową.

- Nie, dziękuję. Także straciłem apetyt. Przyjechałem, by porozmawiać z Rubinem. Czy mogłabyś zostawić nas samych?

- Cokolwiek masz mi do powiedzenia, możesz powiedzieć to przy Carmelicie. Nie mamy przed sobą żadnych tajemnic. Szczególnie teraz, gdy upokorzyłeś mnie przed całym miastem.

Gospodyni wahała się, spoglądając to na jedno, to na drugie. Wszystko wskazywało na to, że kłótnia wisi w powietrzu.

Widząc rozterkę gospodyni, Quent dotknął jej ramienia.

- Obiecuję, że to nie potrwa długo, Carmelito. Przytrzymał drzwi, by mogła swobodnie przejść z tacą. Znikła, szeleszcząc sutą spódnicą.

Rubin szybko pochyliła się nad koronką, podejmując przerwana pracę.

- Oświeć mnie. Po co przyjechałeś?

- Przyjechałem, by powiedzieć ci, jak bardzo jest mi przykro z powodu dzisiejszej pomyłki.

Wbiła igłę w materiał.

- No dobrze. Powiedziałeś, co miałaś powiedzieć. Jedź już!

- Nie pojedę, dopóki mi nie przebaczysz.

Nawet nie spojrzała na niego. Igła śmigła tylko w jej palcach. Pamiętała, co przed wielu laty powiedziała jej matka: *chérie*, mądra kobieta nie nagina się do czyjejś woli, a jeśli już ktokolwiek miałby się ugiąć to mężczyzna.

- Nie przebaczę. Nigdy. To moje ostatnie słowo - mruknęła.

Wzdrygnęła się, kiedy padł przed nią na kolana.

- Rubinie, nie mogę przestać o tobie myśleć. O tym co dzieliliśmy tej nocy. I o tym, co uczyniłem ci tego ranka. Wiem, że to niewybaczalne. Ale i tak przybyłem tu, by prosić cię o wybaczenie.

- Dlaczegoż miałabym ci wybaczyć? - Z furią podszywała brzeg igłą. Przez jej palce

przelewał się śnieżny materiał.

- Ponieważ nie mogę pracować. Nie potrafię się skoncentrować. Myślę jedynie o tobie i o tym, że uczyniłem z ciebie obiekt drwin całego miasta. To wszystko moja wina.

- *Oui*. To twoja wina. - Odwróciła koronkę, by sfastrygować kolejny brzeg. - Zaniósłeś mnie do więzienia i zamknąłeś w strasznie małej celi. Jak... - Zaciśnięte usta, połykając łzy wściekłości.

- Jak kto... - ponaglił ją. Potrząsnęła głową.

- Jak siostra Klotylda. Była okrutną kobietą, której sprawiało radość wymyślanie coraz to nowych sposobów karania. Kiedy byłam jej uczennicą w Notre Dame du Bayou, za najmniejsze uchybienie zasadom zamykała mnie w ciemnym pokoiku i żądała, bym błagała o uwolnienie. Nigdy tego nie uczyniłam. Zniósłbym najgorsze, aby nie pokazać, jak bardzo mnie skrzywdziła.

Boże w niebiesiech! Co też on uczynił tej zranione przez los i tak wrażliwej kobiecie? Zamknął ją, i to nie raz, lecz dwa. A ona zemdlała, lecz nie okazała słabości. Quent doszedł do wniosku, że jest durniem.

Zmusił ją, by spojrzała mu w oczy. Kiedy próbowała się wyrwać, wzmocił uścisk.

- Spójrz na mnie, Rubinie. Do diaska - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Spójrz na mnie.

Niechętnie podniosła wzrok. W ciemnych oczach dostrzegła złość i frustrację. Ale było tam coś jeszcze. Coś tak głębokiego, że dotknęło to aż jej duszy.

- Muszę wykonać pewną robotę - wyszeptał stłumionym głosem. - Robotę, o której wielu ludzi nie chciałoby nawet myśleć. Nie mam czasu na martwienie się czy ranie uczucia moje, czy kogokolwiek innego.

Pozostaje tylko ślepe prawo.

Kciukiem zaczął pieścić jej policzek. Jego głos zmiękł, podobnie jak spojrzenie.

- Ale przy tobie, Rubinie, wszystkie te zasady uległy zmianie. Nie potrafię już samodzielnie oceniać sytuacji. Odkryłem, że pragnę jedynie cię chronić. Nawet jeśli przysięgałem coś innego.

Ogarnął ją całą palącym wzrokiem.

- Czy rozumiesz, co staram się ci powiedzieć? Tego ranka, kiedy usłyszałem o stracie Millie, przede wszystkim zwróciłem uwagę na to, że ty byłaś ostatnią osobą w jej pokoju.

Przyciągnął ją do siebie tak mocno, jakby się bał, że mu ucieknie.

- Martwiłem się. Obawiałem się, że przestanę być dobrym obrońcą prawa. Toteż dlatego wściekłość wzięła górę. Próbowałem ukryć strach.

Rubin ogarnęło wzruszenie. Milczała, nie potrafił: znaleźć odpowiednich słów.

Quent przycisnął usta do jej skroni, po czym rzekł:

- Zgaduję, iż nie powinienem przychodzić. Masz prawo być na mnie zła. - Ponownie musnął wargami jej skroń i poczuła, jak w jej wnętrzu wolno rozlewa się ciepło. - Zachowałem się jak głupiec.

Rubin wiedziała, że gdyby tylko odrobinę przekreśliła głowę, napotkałaby jego usta, gorące, mocne i kuszące.

- A ty, Rubinie, jesteś jedyną, która musi zapłacić za moją głupotę.

Próbowała coś powiedzieć, lecz żadne słowo nie mogło przejść przez ściśnięte gardło.

W jego głosie pobrzmiwała nuta bolesnego rozczarowania.

- Teraz widzę, że zbyt wiele od ciebie oczekiwałem. Nie możesz mi wybaczyć. Myślę, że powinienem był się tego domyślić. Jednak musiałem podjąć próbę. Musiałem ci powiedzieć, jak bardzo zależy mi na tobie i jak przykro mi jest z powodu tego... wszystkiego.

Dźwignął się z klęczek i ruszył ku pozostawionemu przed gankiem koniowi.

Rubin w pierwszej chwili chciała go zawołać, lecz nie była w stanie wypowiedzieć słowa. Łzy pociekły jej po policzkach, gdy wskoczył na konia.

- Nie będę ci się więcej narzucał - rzekł, dotykając ręką brzegu kapelusza. - Żegnaj.

Rubin przełamała wreszcie odrętwienie i zerwała się z fotela. Zwój śnieżnobiałej materii zsunął się na deski podłogi.

Tymczasem koń i jeździec pomknęli już pomiędzy słupami wrót.

- Quent!

Wiejący wiatr zagłuszył dźwięk jej głosu.

- Quent, zaczekaj!

Wołała na próżno. Wiedziała, że nie przekrzyczy tętentu kopyt końskich. Unosząc suknię, pobiegła ku bramie.

- Quent, proszę, poczekaj! - zawołała, przecinając trawnik.

Lecz on, nieświadomy tego wołania, nie ściągnął cugli i nie zawrócił.

Wołała, dopóki koń i jeździec nie znikli za pagórkiem. Przygnębiona i pokonana, padła na ziemię, łapczywie chwytając otwartymi ustami powietrze. Zalała się łzami.

Gorący Rubin musiała zebrać całą odwagę, by nazajutrz zdecydować się na odwiedzenie miasta. Gdy jednak już włożyła najlepszą suknię i przypatrywała się w lustro swojego odbiciu, promyk nadziei rozjaśnił jej twarz. Może gdy stanie naprzeciwko Quenta Regana, znajdą wspólnie jakiś sposób na rozwiązanie tego strasznego nieporozumienia.

Możliwe, że spojrzy na nią i uśmiechnie się, a ona mu powie, jak bardzo poczuła się

wtedy zraniona. On zapewni ją, że doskonale to rozumie.

Przez całą drogę oddawała się marzeniom. Gdy dotarła do miasta, wyprostowała się i wysoko uniosła brodę. Śmiało zbliży się do niego, tak jak kobieta zbliża się do mężczyzny, któremu na niej zależy. Ale nie nazbyt śmiało. Możliwe, że powinna wyglądać nieco... ulegle. *Oui*. Taki wygląd będzie usiłowała przybrać. Gdy podjechała bliżej, zrozumiała, że czołgałaby się, gdyby to mała usunąć ostatnią dzielącą ich barierę.

Gdy zatrzymała się przy stajni, Neville wynurzył się z budynku, wycierając ręce o spodnie.

- Dzień dobry, panienko Rubin. - Chwycił lejce i podał jej rękę, gdy schodziła z wozu.

- Czy na długo przyjechała pani do miasta?

- Nie wiem jeszcze - Obdarzyła go uśmiechem, by ukryć zdenerwowanie.

- To i tak nieważne, jak długo tu pani będzie. Dobrze zaopiekuję się pani koniem i wozem - zapewnił.

- Dziękuję, panie Oakley. Zawsze mogę na panu polegać.

Ruszyła wzdłuż zakurzonej drogi. Zatrzymała się przed budynkiem aresztu, by poprawić włosy. Obciągnęła wilgotnymi dłońmi spódnicę. Biorąc głęboki oddech, pchnęła drzwi i wkroczyła do środka.

Arlo właśnie spał na krześle z kapeluszem na twarzy i nogami na biurku. Rozejrzała się wkoło. Nie widząc Quenta, skierowała się do małego pokoiku na tyłach budynku. Łóżko było schludnie posłane, koce naciągnięte i wygładzone. I ani śladu szeryfa.

Gdy się odwróciła, ujrzała, że Arlo sięga po broń.

- Ach, to ty, panienko Rubin - powiedział z krzywym uśmiechem, zawstydzony, że został przyłapany na spaniu. - Nie powinna pani się tak skradać. Ktoś mógłby panią przez pomyłkę postrzelić.

- Szukam szeryfa Regana.

- Szeryfa nie ma.

Tak wiele czasu zajęły jej przygotowania do tego spotkania! Zastanawiała się cały czas, co powiedzieć, jak się zachować, czego nie robić. I wszystko na nic.

- A gdzie on pojechał?

- Daleko, na kolejny objazd terytorium.

- Czy wspomniał o tym, jak długo go nie będzie? Zastępca wzruszył ramionami.

- Z szeryfem Reganem nigdy nic nie wiadomo. To równie dobrze może być parę dni jak parę tygodni.

- Tygodni? Przytaknął.

- Teksas jest bardzo rozległy, panienko Rubin. Szeryfowi podlega olbrzymie terytorium. Wszystko właściwie zależy od tego, czego on szuka i co znajdzie.

Oparła się o blat biurka, czując, że nogi odmawiają jej posłuszeństwa.

- Czy on... czy on cokolwiek powiedział?

- Wiele rzeczy. Wszystkie były obrzydliwe. Jeszcze nie widziałem go w tak paskudnym nastroju.

Rubin oderwała się od biurka i ruszyła w stronę wyjścia.

- Powinnaś, panienko, być zadowolona, że go nie zastałaś. Nie mam pojęcia, co go ugryzło, ale wiem, że nigdy jeszcze taki nie był. Myślałem, że obedrze mnie żywcem ze skóry, i to z powodu zawieruszenia kilku listów gończych - dodał Arlo rozgoryczony.

Zanim zamknęła za sobą drzwi, zdążył jeszcze zawołać:

- A dlaczego, panienko Rubin, chciałaś go zobaczyć? Możliwe, że ja mógłbym się tym zająć.

- Nie, dziękuję. Wszystko w porządku. - Drżały jej wargi. Z trudem hamowała się, żeby nie wybuchnąć płaczem. - To nie było... nic takiego ważnego.

Jedynie, czego teraz pragnęła, to dotrzeć do wozu i opuścić miasto.

Gdy mijała sklep, usłyszała swoje imię.

- Witam, panienko Rubin. Zapraszam do środka. I co pani o tym sądzi?

Zatrzymała się, przełykając łzy. Poprzez otwarte drzwi mogła dostrzec kilku robotników wieszających na ścianie półki.

Farley Duke skinął na nią.

- Lustra zostały już dostarczone. Zawiesiliśmy je po przeciwnej stronie podwyższenia. Czy właśnie o to pani chodziło?

- To jest... po prostu idealne, panie Duke. Rubin przeszła przez obszerne wnętrze i otworzyła drzwi, rozglądając się uważnie po wygodnym pokoju na tyłach domu, który będzie używany jako gabinet a zarazem posłuży jako miejsce wypoczynku.

Wzięła kilka głębokich oddechów, potem zrobiła obchód, oceniając wszystko, począwszy od podłóg, a kończąc na sufitach.

Kiedy już zapanowała nad emocjami, weszła na górę do Farleya Duke'a i podała mu rękę.

- Wszystko jest dokładnie tak, jak sobie wymarzyłam. Proszę podziękować ode mnie swoim pracownikom.

Odwzajemnił jej uścisk.

- Zapewniam, panienko Rubin, że tak uczynię. I może pani być pewna, że będą

naprawdę szczęśliwi, słysząc, że jest pani zadowolona z ich pracy.

- Zadowolona to mało powiedziane. Ufam, że pana żona wstąpi, żeby się przekonać, co mam do zaoferowania moim klientkom.

- Cóż, *ma'am*, nie mogę decydować za żonę. Jest ostatnio naprawdę bardzo zajęta. Domem, dziećmi, tartakiem i tym wszystkim...

- Tak, rozumiem. - Rubin odwróciła się, by Farley nie zobaczył na jej twarzy wyrazu rozczarowania. Jak mogła być na tyle głupia, by wierzyć, że jego żona czy jakakolwiek inna kobieta z tego miasta szybko zapomni o wczorajszych wydarzeniach. Cóż z tego, że broszka Millie została odnaleziona! Rubin miała świadomość, że jej osoba budzi kontrowersje.

- Panienko Rubin! Życzę dobrego dnia. - Widząc, że półki zostały właściwie zawieszane, Farley Duke opuścił wraz z robotnikami budynek.

Gdy drzwi się zamknęły, Rubin przysiadła na podwyższeniu i ukryła twarz w dłoniach.

A jeśli cały ten wielki wysiłek okaże się daremny? Jeśli nikt nie przyjdzie do sklepu? Jeśli kobiety z Hanging Tree nie przyjmują jej do tutejszej społeczności? - Rubin opadły obawy i wątpliwości.

Po dłuższej chwili Rubin wzięła się w garść. Od dzieciństwa miała do czynienia z pomówieniami, szykanami, a nawet agresją. Do tej pory dawała sobie radę i teraz też potrafi stawić czoło niechęci i złośliwości innych. Musi być dzielna i kontynuować rozpoczęte dzieło. Nie pozwoli się zepchnąć na boczny tor.

Jeżeli Quent pozostanie nieprzejednany, będzie się starała o nim zapomnieć.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

- Co robisz, ptaszyno?

Po pożegnaniu się z mężem, który przywiózł ją na ranczo, Carmelita podeszła do wozu stojącego naprzeciwko tylnych drzwi domu. Na wozie stało już krzesło i biurko. Kilku kowbojów mocowało się w drzwiach z szerokim łóżkiem. Dyrygowała nimi Gorący Rubin.

- Nie martw się, Carmelito. Poprosiłam Diament o pozwolenie i uzyskałam je. Chcę zabrać stąd tylko kilka rzeczy. Zamierzam zawieźć je do mojego sklepu w mieście.

- A do czego będą ci one tam potrzebne?

- Ranczo od miasta dzieli kawał drogi. Nie chcę wciąż jeździć tam i z powrotem. Na wypadek gdyby przedłużył mi się dzień pracy, chciałabym mieć na czym się przespać. I właśnie dlatego przeznaczyłam kilka izb na pomieszczenia mieszkalne.

- Ale tu jest twój dom. - Carmelita wyglądała, jakby miała się zaraz rozpląkać. - Jedyne ty mi pozostałaś. Dla kogo będę gotowała? Dla kogo sprzątała?

Rubin objęła gospodynię ramieniem.

- Mówisz, jakbym wyprowadzała się już na dobre. Tymczasem prawda jest taka, że wciąż więcej nocy będę spędzać tu niż w mieście. Ale tam będę pracowała, przyjmowała klientki i wolałabym, żeby nie ciążył na mnie przymus powrotu do domu.

- Si. - Twarz gospodyni nieco się wypogodziła. - Będę jeździła do miasta razem z tobą. Kiedy ty będziesz pracowała, gołąbko, ja będę gotowała ci obiady.

Rubin uśmiechnęła się do niej.

- Nie, Carmelito. Jestem młoda, silna i zdrowa i muszę być samodzielna.

Gospodyni otarła oczy wierzchem dłoni.

- A co z kolacją? Mogłabym przyrządzić coś wyjątkowego, ażeby wydało ci się, że znów jesteś w Luizjanie.

Rubin pocałowała ją w policzek.

- Jesteś taka dobra dla mnie. Zaczekajmy z tym do jutra. Dzisiaj muszę się tam jakoś zainstalować. Kolacja to sprawa najmniej ważna. Po prostu wezmę ze sobą trochę żytniego chleba i zimnego kurczaka.

- W takim razie coś ci do tego jeszcze dodam. Trochę placuszków kukurydzianych i ostrego chili. Poza tym..

- Jesteś kochana, Carmelito, ale to mi w zupełności wystarczy.

Widząc, że kowboje załadowali już wóz, Rubin wspięła się na swoją bryczkę, na której piętrzyły się, starannie okryte przed kurzem, suknie, halki, kapelusze, czepki i szale.

Wszystko nowe i barwne, gotowe do rozmieszczenia w oknach wystawowych sklepu.

- Nie czekaj na mnie dziś wieczór. Wszystko wskazuje na to, że wrócę dość późno.

Pomachała ręką na pożegnanie i ruszyła w stronę miasta.

Kiedy wjechała w główną ulicę, zobaczyła wyjątkowo dużo wozów i bryczek stojących na poboczu. Był to dzień targowy i ranczerzy wraz z rodzinami tłumnie zjeżdżali do Hanging Tree. W sklepie Rufusa Durfee tłoczyli się klienci. Widać było też sporą grupę mężczyzn i chłopców przed zakładem fryzjerskim Burneya Healeya.

Dzieci bawiły się w chowanego pomiędzy wozami i końmi, podczas gdy ich matki przerzucały towary na sklepowych półkach.

Rubin zatrzymała się przed swoją pracownią, by następnie zająć się wydawaniem poleceń, gdzie ustawić meble zdejmowane z wozu i wnoszone do środka.

- Łóżko zanieście do tamtego pokoju. A ten mały stolik obok z prawej strony. Myślę, że biurko powinno stać przy tej ścianie. Tak. Świetnie. A krzesło tu, niedaleko kominka.

Było trochę zmian, aż wreszcie poczuła się w pełni usatysfakcjonowana. Mogła usiąść i uważnie przypatrzeć się wszystkiemu. Czula się jak ptak, który wreszcie uwił sobie gniazdo.

W sklepie na dole stały olbrzymie plecione kosze wypełnione belami barwnych tkanin, które przysłano prosto z fabryki. Na półkach stały tacki z guzikami, zarówno tymi gładkimi, najskromniejszymi, jak i ozdobnymi, obciągniętymi materiałem. Wszystkie rodzaje ozdób używanych do czepków i innych nakryć głowy - pióra, kity, szpilki i wstążki - były posegregowane wedle rodzaju, barwy, materiału i ceny.

W oknie wystawowym leżał prawie ukończony już koronkowy obrus. Tym sposobem Gorący Rubin chciała ukazać miastu, że zamówienie Millie Potter niebawem będzie zrealizowane. Dla wzmocnienia efektu rzuciła obok zwój czerwonej satyny. Połączenie to, bardzo artystyczne, wabiło wzrok i przyciągało uwagę.

Naprzeciw drzwi wejściowych wisiały na drewnianych kołkach gotowe suknie z różowej organdy, żółtej bawełny i białego muślinu.

- Mój sklep, tatku. - Rubin upajała się świadomością tego faktu. - Mój własny. Tylko mój. Czy ty to widzisz, ojczu? Czy pojmujesz, jak wiele to dla mnie znaczy?

Pograżona w myślach, podniecona nową perspektywą, nie usłyszała skrzypnięcia otwieranych drzwi.

- Widzę, że dokonała pani tego, panno Jewel.

Na dźwięk głosu Millie Potter Rubin aż drgnęła na krześle.

- Przepraszam - szybko powiedziała Millie. - Nie chciałam pani przestraszyć.

- Wszystko w porządku. Proszę wejść.

- Nie wiedziałam, jak mnie pani przyjmie po tym, co się wydarzyło.

- To nie była pani wina. - Rubin otarła wilgotne dłonie o spódnicę. Widok Millie przywołał przykre wspomnienia. - Szeryf z pewnych przesłanek wyciągnął logiczne wnioski.

- To bardzo uprzejme z pani strony, że tak to pani widzi, panno Jewel. Moim zdaniem, nie powinno do tego dojść. Należało zabronić sobie nawet tak myśleć. Zachowałam się podle.

- Nie mówmy o tym więcej. - Rubin wzięła Millie za rękę i podprowadziła do okna wystawowego.

- Co pani myśli o swoim obrusie? Millie na chwilę przykryła dłonią usta.

- A więc to moje? Tak piękne, że aż zapiera dech w piersiach. - Podeszła bliżej. - Czy mogę dotknąć?

- Ależ oczywiście. Obrus jest przecież twój. I ufam, że bardzo szybko znajdzie się na twoim stole. Proszę, Millie, przejdźmy na ty.

- Z przyjemnością. - Millie uśmiechnęła się, jakby w środku zimy dostała pomarańczę.

- Czy skończysz go na dzień festynu?

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

- Naprawdę?! - Oczy Millie błyszczały podnieceniem, gdy dotykała palcami miękkiej koronki. - To po prostu graniczy z cudem. - Westchnęła i rozejrzała się po sklepie. - Ach, Rubinie, jakie to wspaniałe miejsce. Kiedy będę miała więcej czasu, wrócę tu i wszystko sobie powoli obejrzę. Teraz już pędzę. Sporo rodzin zjechało do miasta. A to zawsze oznacza dla mnie moc gotowania i sprzątania. Cudownie byłoby, gdybyś dołączyła do nas przy kolacji - dodała i chwyciła Rubin za rękę.

W pierwszym odruchu Rubin chciała przyjąć tę propozycję. Dobrze wiedziała, że mieszkańcy miasta będą jej unikać i że rozpaczliwie potrzebuje przyjaciółki. Uśmiech na twarzy Millie był szczery. Co więcej, dziś wieczorem przy stole w pensjonacie będą siedzieli jej potencjalni klienci. A ona ich potrzebowała. Z drugiej jednak strony nie skończyła jeszcze pracy tu, w sklepie.

- *Non*. Nie mogę przyjść dziś wieczorem. Może innym razem.

- Dobrze, ale niebawem się zobaczymy. Obiecujesz?

- *Oui*, obiecuję.

Jak tylko Millie wyszła, Rubin wzięła koronkę i zabrała się do pracy. Słoneczne światło wlewało się do sklepu przez duże wystawowe okno. Praca wydawała się łatwa i przyjemna. Rubin siedziała z nisko pochyloną głową, bez reszty skupiona na robótce.

Nagle coś zwróciło jej uwagę. Dostrzegła kątem oka kilka kobiet zgromadzonych na

ulicy przed sklepem. Przyglądały się rzeczom wystawionym w oknie. Ta i owa wskazywała na coś palcem. Kolekcja oryginalnych kapeluszy budziła, wydawało się, największe zainteresowanie.

Kiedy zaś drzwi się otworzyły i kobiety weszły do środka, serce Rubinu zabiło niespokojnie.

- Witam - powiedziała. - Witam w moim sklepie. - Ach, jak cudownie brzmiały te słowa. - Czym panie są szczególnie zainteresowane? Sukniami czy kapeluszami?

- Chciałabym bliżej przypatrzeć się koronce - powiedziała przysadzista, siwowłosa kobieta.

Kiedy Rubin prezentowała jej materiał, dwie inne oglądały suknie wiszące na kołkach wbitych w ścianę.

- Spójrz na nie, Hannah - jedna z nich zwróciła się do swojej przyjaciółki. - Nie widziałam nigdy czegoś takiego u Rufusa.

- Czy to pani uszyła je wszystkie? - zapytała ta o imieniu Hannah.

- *Oui*. I mogę w każdej chwili dopasować je do osoby - zapewniła ją Rubin. - Czy zechciałyby pani przymierzyć którąś?

Kobiety wymieniły spojrzenia i skinęły głowami.

Rubin otworzyła drzwi i wskazała ręką pokój na zapleczu.

- Tam mogą się panie przebrać. Natomiast by dokładniej się obejrzeć, proszę skorzystać z tych luster.

- Och, cudownie! - wykrzyknęła jedna z kobiet. Rubin czuła, jak przepełnia ją radość i duma.

- A jeśli chodzi o tę koronkę... - zaczęła ta przysadzista.

Rubin natychmiast pospieszyła do niej i zaczęła tłumaczyć, ile materiału potrzeba na średnich rozmiarów obrus, a ile na zasłony i serwety.

- Czy potrafi pani sama uszyć to wszystko - zapytała na koniec - czy też może ja się tego podejmę?

- Myślę, że sama dam sobie radę - powiedziała kobieta - Prosiłabym tylko o odmierzenie odpowiednich kawałków.

Rubin zaczęła mierzyć i ciąć. Podczas gdy to robiła, drzwi się otworzyły i weszła wychudzona i wymizerowana młoda kobieta w nader skromnej, miejscami poprzecieranej sukience.

- Za chwilę zajmę się panią - powiedziała do niej Gorący Rubin.

Młoda kobieta w milczeniu przyglądała się sukniom wiszącym wzdłuż ściany.

Kiedy Rubin liczyła pieniądze otrzymane za koronkę, z przymierzalni wynurzyła się Hannah. Miała na sobie różową suknię z falbanami. Stała przed rzędem luster, wyginając się i przybierając różne pozy.

- Ta suknia potrzebowałaby naprawdę niewielu przeróbek, by pasowała idealnie na panią - zauważyła Rubin. - Tu byśmy tylko nieco podszyły, a tutaj trzeba byłoby trochę zwęzić. Jutro suknia byłaby do odebrania.

- Ale ja przyjechałam do miasta tylko na jeden dzień - powiedziała Hannah wyraźnie zawiedziona. - Jeszcze przed zmierzchem musimy wyruszyć w drogę powrotną do domu. Wie pani, obrządek i inne gospodarskie prace. Czy wobec tego uporałaby się z tym pani na dziś wieczór?

- Oczywiście. - Rubin szybko obliczyła w myślach potrzebny na przeróbkę czas i stwierdziła, że zdąży, jeśli zrezygnuje z lunchu.

- Naprawdę? - zapytała Hannah, nie dowierzając własnemu szczęściu. - Nie śmiałam nawet o tym marzyć.

- Suknię będzie można odebrać jeszcze przed kolacją. Poleciała klientce stanąć na podwyższeniu, uklękła i zaznaczyła szpilkami miejsca, które wymagały poprawek. Kątem oka obserwowała zaniechaną kobietę. Wszystko wskazywało na to, że nie interesuje jej nic poza ozdobnymi guzikami.

- Proszę jeszcze chwilę poczekać. Zaraz panią obsłużę! - zawołała.

Sekundę później wyszła z przebieralni przyjaciółka Hannah. Miała na sobie niebieską suknię.

- Moja będzie gotowa już dzisiaj wieczorem - oświadczyła z zadowoleniem właścicielka falban.

Druga kobieta zrobiła kwaśną minę.

- To nie fair - orzekła ta, której kolor nieba wydawał się najbardziej odpowiadać. - A może równie:

z moją suknią poradziłaby pani sobie do wieczora? Muszę dodać, że mieszkamy niedaleko od siebie i zwykłyśmy razem podróżować.

- *Oui*. Jeśli tylko zdecyduje się pani na kupno tej sukni, to ta też będzie gotowa przed waszym wyjazdem - powiedziała Rubin, zastanawiając się, czy wytrzyma do wieczora bez jedzenia i picia. Zresztą mniejsza z tym. Sukces jej pracowni jest najważniejszy!

Żywo i z ochotą wzięła się do zaznaczania poprawek na niebieskiej sukni. Na koniec, po dłuższej wymianie zdań między obiema paniami, zapadła decyzja, że suknie zostaną dostarczone do pensjonatu Millie Potter.

- Myślę, że kupię jeszcze jakiś kapelusik pasujący do niej - powiedziała Hannah, przymierzając fantazyjnie kapelusze i nieco skromniejsze czepki. Ostatecznie wybrała prosty kapelusz z różowym piórem, które prowokacyjnie spadało jej na jedno oko.

Podczas gdy Rubin pakowała kapelusz, druga z kobiet powiedziała:

- Cóż, Hannah, mnie nie stać dziś na dodatki. Ale myślę, że wybiorę sobie kilka ozdobnych guzików dla podkreślenia uroku tej sukni.

- Oczywiście. - Rubin przecięła pokój w kierunku słoiczków i miseczek z guzikami. - Mam tutaj o wyjątkowo ślicznym niebieskim odcieniu.

Zaczęła szukać w jednym ze słoików. Potem go odstawiła i sięgnęła po następny. Niebieskie guziki zniknęły, To była sprawka tej ubogo ubranej dziewczyny, dałaby za to głowę.

Pierwszą reakcją Gorącego Rubinu było zdziwienie. Jak to się stało, że nie zauważyła jej odejścia?

Potem zaskoczenie zmieniło się w gniew. Jak ona śmiała! Ohydna złodziejka!

I wtedy nagle zalała ją fala wstydu. Czy inni tak właśnie przeżywali utratę swej własności, gdy ona lub jej matka praktykowały na nich swoją „małą zemstę”.

Ironia całej tej sytuacji wprost rzucała się w oczy. Jak dziwne bywają wyroki przeznaczenia, które sprowadza złodziejkę do sklepu w dniu jego otwarcia. Może celem było przypomnienie jej, Rubinowi, wcześniejszych grzechów? Tak czy inaczej, doświadczyła czegoś nader upokarzającego.

- Co z tymi guzikami? - usłyszała głos klientki.

- One... nie mogę ich znaleźć, ale mam takie. - Wyjęła ze słoika kilka ślicznych guzików z macicy perłowej i pokazała klientce, która wybrała dla siebie niebieską suknię.

- Mniej więcej takie miałam na myśli. - Kobieta skinęła głową. - Biorę je.

Rubin przyjęła pieniądze, raz jeszcze zapewniając kobiety, że ich suknie będą gotowe przed wyjazdem z miasta.

Kiedy odeszły, wyjrzała na ulicę i rozejrzała się. Niestety, nigdzie nie było widać chudej dziewczyny, która przywłaszczyła sobie guziki.

Pomyślała o zgłoszeniu kradzieży zastępcy szeryfa. Szybko jednak porzuciła tę myśl. Oczami wyobraźni ujrzała, jak wlecze on tę biedną, wynędzniałą dziewczynę do więzienia, ku uciesze gapiów.

Potrząsnęła głową. Choć pragnęła odzyskać guziki, w jej sercu wzięła górę litość.

Westchnęła i wróciła do sklepu. Zasiadła do pracy. W tej chwili najważniejsze były klientki. Ze złodziejką rozprawi się później.

Quent poprawił się w siodle i wspiął na szczyt wzniesienia, z którego rozciągał się widok na całą okolicę. Za kilka tygodni, jeśli nie będzie jakichś szczególnych pogodowych niespodzianek, Widow's Peak pokryje się śniegiem po pierwszej zamieci. A strumień Poson Creek, będący teraz jedynie wąskim pasemkiem wody wijącym się między pagórkami, stanie się rwącym spienionym strumieniem.

Przypomniał sobie słowa z Biblii. „Na wszystko przychodzi odpowiednia pora”. Jest czas na siew i czas na zbiory.

To było przepiękne lato. Na urodzaj na razie nikt nie narzeka. Ranczerzy i farmerzy za pieniądze uzyskane ze sprzedaży pszenicy i bydła będą mogli przetrwać do następnej jesieni.

Zwinął papierosa i zapalił zapalką. Kilka razy głęboko się zaciągnął. Zawsze zwykł myśleć o sobie jako o tym, któremu udawało się przetrwać. Był twardy jak niegarbowana skóra bizona. Doświadczył w życiu wszystkiego - walk na pięści, na noże i na broń palną. Bijatyki, zasadzki, strzelaniny - oto zasadnicza treść jego życia. Nieraz się bał, ale jego też się bano.

Gorący Rubin była pierwszą kobietą, przy której zapominał języka w gębie. Która sprawiała, że nogi się pod nim uginały, a w gardle zasychało. Musiał przyznać z ręką na sercu, że bał się jej bardziej niż wymachującego tomahawkiem Indianina.

Kiedy był blisko niej, w głowie miał albo pustkę, albo gonitwę myśli. Nie mógł opanować uczuć. Ta kobieta naprawdę weszła mu w krew.

Nie potrafił przestać o niej myśleć. Przypominał sobie teraz, jak patrzyła na niego po tamtej nocy pełnej miłosnych uniesień. Tak ulegle, tak słodko. Gdy trzymał ją w ramionach i czuł to jej zmysłowe ciało, tak cudownie dopasowane do jego ciała, nabrał pewności, że są dla siebie stworzeni.

Chyba właśnie nadeszła jego pora. Pora miłości i planowania dalszego życia. Do diaska, kto wie, może nawet założyć rodzinę i zapaści gdzieś na stałe korzenie.

To ciągle rozmyślanie o Rubinie sprawiało, że zaczynał zachowywać się jak wariat. Nie mógł jeść ani spać. Nie potrafił skoncentrować się na pracy.

Po raz ostatni zaciągnął się głęboko i wyrzucił niedopałek papierosa. Na koniec trącił piętami konia. Ruszył kłusem.

Zapukał się dużo dalej, niż sobie zaplanował, wyjeżdżając z miasta. Ale, do diabła, uwielbiał taką jazdę po nocy. Było to na pewno lepsze od wpatrywania się w rozgwieżdżone niebo nad głową i słuchania wycia kojotów. A już zdecydowanie lepsze od przeklinania Rubinu za jej piękność.

I przeklinania samego siebie za to, że okazał się tak straszliwym głupcem.

Mając za sobą ściany jaskini, która okazała się idealną kryjówką, mężczyzna kulił się przy małym ognisku. Potężna porcja mięsa wycięta z ukradzionego i zabitego cielęcia piekła się na ogniu. Mężczyzna odkroił zrumieniony płat i zaczął go szarpać mocnymi zębami. Jadł, póki nie nasycił głodu.

Następnie legł na posłaniu z liści i traw, okrył się kocem i zaczął się zastanawiać nad kolejnym posunięciem.

Młody ranczer i jego żona zgrzeszyli naiwnością i brakiem ostrożności. W chwili gdy ujrzeli odznakę, przestali być czujni. Niestety, okazali się biedakami, a on potrzebował pieniędzy. Przygotowywał się do ucieczki.

Na razie nie był gotowy.

Sięgnął po butelkę i wlał w siebie sporą porcję whisky. Musiał znaleźć kogoś, komu będzie mógł zabrać pieniądze i przynajmniej dwa dobre konie. Lecz tym razem ofiara musi mieszkać na uboczu, by ciała nie znaleziono od razu. Po kilku tygodniach on, Boyd, będzie już daleko. Odjedzie bez ściągania na siebie uwagi zarówno mieszkańców, jak i przedstawicieli prawa.

Uśmiechnął się szeroko. Miał na pieńku z jednym z nich, niejakim Quentem Reganem. Szeryf Quent Regan nie uniknie jego zemsty. Zemsty, którą poprzysiągł na grobie swego brata.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Znużona Gorący Rubin rozmasowała sobie kark i zgasiła lampkę. Dobrze zrobiła, mówiąc Carmelicie. by na nią nie czekała. Któż by uwierzył, że będzie pracować tego dnia do tak późnej godziny? Pragnęła, by suknie leżały jak ulał. Poza tym te dwie klientki były, szczególnie ważne, ponieważ były pierwsze. Od ich zadowolenia, a także od aprobaty ich rodzin zależały dalsze zamówienia. Jeżeli rozejdzie się wieść, że warto odwiedzać pracownię krawiecką w Hunging Tree, nie zabraknie klientek zarówno z miasta, jak i z okolic.

Rubin gratulowała sobie, że sprowadziła do pracowni najpotrzebniejsze meble. Była zbyt zmęczona, by wracać po nocy na ranczo. Zamiast tego spędzi noc w całkiem znośnych warunkach we własnym łóżku.

Nagle w oknie mignął jakiś cień. Wydało się jej, że była to figurka dziecka. Lecz co by robiło dziecko o tak późnej porze?

Była zbyt zmęczona, by się nad tym zastanawiać. Położyła się i zamknęła oczy, gdy usłyszała stłumiony, niewyraźny dźwięk. Uniosła głowę i spojrzała w okno. Ktoś zaglądał do środka, a następnie znikł. Chwilę później drzwi zaczęły się powoli otwierać.

Rubin przycisnęła się plecami do ściany. Ktoś ostrożnie, powoli wchodził do wnętrza. Już był na środku sklepu.

Ręka Rubinu spoczęła na ciężkiej podstawie lampy. Cicho wstała i skradając się na palcach, okrążyła izbę. Aż znalazła się tuż za stojącą w mroku postacią.

- Nie ruszaj się! - wykrzyknęła głosem, w którym było więcej strachu niż pewności siebie.

Postać odwróciła się i wtedy Rubin uniosła w geście samoobrony rękę z lampą.

- Proszę, nie krzywdź mnie! - dał się słyszeć przerażony głos.

W świetle księżycy Gorący Rubin zobaczyła wielkie przestraszone oczy i bladą kobiecą twarz.

Postawiła lampę na stole i przyłożyła do knota zapaloną zapałkę. Światło zalało pokój.

- Więc nie wystarczyła ci kradzież guzików - powiedziała Rubin. - Pod osłoną nocy zakradasz się po więcej.

- Nie. Tak. Proszę mi wybaczyć. - Łzy pojawiły się w jasnoszarych oczach złodziejki.

Rubin przyglądała się obcej. Musiała być dużo młodsza, niż wydawało się na pierwszy rzut oka. Możliwe, że miała piętnaście, najwyżej szesnaście lat. Ot, dziecko o wygłodniałym, zastraszonej spojrzeniu.

- Niewiele wiesz o złodziejstwie. - Surowy i mocny głos Rubinu zabrzmiał głośno w

ciszy. - Kilka nędznych guzików to niewielki zysk.

- Byłam zdesperowana. Wzięłam je, ponieważ mieściły mi się w dłoni. Myślałam... to znaczy miałam nadzieję... że będę mogła je wymienić.

- Na co? - zapytała Rubin.

- Na trochę jedzenia.

Rubin zachwiała się, jakby uderzona obuchem. Przez chwilę nie mogła złapać oddechu.

- I udało ci się? Wymienić guziki na jedzenie? Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Bałam się. Pomyślałam, że rozgłosi pani o kradzieży i że przy pierwszej próbie zostanę schwytana.

- Więc jesteś głodna? - Rubin natychmiast przypomniała sobie o zawiniątku z jedzeniem, do którego przez cały dzień nie miała okazji zajrzeć. - Czy nie masz żadnej rodziny?

- Nie - szepnęła dziewczyna.

- Od jak dawna nie jadłaś?

- Jakies kilka dni.

Rubin była oszołomiona. Po raz pierwszy w życiu miała do czynienia z kimś, kogo nie było stać na kupno choćby kawałka chleba.

- Przyjechałaś do Hanging Tree w poszukiwaniu dobrej okazji do kradzieży?

- Nie - zaprzeczyła dziewczyna, polykając łzy. - Przybyłam do Hanging Tree z myślą o znalezieniu pracy. Ale żadnej pracy tu nie ma, z wyjątkiem wiadomych usług w miejscowym saloonie.

Rubin poczuła się do głębi wstrząśnięta. Wiedziała, jak dziewczyny w saloonie Bucka zarabiają na życie. Klientami ich byli bez wyjątku kowboje - szorstcy, bezceremonialni, nierzadko ordynarni. A często także okrutni.

- Tak więc nie masz pracy. Nie masz też pieniędzy.

I przyszłaś tu ponownie, by tym razem ukraść coś cenniejszego.

- Ja... nie wróciłam po to, by kraść - powiedziała dziewczyna.

- A po co?

Dziewczyna przeniosła spojrzenie na stojące na zapleczu i widoczne w otwartych drzwiach łóżko.

- Zobaczyłam je, kiedy byłam tu przedtem. Pomyślałam, że będę mogła się w nim przespać. Słyszałam, że mieszka pani daleko od miasta.

Nagle głos dziewczyny załamał się, ona zaś sama osunęła się na kolana. Gorący Rubin

zmierzyła ją uważnym spojrzeniem. Czy był to rezultat wycieńczenia, czy też była po prostu świetną aktorką?

Ulegając impulsowi, pomogła dziewczynie wstać. Zorientowała się, że dziewczyna nie udaje. Była tak słaba, że ledwo trzymała się na nogach.

Posadziła nieszczęsną na krzesło, po czym sięgnąwszy na półkę po zawiniątko z jedzeniem, odwinęła je i podała dziewczynie. Tamta wpatrywała się w udko kurczęcia, jakby nie wierzyła własnym oczom.

- Jak ci na imię?

- Patience. Patience Carter.

- A ja nazywam się Rubin Jewel. Proszę, bierz i jedz.

- To znaczy, że pani mnie częstuje? Rubin skinęła głową.

- Ale dlaczego? Przecież ukradłam pani guziki. Rubin wskazała głową na jedzenie.

- Jedz. Potem porozmawiamy.

Obserwowała z zadowoleniem, jak dziewczyna zatapia zęby w kurczaku. Było oczywiste, że od wielu dni nie miała nic w ustach. Świadczył o tym sposób, w jaki szarpała, żuła i przełykała jedzenie.

- Och, Patience - westchnęła Rubin i zaczęła przechadzać się po sklepie tam i z powrotem. - Co ja mam teraz z tobą zrobić?

- Przypuszczam, że zechce pani wezwać szeryfa - powiedziała niewyraźnie Patience, gdyż miała pełne usta.

- Taka myśl rzeczywiście przemknęła mi przez głowę. Wzięła dzbanek i nalała zeń maślanki do kubka. - Pij.

Dziewczyna wypła duszkiem.

- Czy potrafisz szyć? Dziewczyna wydawała się zakłopotana.

- Trochę. Nie sądzę, bym była w tym dobra. Mama przed śmiercią zdążyła nauczyć mnie kilku ściegów. Cerowałam ubrania, moje i tatusia.

- *Bon.* To dobrze. Czy chciałabyś pracować ze mną? Mogłabym nauczyć cię szycia.

- Naprawdę mogłaby pani? - Zaskoczona Patience opuściła rękę trzymającą kromkę chleba, którą właśnie niosła do ust.

- Szukasz pracy i dachu nad głową. A ja potrzebuje pomocnicy.

- Więc będę pani pomocnicą? - Oczy dziewczyny zajaśniały jak dwie gwiazdy. - Naprawdę zamierza pani przyjąć mnie na próbę?

Rubin przytaknęła.

- Tak. Jeśli rzeczywiście chcesz pracować.

- Och, tak, *ma'am*. Nie boję się pracy. Choćby najcięższej.

Gorący Rubin przeszła na zaplecze, by po kilku minutach wrócić z niewielką torbą w rękę.

- Kiedy skończysz jeść, możesz skorzystać z łóżka.

- Ale to przecież pani łóżko.

- Millie Potter ma jeszcze wolne pokoje.

- Dlaczego ma pani oddawać mi swoje łóżko? Już wystarczająco dużo zrobiła pani dla mnie - próbowała protestować dziewczyna.

Gorący Rubin uśmiechnęła się.

- Tak, to prawda. Od jutra zaczniesz spłacać ten dług. Oczekuję, że będziesz pomagała mi w sprzątaniu, szyciu i robieniu zakupów. Myślisz, że podolasz tylu obowiązkom?

Patience z zapalem skinęła głową.

- *Bon*. To świetnie. Jutro przekonam się, czy dobrze się nam razem pracuje. A teraz dobranoc.

Wyszła na ulicę i skierowała się ku pensjonatowi Millie Potter. Idąc przez miasto, myślała o dziwnym przeznaczeniu, które przywiodło tę dziewczynę akurat do jej pracowni.

- Och, tatusiu - wyszeptwała. - Quent powiedział mi, że zawsze zbaczałeś z drogi, by nieść pomoc ludziom z miasta. Chcę być taka jak ty. Ale czy nie popełniłam jakiegoś błędu? Czy nie okazałam się naiwna, darząc zaufaniem tę obcą dziewczynę?

Stanąwszy przed drzwiami pensjonatu, zapukała i poczekała chwilę. Wreszcie w sionce pojawiło się migotliwie światło, drzwi otworzyły się i stanęła w nich Millie. Była tylko w nocnej koszuli. Trzymała w ręku lampę naftową.

- Rubin?

- Wiem, że jest już bardzo późno - powiedziała Rubin przeproszającym tonem. - Przyszłam zapytać, czy masz jeszcze jakiś wolny pokój.

- Dla ciebie zawsze coś się znajdzie - odparła z uśmiechem Millie. - Tyle że został jedynie najmniejszy. Wszystkie pozostałe są zajęte. Ale łóżko w nim jest bardzo wygodne.

- To wszystko, czego mi potrzeba. Dzięki, Millie.

- Wejdz. Mam kawę. I upiekłam trochę cynamonowych ciasteczek na jutrzejsze śniadanie.

- Jesteś kochana, Millie, ale naprawdę nie chciałabym sprawiać ci kłopotu.

- Ależ co ty opowiadasz! Wejdz do saloniku. Za chwilę tam będę - powiedziała Millie, śpiesząc w kierunku kuchni.

Jedynym światłem w saloniku był odblask dogasających na kominku polan. Rubin

zadrżała i zarzuciła sobie szal na ramiona.

- Już jestem - oznajmiła Millie Potter, wchodząc do pokoju z tacą, którą z brzękiem postawiła na stole. - Kawa jest gorąca, ciasteczka jeszcze ciepłe. Dlaczego przyszedł tak późno?

Rubin spróbowała gorącej aromatycznej kawy.

- Zatrudniłam pomocnicę. Młodą kobietę. Niejaką Patience Carter. Znasz ją?

Millie skinęła głową.

- Krótko rozmawialiśmy. Dziś w południe przyszła zapytać, czy nie mam dla niej jakiejś pracy. Musiałam odpowiedzieć, że nikogo nie potrzebuję. Co o niej wiesz?

- Bardzo mało - przyznała Rubin. - Tylko tyle, że nie ma rodziny i potrzebuje pieniędzy.

- A co zdecydowało o tym, że ją zatrudniłaś?

- Ona... Miałam dziś ciężki dzień, dostatecznie ciężki, bym sobie uświadomiła, że sama nie dam rady.

- I przyjął kogoś całkiem obcego, bez referencji? Rubin czuła potrzebę wytłumaczenia się ze swej śmiałej decyzji.

- To po prostu biedna dziewczyna, której trzeba dać szansę.

- Obyś się nie myliła. - Millie zacisnęła usta. - Możliwe, że powinnaś poprosić Quenta Regana, kiedy już wróci do miasta, o sprawdzenie jej przeszłości. - To zbyteczne - pośpiesznie powiedziała Rubin. Millie uniosła brwi. W jej oczach pojawił się błysk zaciekawienia.

- Nie chcę... sprawiać szeryfowi dodatkowego kłopotu.

- Przecież to jego praca. Przynajmniej pozwól mu z nią porozmawiać. Dowie się, skąd pochodzi, i będzie mógł zapytać szeryfa z jej miejscowości, czy nie sprawiała tam jakichś kłopotów.

Gorący Rubin przymknęła oczy. Całodzienna praca owocowała teraz ogromnym zmęczeniem.

- Wybacz, Millie, że kapryszę i zawracam ci głowę. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, to pójdę już do mego pokoju.

- Oczywiście, idź spać.

Wstały i Millie poprowadziła gościa do małej sypialni tuż przy kuchni. Równocześnie zastanawiała się nad tym, co dzisiaj widziała i słyszała.

Wszyscy mówili, że Quent Regan opuścił miasto, zły i ponury. Podobno szalał niczym ranny bizon. Wszystko wskazywało na to, że powodem takiego zachowania była kobieta

podążająca teraz za nią. Kobieta, której blada twarz i posmutniałe oczy mogły świadczyć zarówno o przemęczeniu, jak i o rozterkach duchowych.

Możliwe, że Quent Regan wreszcie spotkał kobietę, z którą chciałby dzielić życie. I że była nią Rubin Jewel.

Jeśli ci dwoje kiedykolwiek zetrą się ze sobą, ona. Millie Potter, postawi wszystkie swoje pieniądze na córkę Onyxa Jewela.

Gończy Rubin umyła się i ubrała, a następnie przyjrzała swemu odbiciu w pękniętym lusterku wiszącym na ścianie małej, wąskiej sypialni. Światło poranka wpadało do pokoju przez okno, bezlitośnie ukazując zmęczenie malujące się na jej twarzy, zaczerwienione i podkrążone oczy.

To wszystko była wina Quenta Regana. Nie potrafiła przed nim uciec nawet we śnie. Prześladował ją przez wszystkie te godziny niczym nocny koszmar. Spędziła noc, przewracając się na łóżku i zasypiając jedynie na krótkie chwile.

Na korytarzu usłyszała, że zastępca szeryfa rozmawia w kuchni z Millie Potter. Weszła i przywitała się.

- Dzień dobry, Rubinie - rzekła Millie. - Zobacz, kto będzie jadł z nami śniadanie.

- Miło mi. - Na twarzy Rubinu pojawił się wymuszony, blady uśmiech. - Myślałam, że pan i szeryf zwykliście jadać poranne posiłki w biurze.

- Jest w tym cień prawdy, panno Jewel. Dzień jednak jest zbyt piękny, by spędzać go w miejskim areszcie. A to dało mi powód, by przejść się przez miasto.

- Kawy? - zapytała Millie.

- *Oui*. Proszę. - Rubin zajęła miejsce przy stole.

- Jak się spało?

Millie obrzuciła ją uważnym spojrzeniem. Arlo również popatrzył badawczo.

- Czy łóżko okazało się wystarczająco miękkie? Nie zmarzałaś pod dwoma tylko kocami?

- Wszystko w najlepszym porządku, Millie. Spałam jak dziecko - skłamała gładko Rubin. Wlała do kawy dużą ilość słodkiej śmietanki, a potem nasypała cynamonu i cukru.

- Co ty robisz? - zdziwiła się Millie.

- To jest *café au lait*. Kawa ze śmietanką. Taką właśnie zwykłam pić w Bayou Rouge - wyjaśniła Rubin. - Czy chcecie spróbować?

Millie upiła łyczek i westchnęła.

- Och, Rubinie. To jest naprawdę smaczne. A co ty na to, Arlo? Odważysz się?

- Nie, dziękuję. Ja piję od lat swoją zwykłą teksaską kawę - odpowiedział.

- A może skosztujesz moich cynamonowych ciasteczek? Od wczoraj przecież nic nie jadłaś. - Millie przysunęła talerz ze świeżutkimi ciasteczkami. Obok stał dżem i miód. - Widzę, że Arlo nie trzeba prosić. Rubin pokręciła głową.

- Nie, dziękuję, ale jeśli nie masz nic przeciwko temu, wezmę kilka dla mojej pomocnicy.

- Pomocnicy? - Arlo zareagował jak ukąszony przez trutnia koń. - To już ma pani pomocnicę, panno Jewel?

- Tak, ja... Tak się złożyło. Szczęśliwy zbieg okoliczności.

- A więc interes od razu ruszył pełną parą - zauważył.

- Początek miałam całkiem dobry. Sprzedałam wczoraj dwie suknie, dwa nakrycia głowy i trochę koronki.

- Czyż to nie cudowne? - Millie rozbiła jajka do miski i zaczęła je ubijać. - Arlo uwielbia jajecznicę. A ty, Rubinie?

- Naprawdę nie jestem głodna. Skończę tylko kawę i wracam do siebie. Czeka na mnie praca.

Kiedy Millie zajęła się smaženiem jajecznicy, Arlo powiedział:

- Idąc tu, zajrzałem do pani sklepu, panno Jewel.

- I jakie wrażenie?

- Na mój gust, jest trochę za skromny.

- A czegoż pan oczekiwał?

- Zobaczyłem, że drzwi są uchylone. Pozwoliłem sobie je zamknąć.

Gorący Rubin zbladła. Kawa wylała jej się z kubka ale ona nawet tego nie zauważyła. Myślała w tej chwili: o swoich drogich sukniach, kapeluszach i śnieżnej koronce. Poza tym guziki, pióra i... Czy to wszystko przepadło? Och, na litość boską! Jak mogła zgrzeszyć aż taką głupotą i naiwnością?

Odsunęła gwałtownie krzesło i wstała.

Millie odwróciła się od kuchni.

- A gdzie ty...?

- Przykro mi. Muszę już iść. W sionce dołączył do niej Arlo.

- A co z pana jajecznicą?

Arlo nie odpowiedział. Nie darowałby sobie, gdyby przegapił ważne wydarzenie. „W końcu był zastępcą szeryfa.

Gorący Rubin zatrzymała się przed budynkiem mieszczącym pracownię i sklep. Kilka razy głęboko odepchnęła, następnie przekręciła gałkę i weszła do środka. Arlo nie odstępował

jej na krok.

- Patience!

Nikt nie odpowiedział.

Szybkie spojrzenie upewniło Gorący Rubin, że wszystko znajduje się na swoim miejscu.

Odetchnęła z ulgą. Przeszła na zaplecze. Łóżko było puste, narzuta niedbale odwinęta na bok. Nic nie świadczyło o tym, by ktoś tu czegoś szukał.

- Cóż - rzekł Arlo, swoim zwyczajem drapiąc się po głowie. - Widać, że opuściła sklep, ale widać też, że niczego nie wzięła.

- Ale gdzie ona mogła pójść? - Rubin zaczęła nerwowo przechadzać się po pokoju. - Nie ma ani domu, ani rodziny.

- Tak mogła jedynie powiedzieć, panno Jewel. Skąd wiemy, że to prawda?

- Nie rozumiem, dlaczego miałyby mnie okłamywać.

- Być może uciekła. - zauważył Arlo. - Niewykluczone, że miała już dość pracy na ranchu czy farmie. Tak się czasami zdarza. Młoda kobieta wychodzi za mąż, mając nadzieję, że polepszy swój los, a tymczasem odkrywa, że wpakowała się w obowiązki i harówkę. Wtedy ucieka od męża.

- Rzeczywiście, bardzo przypominała osobę uciekającą przed czymś. Wyglądiała. Wyczerpana. - Pamiętała doskonale, że buty dziewczyny pokryte były błotem, a sukienka postrzępiona. - Ale w rozmowie ze mną wydawała się szczerą.

- Gdyby pani chciała, to mogę sprawdzić listy gończe. Może któryś z nich dotyczy pani pomocnicy, panno Jewel.

- Dziękuję, Arlo. Przypuszczam, że powinnam...

Obydwoje odwrócili się na dźwięk czyichś pospiesznych kroków. Patience wpadła przez otwarte drzwi, kiedy jednak ujrzała zastępcę szeryfa, zatrzymała się jak wryta. Wyraźnie pobladła.

- Patience! - zawołała Rubin. - Zobaczyłam pusty sklep i pomyślałam, że... Gdzie się podziewałaś?

- Za miastem jest taki mały strumień. Chciałam się umyć, zanim pani wróci, panno Jewel.

Kropelki wody błyszczały w jej pszenicznych włosach. A twarz, chociaż ciągle blada, lśniła czystością. Podobnie zresztą jak sukienka.

- Zrobiłaś taki kawał drogi tylko po to, żeby się umyć?

- Nie chciałam, żeby się pani wstydziła przed ludźmi swojej nowej pomocnicy.

Widząc wyraz twarzy Arlo i Rubina, spytała:

- A może już nie jestem pani pomocnicą? Może zmieniła pani zdanie co do mojej osoby, panno Jewel?

Gorący Rubin zignorowała spojrzenie zastępcy szeryfa i zdecydowanym krokiem podeszła do dziewczyny.

- Oczywiście, że nie. Nadal jesteś moją pomocnicą.

- Ach, bardzo dziękuję. Będę ciężko pracowała. Wykonam wszystkie pani polecenia.

- Wiem, Patience. A twym pierwszym zadaniem będzie wizyta w pensjonacie Millie Potter, który znajduje się po przeciwnej stronie miasta.

Uśmiech znowu pojawił się na twarzy dziewczyny.

- Tak, *ma'am*. I co mam zrobić?

- Powiesz właścicielce, że przysłaś zjeść jajecznicę przeznaczoną dla zastępcy szeryfa.

Rubin wzięła zaskoczoną dziewczynę za ramię i podprowadziła do drzwi.

- Idź i nie zastanawiaj się. Powiedz też Millie Potter, by doliczyła twoje śniadanie do mojego rachunku.

Na twarzy Patience rozkwitł uśmiech.

- Tak, *ma'am*. Tak zrobię. I... - Wybiegła na ulicę, po czym zawołała przez ramię: - Niedługo wracam.

Kiedy zostali sami, Rubin, unikając wzroku zastępcy szeryfa, zaczęła słać łóżko.

- Cieszę się, że się myliłam. Cieszę się, że oboje się pomyliliśmy - powiedziała, czując się trochę winna.

- Mam nadzieję, że przyjmie pani dobrą radę, panno Jewel.

Rubin kilkoma ruchami ręki wygładziła zmarszczki na kapie.

- Więc proszę sobie zapamiętać. Bywa, że dzikie zwierzę ugryzie rękę, która je wcześniej karmiła.

Rubin czekała, aż Arlo się oddali. Wtedy rzuciła się na łóżko, przed chwilą tak starannie posłane. Bezwiednie dotknęła ręką rubinu zawieszzonego na złotym łańcuszku.

- Och, tatku - szepnęła. - mam taki chaos w głowie. Tak bardzo chciałabym, żebyś tu był i pomógł mi rozwiązać te wszystkie problemy.

Zaledwie przebrzmiało ostatnie słowo, poczuła spływający na nią spokój. Czyż Onyx Jewel nie obiecał, kiedy wieszał jej łańcuszek z rubinem na szyi w dzień szesnastych urodzin, że zawsze będzie przy niej, cokolwiek by się stało?

Odetchnęła głęboko i dokończyła:

- Będę próbowała, tatku. Wiem, że ty postąpiłbyś podobnie.

Patience wróciła ze śniadania i już w drzwiach zapytała, co ma robić. Rubin zaproponowała jej przymierzenie kilku sukien.

- Ale dlaczego? - zdziwiła się Patience.

- Ponieważ będziesz teraz pracowała w moim sklepie i powinnaś porządnie wyglądać.

- Rubin wskazała jej na starą i podartą sukienkę z perkalu i zdarte buty, - Co by sobie pomyślały klientki, gdybyśmy chodziły tu w znoszonych rzeczach.

- Ale nie stać mnie na żadną z tych kreacji - broniła się Patience. - A co dopiero mówić o kilku.

- Zarobisz na nie - powiedziała Rubin, prowadząc ją do przebieralni.

Ostatecznie wybrały dwie muślinowe, jasnoróżową i jaskrawożółtą, oraz kremowy fartuszek.

Przyglądając się swemu odbiciu w lustrze, dziewczyna czuła się oszołomiona. Stworzono jej możliwość pracy i zarobku. Miała dwie nowe suknie. A wszystko to wydarzyło się w ciągu jednej doby.

Kiedy Gorący Rubin poprosiła ją o pokazanie, jak szyje, Patience wzięła igłę i nitkę i wykonała kilka różnych ściegów na kawałku materiału. Zadowolona Rubin rzekła:

- Dobrą sobie wybrałam pomocnicę. Myślę, że siostra Dominika byłaby pod wrażeniem. Ale teraz pokażę ci, co mamy do zaproponowania naszym klientkom.

I tak zaczął się dla Rubinu kolejny pracowity dzień. Podczas gdy sama kończyła obrus dla Millie, Patience obsługiwała panie, które ściągnęła do pracowni tyleż ciekawość co potrzeba.

Żadna z kobiet nie była z miasta. Wszystkie były żonami lub córkami ranczerów. W ten sposób Rubin otrzymała kolejny sygnał, że kobiety z Hanging Tree wciąż uważają ją za obcą. Intruzkę, nie zasługującą na ich zaufanie i poparcie.

Wszystkiemu winien był Quent Regan. Ale nie potrafiła wzbudzić w sobie do niego niechęci. Zbyt za nim tęskniła.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Elegancki biały powóz, który przejechał zakurzoną główną ulicą Hanging Tree, wywołał niemałe poruszenie. Samym wyglądem bardziej pasowałby do ulic San Francisco. Podobnie zresztą jak kobiety, które w nim zasiadały.

Nefryt zatrzymała siwki przed sklepem Gorącego Rubinu. Tutaj ona, Diament i Perła wysiadły.

- Coś podobnego! Proszę spojrzeć! - Patience otworzyła usta ze zdziwienia i wbiła wzrok w trzy piękności zmierzające ku drzwiom wejściowym.

Rubin wyjrzała przez okno, odłożyła szycie i pospieszyła powitać siostry.

- Patience - powiedziała, gdy już się serdecznie wyściskały - poznaj moje siostry: Diament, Perłę i Nefryt.

- Bardzo mi miło. - Patience nie mogła się napatrzeć na te niezwykle kobiety, które tak bardzo różniły się wyglądem od żon ranczerów i farmerów.

- Patience jest moją pomocnicą - wyjaśniła Rubin. Siostry spojrzały uważnie. Zobaczyły starannie uczesane i przewiązane gustowną wstążką lśniącej pszenicznej włosów, jasną twarz oraz schludną muślinową sukienkę. Przypomniały sobie, że jest to jedna z kreacji Rubinu.

Dziewczyna im się spodobała. Przeniosły wzrok na siostrę.

- Przyjechałyśmy, by zabrać cię do domu - powiedziała Perła.

- Carmelita histeryzuje, jakby straciła własne dziecko - dodała Diament. - Nie mogła zasnąć tej nocy.

- Nie wróciłam na ranczo, bo mam masę roboty - tłumaczyła się Rubin. - Zbliża się dzień festynu i wielu ranczerów chce wystroić żony i córki. To moje klientki. A ja mam tylko dwie ręce.

- Równie dobrze możesz przygotowywać te kreacje na ranczu - powiedziała Nefryt. - I bez dyskusji. Nie możesz skazywać Carmelity na kolejną bezsenność.

Rubin niechętnie skinęła głową.

- Oczywiście, masz rację. Postąpiłam samolubnie, myśląc tylko o sobie.

- Świetnie. W takim razie zabierasz się z nami? - zapytała Diament.

Nagle Rubin wpadła na pewien pomysł.

- *Oui*, ale wezmę ze sobą Patience. Dziewczyna zarumieniła się i już chciała zaprotestować, lecz Rubin nie dopuściła jej do głosu.

- Teraz każda z moich sióstr mieszka oddzielnie, dom na ranczu stoi pusty. Carmelita

ciągle narzeka, że nie ma dla kogo gotować. Chcę, byś pojechała ze mną. Na pewno ci się tam spodoba. Poza tym będziesz mi pomagała.

Patience skinęła głową w milczeniu.

- Świetnie. - Rubin zwróciła się do sióstr: - Pojadę moją bryczką. Od wczoraj stoi w stajni Neville'a Oakleya.

- Chodźmy więc. - Diament, której spodnie z kozłej skóry wyglądały, jakby zaraz miały puścić w szwach na jej okrągłym brzuchu, pierwsza skierowała się ku drzwiom. - Podwieziemy was do stajni.

- Potrzebuję jeszcze kilku minut - powiedziała Rubin, zbierając suknie, które wymagały mniejszych lub większych poprawek. Patience tymczasem zajęła się pakowaniem przyborów do szycia.

Kiedy wszystko było gotowe, dołączyły do trzech sióstr, czekających już w powozie. Jasny Nefryt sięgnęła po lejce.

Słyszac turkot kół, Neville Oakley podniósł głowę, a zobaczywszy Rubin w towarzystwie sióstr, położył młot na kowadle i pospieszył zaprzac konia do bryczki. Kilka minut później wyprowadził zaprzęg na podwórze.

- Dziękuję, panie Oakley - powiedziała Rubin z czarującym uśmiechem.

Gdy już siedziała na kozle, dodała:

- To moja pomocnica, Patience Carter.

- Miło mi, panie Oakley. - Patience podała mu dłoń. Zaniemówił na widok tej kruchej i delikatnej postaci w jasnej sukience i znoszonych bucikach. Wreszcie, przełykając ślinę, wykrztusił:

- *Ma'am.*

Patience zostało uniesiona w górę jak piórko i posadzona obok Gorącego Rubina.

Oba powozy potoczyły się przez miasto. Po jakimś czasie, już pośród pól i pastwisk, dały się słyszeć kobiece głosy, śmiechy i okrzyki. Głównym tematem rozmów był festyn organizowany co roku pod koniec lata.

Tymczasem daleko od miasta, w górzystym terenie, błąkał się na koniu Quent Regan. Zobaczył strumień, podjechał i zeskoczywszy na ziemię, ukląkł, żeby ugasić pragnienie.

Sprawdził wszystkie rancza. Rozmawiał z każdym hodowcą. Nikt nie zgłosił kradzieży koni, nikt też nie widział ostatnio żadnego obcego w tej okolicy.

Quent mimo to bacznie się rozglądał za śladami podków lub nocnego obozowiska, jednakże na nic takiego nie natrafił. Szlak był czysty.

Jaki był zatem powód tego osobliwego łaskotania karku? Niewykluczone, że ktoś

obserwował go z ukrycia.

Dźwignął się i podszedł do konia. Udając, że sprawdza popręgi siodła, uważnie przyjrzał się pobliskim wzgórzom. Ptaki kołowały na tle bezchmurnego nieba. Stado jeleni przebiegało leniwie kamienistym parowem. Wszystkie elementy krajobrazu pasowały do siebie niczym zmyślna układanka.

Quent jednak zwykł polegać na swoim instynkcie. A właśnie teraz ów szósty zmysł ostrzegał go przed niebezpieczeństwem.

Ale jakim?

Znalazł się tutaj z jednego powodu: by uczynić z siebie cel i jednocześnie przynętę. Wiedział, że jeśli Boyd Barlow ciągle kręci się w tej okolicy, nie będzie w stanie zdusić w sobie pragnienia odwetu. Zatem najskuteczniejszym sposobem wywabienia go z kryjówki było pozostawanie w otwartej przestrzeni, unikanie obszarów zadrzewionych. On, Quent, wystawiał się zatem na widok i każdej nocy rozpalał ognisko widoczne z odległości wielu kilometrów.

Wskoczył na siodło. Być może jednak się mylił. Z; długo przebywał poza domem. Nadszedł czas, by wracać do miasta. Nie spodziewał się, że spędzi na prerii aż tyle dni. Przeczesał okolice w poszukiwaniu Boyda - to prawda. Potrzebował też czasu na przemyślenie pewnych spraw. Rozstał się z Gorącym Rubinem w gniewie, w złości.

To wielodniowe przestawanie sam na sam z własnymi myślami w końcu stało się bardzo męczące. Pojawiła się potrzeba ludzkiego towarzystwa.

Jednakże lękał się myśli o powrocie. Nie mógł uniknąć spotkania z Rubinem. Zresztą, chciał ją zobaczyć. Tyle że trudno mu będzie pogodzić się z myślą, że Rubin nigdy się już do niego nie uśmiechnie, nigdy nie porozmawia z nim przyjacielsko, nigdy też nie pozwoli mu na pieszczoty i pocałunki. Powiedziała przecież, że nie chce mieć z nim nic wspólnego.

Jego nieobecność w Hanging Tree trwała jednak już wystarczająco długo. Nadszedł czas powrotu i dalszych zmagania z losem.

Boyd Barlow trzymał strzelbę gotową do strzału. mierząc w miejsce, w którym powinien pojawić się szeryf po przebyciu grani. Jego palec drgał na spuście. Boyd rozkoszował się myślą, iż za chwilę zobaczy, jak szeryf chwieje się w siodle, a potem spada na ziemię.

To będzie takie proste.

Ale to nie wystarczająca kara. Nie po tym, co szeryf zrobił jego bratu.

Śmierć od kuli, śmierć szybka i prawie bezbolesna, to o wiele za mało. Boyd pragnął widzieć z bliska twarz Quenta Regana wykrzywioną bólem, słyszeć jego jęki. Życie ma z tego

drania wyciekać powoli - myślał - kropla po kropli, tak jak woda z dziurawego bukłaka. Poza tym Boyd chciał, by Quent Regan wiedział, kto pociągnął za spust. Chciał, by wszyscy w okolicy wiedzieli, kto załatwił tego śmierdzącego obrońcę prawa.

Opuścił strzelbę. Podjął decyzję, że wyrówna rachunki z Reganem na oczach wielu ludzi. Pomyślał o Hanging Tree, mieście szeryfa Regana. Wybrał też czas - doroczny festyn. W ten sposób Regan, umierając, nie będzie mógł się skarżyć na brak widowni.

On, Boyd, jest sprytny. Zebrał mnóstwo informacji o tym, jak będzie przebiegał festyn. Ma swoje metody. A kiedy wcieli swój plan w życie, będzie mógł przejechać przez miasto nie rozpoznany przez nikogo.

Wkrótce, już naprawdę niebawem, każdy usłyszy o Boydzie Barlowie, człowieku, który zabił szeryfa Quenta Regana, najszybszego rewolwerowca w Teksasie.

Carmelita stała na ganku i obserwowała zbliżające się od bramy dwie bryczki. Gdy się zatrzymały, zbiegła po schodkach i przypadła do Rubinu.

- Wreszcie cię widzę. Tak się martwiłam.

- Przepraszam, Carmelito. Nie powinnam tak długo przebywać poza domem, ale przecież cię uprzedziłam.

- *Si.* Jednak różne głupie myśli przychodziły mi do głowy. Widziałam cię już zmarłą, zranioną, głodującą... Wolałabym nie przeżywać drugiej takiej nocy.

- Obawiam się, że będzie ich więcej - zauważyła sucho Diament, ociężale wspinając się po schodach.

- A ty, Diamencie, spójrz lepiej na siebie - zbesztła ją Carmelita. - Kto to myślał tłuc się po takich drogach w twoim stanie! Powinnaś raczej spokojnie czekać w domu na rozwiązanie.

- Moje dziecko ma jeszcze przed sobą trochę czasu. Nie będę więc jak głupia robiła z siebie inwalidki. - Diament położyła dłonie na krzyżu i wygięła się do tyłu. - Chociaż muszę przyznać, że trochę zmęczyła mnie ta jazda powozem. - Rozejrzała się wokół. - Gdzie jest Adam? Miał się tu ze mną spotkać.

- Jest w środku. Rozmawia z Calem, Danem i szeryfem Reganem - wyjaśniła gospodyni.

Słyszac te słowa, Rubin zadrżała. Serce zabiło jej niespokojnie.

Quent Regan tutaj?!

Zanim zdołała wygładzić pomiętą spódnice i przyczesać splątane włosy, drzwi otworzyły się i z domu wyszli mężczyźni.

Diament, Perła i Nefryt z radością powitały swych mężów. Rubin i Quent badawczo

spojrzeli sobie w oczy.

Szeryf wyglądał, jakby miał za sobą całe tygodnie przebywania w dziczy. Policzki i brodę miał porośnięte ciemną szczecina. Oczy wydawały się patrzeć jeszcze bardziej przenikliwie. Czują, że sięgają samego dna jej duszy. Był przystojny i władczy, a równocześnie groźny i nieobliczalny. Nie uświadamiała sobie dotąd, jak bardzo za nim tęskniła.

- Co tutaj robisz, szeryfie? - zapytała wreszcie.

- Miałem pewne sprawy do załatwienia w okolicy. Pomyślałem, że złożę sąsiedzka wizytę.

- Poprosiłam go, by został na kolacji - powiedziała Carmelita - ale odmówił.

- Muszę jak najszybciej wracać do miasta. Jestem pewien, że do tej pory Arlo zamienił biuro w jedną wielką graciarnię.

Gospodyni spojrzała na siedzącą w bryczce Gorącego Rubinu jasnowłosą dziewczynę.

- Można wiedzieć, kto to jest?

- Wybacz, Carmelito. - Rubin próbowała wziąć się w garść. - To jest Patience Carter, moja pomocnica. Patience, nasza gospodyni, Carmelita Alvarez, i szeryf Quent Regan.

- Szeryf?

Uwagi Quenta nie uszło, że dziewczyna speszyła się i zaniepokoiła. Szybko odwróciła się do gospodyni.

- Mam nadzieję - powiedziała - że nie ma pani nic przeciwko kolejnej gębie do wykarmienia. Panna Jewel tak nalegała, bym się z nią zabrała.

- Oczywiście, że nie mam nic przeciwko wizycie kogoś tak miłego. Dom stał się taki pusty. Wszystkie moje ptaszki wyfrunęły z gniazda.

- Jeden z nich zaczyna myśleć o powrocie - rzekł Adam, obrzucając żonę długim i pełnym miłości spojrzeniem. - Przynajmniej na jakiś czas.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytała Diament.

- Myślę, że najrozsądniej byłoby przeprowadzić się tu na ten ostatni krytyczny okres. Carmelita mogłaby mieć cię na oku.

- No, teraz mówisz całkiem rozsądnie. - Carmelita obdarzyła go szerokim uśmiechem. Perle również spodobał się ten pomysł.

- Myślę, że powinnaś posłuchać rady męża, siostrzyczko. Nie wolno ci narażać ani siebie, ani dziecka. Wszystkie wiemy, jak często Adam przebywa daleko od domu.

Widząc, że Diament zamierza się sprzeciwić, Carmelita złapała ją za rękę.

- Wejdz do środka i odpocznij na kozetce - powiedziała głosem nie znoszącym

sprzeciwu. - A ja tymczasem zaparzę herbatę.

- Kawę! - zawołała Diament, walcząc choćby o drobne ustępstwo ze strony spiskującej przeciwko niej rodziny. - Smolistą jak noc.

- *Si. Si.* Herbatę. - Gospodyni zafurkotała halką i spódnicą. - Niech ktoś przemówi temu uparciuchowi do rozsądku.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Carmelita Alvarez była jedyną osobą, która mogła zmusić Diament do opamiętania się i zatroszczenia o siebie.

- Na co jeszcze czekamy? - zapytała rzeczowo Diament. - Chodźmy do środka.

Kiedy inni podążyli za nią, Quent ruszył w przeciwną stronę.

- Czy nadal zamierzasz wyjechać stąd z pustym żołądkiem?! - zawołał za nim Adam.

- Innym razem na pewno dam się zaprosić - odparł szeryf.

Kiedy mijał Gorącego Rubina, wyczuł słodką i rozkoszną woń róż, tak dobrze mu znaną. Uświadomił sobie, jak bardzo tęsknił za Rubinem. Ta kobieta jak żadna inna weszła mu w krew. Zawładnęła sercem i odebrała rozum.

Zebrał całą siłę woli, wskoczył na siodło i ruszył bez oglądania się za siebie.

Rubin stała nieruchomo na ganku. Odprowadzała Quenta wzrokiem, aż zniknął za pagórkami.

Ze środka dolatywały głosy i śmiechy jej siostr i szwagrów. Z jakiegoś powodu pogłębiało to tylko jej smutek.

Nigdy jeszcze nie czuła się taka samotna i nieszczęśliwa. Widocznie los nie miał dla niej niczego prócz gorczy.

Gorący Rubin ostrożnie złożyła koronkowy obrus, zapakowała w brązowy papier, by następnie włożyć paczuszkę do koszyka. Wyszła na ulicę. Kiedy zbliżyła się do pensjonatu Millie Potter, ujrzała mniejsze i większe wozy ranczerów, którzy zjechali do miasta na doroczny festyn. Jedynie najlepiej prosperujących hodowców było stać na nocleg z wyżywieniem w pensjonacie. Reszta będzie spała w swych wozach albo pod gołym niebem.

Miasto otoczone było wianuszkami ognisk, których dymy wzlatywały pionowo ku bezchmurnemu niebu.

W powietrzu unosił się ostry zapach pieczonego mięsiwa. Najrozkoszniejsze wonie dochodziły z kuchni Millie Potter: zapach pieczonego chleba, duszonej wołowiny i przeróżnych przypraw.

Drzwi otworzyła Birdie Bidwell. Jej piegowata twarzyczka była ubielona mąką. Na brodzie widniał ślad czekolady.

- Widzę, że nie możecie się uskarżać na brak zajęć. Birdie.

- O, tak. Pieczemy i gotujemy już od świtu, a jest dopiero południe.

- Za to klienci na pewno będą zadowoleni z wyników waszej ciężkiej pracy.

- Tak, *ma'am*. Mamy dziś sporo gości. - Spojrzała na koszyk, który Rubin trzymała na zgiętym ramieniu - Czyżby to był obrus, o którym już tyle słyszałyśmy?

- Zgadłaś. - Rubin ruszyła w kierunku jadalni. - Czy mogłabyś mi pomóc?

- Oczywiście. Tyle że pani Potter prosiła, bym natychmiast ją zawołała, gdy tylko pani przyjdzie.

Głos Birdie wywabił Millie z kuchni. Wycierając ręce w fartuch, przypatrywała się krzątaniu Rubinu i Birdie. Zaczęły od uprzątnięcia ze stołu przeróżnych zgromadzonych tam przedmiotów: lekko wyszczerbionej cukiernicy, gustownego dzbanuszka do śmietanki, wazy z polnymi kwiatami, emaliowanego dzbanka na wodę. Wszystko to postawiły obok na kredensie. Rubin rozłożyła obrus.

- O rany! - To było wszystko, co miała do powiedzenia Birdie.

- Och, Rubinie! - Millie trzymała dłonie przy policzkach w geście niemego zachwytu, podczas gdy Rubin i Birdie naciągały końce. - Tylko spójrzcie na to чудо. Anioły nie zrobiłyby niczego piękniejszego.

- Słowo daję - powiedziała Birdie z wyrazem nabożnej czci na twarzy. - Ten obrus jest jak rosa, która pokrywa ziemię wczesnym rankiem, albo jak płatki śniegu leżące na Widów's Peak.

- Sam nie ująłbym tego lepiej - dotarł do ich uszu męski głos.

Rubin gwałtownie uniosła głowę i zobaczyła Quenta Regana. Stał oparty niedbale o framugę.

Zarumieniła się jak róża. Chciała się odwrócić, by ukryć kompromitujący rumieniec, lecz nie potrafiła przestać patrzeć na szeryfa. Wyglądał tak męsko!

- Wcześniej zaszedłeś, Quent - zauważyła Millie. - Większość moich gości nadal jest jeszcze na górze, odpoczywają po podróży. Muszę wracać do kuchni. Tyle mam jeszcze do zrobienia. Birdie, nakryj do obiadu.

- Dobrze, proszę pani.

- Mogę pomóc - zaofiarowała się Rubin. Wszystko wydawało się lepsze od stania tutaj i znoszenia palącego wzroku Quenta Regana. Nie odezwał się do niej ani jednym słowem. Odniosła wrażenie, że zrobił to celowo. Mówiło o tym jego spojrzenie.

- Nie, nie będziesz mi w niczym pomagała - stanowczo sprzeciwiła się Millie. - Wystarczająco dużo już zrobiłaś. Przejdź z Quentem do saloniku. Birdie poczęstuje was lemoniadą i ciasteczkami.

- Czy lemoniada to wszystko, co masz do zaoferowania? - W głosie Quenta pobrzmiwała nutka niezadowolenia.

Millie spojrzała zaskoczona.

- Quencie Reganie, stałeś się ostatnio zrzedliwy jak stary niedźwiedź. Jeśli masz ochotę na coś mocniejszego, to proponuję wizytę w saloonie Bucka.

- Chyba jednak napiję się lemoniady - mruknął, przepuszczając Rubin w drzwiach wiodących do saloniku.

Ona jednak zamiast usiąść, podeszła wprost do kominka. Na szerokim kamiennym gzymsie pośród innych drobiazgów stało oprawione w ramki zdjęcie w kolorze sepii. Widać było na nim młodą Millie w towarzystwie przystojnego młodzieńca. Rubin wzięła je do rąk i zaczęła ze skupieniem przypatrywać się urodziwym twarzom.

- Życie czasami bywa okrutne. - Quent zbliżył się i spojrzał ponad jej ramieniem na fotografię. - Byli najpopularniejszą parą w Hanging Tree. Mick był najweselszym chłopem pod słońcem, a Millie stanowiła wzór uczynności i dobroci. Wszyscy ich kochali. Dziwne - zadumał się. - Oboje mieli rude włosy. Wyglądali bardziej; na rodzeństwo niż na małżeństwo. Byli tacy dumni ze swoich trzech córeczek. Nazywali je aniołkami.

- To istny cud, że Millie nie dała się złamać nieszczęściu. - Rubin chciała odłożyć zdjęcie na miejsce, lecz ono nagle wysunęło się z jej palców. - Och, mój Boże!

Schylili się równocześnie i równocześnie złapali tuż nad podłogą bezcenną pamiątkę. Ich palce się zetknęły.

Kiedy wyprostowali się i spojrzeli na siebie, odkryli błądność na swych twarzach i zamroczenie w oczach.

Na moment zamarli w bezruchu. Stali obok siebie, niepewni i oszołomieni, a zarazem świadomi swej bliskości. Niewiele brakowało, a padliby sobie w ramiona i złączyli w namiętym pocałunku. To pragnienie mieli wypisane na twarzy. Zanim jednak do czegośkolwiek doszło, pojawiła się Birdie Bidwell. Odskoczyli od siebie niczym para winowajców.

- Pani Potter prosi, żeby skosztowali państwo jej najlepszego wina. To z powodu koronkowego obrusa i jutrzejszego festynu.

Dziewczyna postawiła na stole tackę z karafką i dwoma kieliszkami i już jej nie było.

Rubin obrzuciła Quenta szybkim spojrzeniem i... zamarła. Stał przed nią ktoś, kto tylko z rysów twarzy przypominał mężczyznę, którego przed chwilą pragnęła pocałować. Ten nowy Quent taksował ją spod przymrużonych powiek zimnym, posępnym i odpychającym wzrokiem.

- To nie whisky, co prawda - powiedział, napełniając kieliszki - ale cieszymy się, że nie lemoniada.

Podał jej kieliszek, po czym opróżnił swój jednym haustem.

Podczas gdy Rubin sączyła trunka, Quent wypił szybko drugi, a potem trzeci kieliszek. Przez cały czas patrzył w okno, nie siląc się na podtrzymanie rozmowy.

- Zapraszam do stołu - dobiegł zza ściany głos Millie. Na górze dał się słyszeć hałas otwieranych i zamykanych drzwi i tupot nóg na schodach.

- Najwyższy czas, byśmy przeszli do jadalni - rzeki Quent, nie kryjąc zadowolenia. - Inaczej zjawimy się ostatni.

Podszedł do drzwi, a potem cofnął się, czekając, aż Rubin pierwsza wyjdzie na korytarz.

Zrobiła to, ale przedtem musiała przełknąć ślinę, by ukoić nieprzyjemne pieczenie w gardle. Tylko bez łez. nakazała sobie w duchu. To był jedynie skutek wypicia kilku łyków starego wina. Szeryf Quent Regan okazał się pamiętliwym człowiekiem. Nie zapomniał tamtej potyczki słownej. Możliwe też, że nie mógł jej wybaczyć, iż nie przyjęła jego przeprosin. Cóż, ani myślała ukorzyć się przed nim i apelować do jego wielkoduszności.

Wolała żyć bez mężczyzny niż codziennie doświadczać jego arogancji i brutalności.

Wolała wyrzec się jego pocałunków, niż za chwile przyjemności płacić upokarzającą uległością.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

To był wyjątkowo pracowity dzień. Rubin obiecała siostrze suknie na zabawę, a ich mężom nowe koszule. Ponadto chłopcy Perły mieli dostać nowe ubranka. Danielowi podaruje krótkie spodnie i białą koszulę, a Gilowi świąteczny ubiór, który uczyni z czternastoletniego chłopca eleganckiego młodego mężczyznę.

Spojrzała na suknie i koszule wiszące w rzędzie na wieszakach w pracowni. Świadomość tego, że sama je uszyła i że sprawi nimi radość najbliższym, napawała ją prawdziwą dumą.

Była tam również sukienka dla Birdie Bidwell. Rubin nie знаła rozmiarów dziewczyny, chcąc więc zrobić jej niespodziankę, odwołała się do swojej pamięci wzrokowej. Wiedziała przy tym, że najistotniejszą kwestią nie jest idealne dopasowanie. Birdie tak czy inaczej będzie zachwycona tym dowodem pamięci i sympatii.

Gdyby Rubin nie była tak bardzo zajęta, sama dostarczyłaby prezent dziewczynie, chociażby po to, by być świadkiem jej radości. Musiała jednak posłużyć się Patience.

Pochyliła się nad materiałem, który spływał z jej kolan. Jeszcze godzina i praca będzie zakończona.

Była do tego stopnia skupiona na szwie, że nawet nie uniosła głowy na dźwięk otwieranych drzwi.

- Jak spodobała się Birdie sukienka? - spytała, nie odrywając oczu od igły.

Kiedy nie doczekała się odpowiedzi, spojrzała i zamarła.

Przed nią stał Quent. Cały ubrany był na czarno, w pasie opasującym biodra tkwiły rewolwery. Zupełnie nie pasował do tego pełnego drobiazgow i damskich fatalasek sklepu.

- Myślałam... że to Patience.

- Gdzie twoja pomocnica? - spytał Quent obcesowo. Za wszelką cenę chciał ukryć rozbudzone emocje.

- Wysłałam ją do pensjonatu Millie w pewnej sprawie.

- Przyszedłem dostarczyć ci o niej raport. Rubin spojrzała podejrzliwie.

- Co masz na myśli, mówiąc „raport”?

- Arlo i Millie powiedzieli mi, że nic nie wiesz o przeszłości osoby, którą zatrudniłaś. Pomyślałem, że spróbuję zebrać o niej jakieś informacje.

- Żadna dodatkowa wiedza nie jest mi potrzebna. Widząc zmarszczkę na jej czole, wyciągnął rękę w uspokajającym geście.

- Wszystko w porządku, nie przynoszę złych wieści.

Rubin odetchnęła z ulgą.

- Cieszę się.

Ponieważ milczał, dodała pojednawczo:

- Z przyjemnością dowiem się więc czegoś więcej o Patience, czegoś, jak twierdzisz, pozytywnego.

- Nie powiedziałem, że to optymistyczna opowieść. Raczej przygnębiająca.

- Co masz na myśli?

- Patience dorastała na małym ranchu na brzegu Rio Grande. Jej matka umarła kilka lat temu. Ojciec nie miał duszy farmera, ale znał się trochę na komach. Toteż pracował na ranchach sąsiadów. Córka gotowała, prała, sprzątała i zajmowała się ogródkiem warzywnym. W tym roku wydarzył się wypadek. Ojciec ujeżdżał dzikiego mustanga i dał się zrzucić. Patience zabrała go do domu, ale złamania okazały się bardzo poważne. Jego stan pogarszał się z dnia na dzień. Gdy w końcu umarł, nie znalazł się nikt, kto by chciał kupić farmę. Samotna dziewczyna została skazana na nędzę. Toteż pewnego dnia po prostu wyjechała. I tak tułała się drogami i bezdrożami Teksasu, póki nie dotarła wreszcie do Hanging Tree.

- Właściwie wszystko, co pan powiedział, szeryfie, jest zgodne z prawdą. Chciałabym jednak dodać kilka istotnych faktów.

Na dźwięk dobrze im znanego głosu Quent i Rubin spojrzeli ku drzwiom. Wargi Patience drżały, ale głowę trzymała dumnie uniesioną.

- Myślałam, że śmierć tatusia to najgorsza rzecz, jaka mogła mi się w życiu przytrafić. Okazało się, że byłam w błędzie. Najgorszy okazał się głód. Codziennie zadawałam sobie pytanie, czy dożyję następnego dnia. Aż znalazłam się w Hanging Tree. Możliwe, że panna Jewel ma zbyt dobre serce, by powiedzieć o mnie całą prawdę. Ale myślę, że powinien pan wiedzieć o wszystkim. Dopuszczałam się kradzieży w tym sklepie.

Quent przyjrzał się uważniej dziewczynie, która pocierała nerwowo dłonie.

- Wróciłam tu późnym wieczorem, a właściwie w nocy. Liczyłam na to, że wślizgnę się do środka i spędzę noc pod dachem. Natknęłam się na pannę Jewel, która została dłużej z powodu nawału pracy. Mogła oddać mnie w ręce stróża prawa. Tak postąpiłby każdy. Ale ona mnie nakarmiła, a potem zaproponowała mi zajęcie u siebie. I mimo że nic o mnie nie wiedziała, zaufała mi. Dzięki niej poczułam się potrzebna. Z zaszczutego zwierzęcia zmieniłam się w człowieka. Panna Jewel przywróciła mi ludzką godność.

Przełknęła głośno ślinę i zaczęła odwiązywać fartuszek.

- Zdaję sobie sprawę, że jako złodziejka zasłużyłam na więzienie. - Powiesiła fartuszek na kołku przy drzwiach.

- A dlaczegoż miałbym cię więzić, Patience? - zapytał Quent.

Odwróciła się.

- Już powiedziałam. Okradłam sklep panny Jewel. Quent spojrział na Rubin.

- Czy oskarżasz o coś tę młodą kobietę?

- Nie. Ja... nie. - Rubin potrząsnęła głową.

Z twarzy Quenta nie można było niczego wyczytać. lecz jego głos złagodniał.

- Wynika stąd, że muszę zapomnieć o tym, co mi powiedziałaś przed chwilą. Dopóki poszkodowany nie zgłosi kradzieży, szeryf nie może podejmować rutynowych czynności.

Dotknął ręką kapelusza w geście pożegnania i ruszył ku drzwiom.

- Muszę wracać do pracy.

- Pojawisz się na jutrzejszym festynie? - zapytała Rubin, zanim zdążyła uświadomić sobie bezsens tego pytania.

Zmarszczył brwi.

- Nie wiem, czy znajdę czas. Pewnie będę miał pełne ręce roboty. Wielu obcych przybyło do miasta. Mężczyźni przy takich okazjach lubią wypić. Nie mogę wykluczyć jakiejś awantury. Jestem odpowiedzialny za spokój w mieście - podkreślił i wyszedł.

. - Zabierajmy się do roboty - powiedziała Rubin z nutką rezygnacji w głosie.

Patience zdjęła z kołka fartuszek. Kiedy go przepasywała, łza stoczyła się jej po policzku. Pośpiesznie wytarła ją wierzchem dłoni, gdyż pojawiła się klientka.

Również Rubin miała kłopot z ukryciem łez. Próbowała sobie wmówić, że oczy jej łzawią wskutek wysiłania wzroku przy szyciu.

Niebo było czyste, lazurowe, bez jednej nawet chmurki, która mogłaby skazić jego piękno. Ciepły wietrzyk szeptał w listowiu. Idealny dzień na coroczny festyn. Jakby zamówiony.

Kiedy Gorący Rubin wjechała do miasta, główna ulica była już zapchana wozami, brykami i pojazdami wszelkiego rodzaju. Rżały konie, hałasowała dzieciarnia. Ludzie kierowali się ku kaplicy na niewielkim wzniesieniu. Mężczyźni byli ubrani w ciemne garnitur. i kapelusze o szerokich rondach. Kobiety zaś w swych kolorowych, najczęściej perkalowych sukniach przypominały barwne motyle. Dzieci wybiegały naprzód alb: tańczyły wokół rodziców, pełne energii i radości.

Kiedy Rubin i Patience zatrzymały się przed stajnią Neville'a Oakleya, powitał je uśmiechem. Gdy spojrział na Patience, spoważniał i otworzył usta, ale się nie odezwał.

- Dzień dobry, panie Oakley - przywitała go Patience, tak jak czyniła to zresztą każdego ranka.

I jak każdego ranka nie było żadnej odpowiedzi na to powitanie. Neville Oakley wpatrywał się w nią z rozpromienioną twarzą, niezdolny do wyduszenia z siebie choćby słowa.

Patience zmieszała się, posmutniała i podążyła za Rubinem. Włączyły się w ludzki potok.

Wielebny Dan Simpson litościwie skrócił nabożeństwo. Po kazaniu poświęconym nakazowi dostrzegania dobra w każdym człowieku zaintonował donośnym barytonem psalm Dawidowy. Na koniec, gdy już udzielił błogosławieństwa, przypomniał wiernym o wyjątkowości tego dnia, który Bóg uczynił jasnym i pogodnym.

- Składajmy dzięki Najwyższemu za możliwość łamania się chlebem z naszymi sąsiadami i dzielenia się z nimi owocami naszej pracy.

Przesuwając się wolno w tłumie ku wyjściu, Gorący Rubin dostrzegła Quenta Regana, opartego ramieniem o filar. Ale gdy tam dotarła, już go nie było.

Dotknęła ręką piersi w okolicy serca. Zadała sobie pytanie, czy kiedykolwiek przyzwyczai się do tego uczucia pustki, jakie ostatnio jej nieustannie towarzyszyło.

Na placu przed kaplicą dzieci rozgrywały konkurs - wyścigi na jednej nodze.

Perła i Cal, ochrypli od krzyku, nie posiadali się z radości, gdyż to właśnie ich chłopcy wygrali, każdy w swojej grupie wiekowej. Gil i Daniel spoglądali dumnie na rywali, zjadając się ciasteczkami, które upiekła Millie.

Natomiast mężczyźni dorocznym zwyczajem urządzili sobie wyścigi konne. Wygrał Adam o pół długości. Przewaga wyraźna, przecież jednak niewielka. Wyjątkowo w tym roku w roli widza, Diament wykrztusiła przez ściśnięte gardło:

- Do następnego razu. - A zwracając się do swych siostr, powiedziała: - Za rok ja wygram, i to o kilka długości.

Perła objęła ją ramieniem.

- Dziś masz się cieszyć ze zwycięstwa Adama.

- W porządku, tylko że nie to samo co własne zwycięstwo. - Przesłała Adamowi uśmiech, gdyż właśnie spojrzał w jej kierunku. - Nie przypuszczam, bym kiedykolwiek przyzwyczaiła się do przyglądania się galopadzie, pozostawiając całą radość z dosiadanania konia mężowi.

- A skoro już dostrzegamy różnicę pomiędzy rolą kobiety i mężczyzny... - Jasny Nefryt wskazała w kierunku grupki mężczyzn, którzy zebrali się w jednym z boksów dla koni w stajni Neville'a Oakleya. Byli to uczestnicy konkursu strzeleckiego. - Myślę, że to dobra chwila, byśmy zajęły się szyciem kap i bielizny pościelowej.

Jakkolwiek większość kobiet nie widziała w strzelaniu nic ciekawego i poszła za przykładem Jasnego Nefrytu, Rubin, przeciwnie, przepchnęła się przez tłum do strzelnicy i oparła o przepierzenie z desek. Powodem jej zainteresowania nie był konkurs. Dostrzegła pomiędzy zawodnikami Quenta Regana.

Dwunastu mężczyzn ze strzelbami stało w równym szeregu. Doktor Prentice wyłożył pokrótce zasady. Chwila skupionej ciszy i powietrze rozdarł huk salwy. Kilku zawodników, a wśród nich Cal i Adam, trafiało w ceł za każdym razem, ale tylko kule ze strzelby Quenta Regana dziurawiły sam środek tarczy.

Gorący Rubin uważnie przypatrywała się szeryfowi. Był tak pewny siebie. Tak dokładny w tym, co robił. Bez reszty skupiony na mierzeniu do celu. Oszczędny w ruchach. Odznaka na jego koszuli stanowiła w pewnym sensie potwierdzenie jego umiejętności.

Mężczyźni poklepywali go po ramionach i plecach. Przyjmował ze śmiechem ich gratulacje. Kiedy jednak zorientował się, że wśród widzów jest Rubin, momentalnie zmienił się na twarzy. Uśmiech zgasł mu na wargach.

Rubin nie podeszła, aby pogratulować zwycięzcy. W pośpiechu opuściła stajnię. Idąc ulicą, wystawiała rozpalone policzki na chłodne powiewy wiatru. Po kilku minutach dołączyła do kobiet pochylonych nad kapami.

Do południa uporano się z rozstawieniem stołów i ław. Kobiety przyniosły z wozów jedzenie. Wkrótce powietrze wypełniło się wonią wędlin, zapachami ciast i innych przysmaków. Oczywiście, najbardziej niecierpliwie okazały się dzieci. Czekając na sygnał ze strony dorosłych, oczami pożerały smakołyki przygotowane przez ich matki.

Gdy tylko pastor skończył modlitwę i zaprosił wszystkich do ucztowania, uformowały się długie kolejki. Każdy napełniał talerz tym, na co miał ochotę, a potem szukał zacienionego miejsca. Rodziny ranczerów, rzadko widujące się ze swymi sąsiadami z uwagi na duże odległości między gospodarstwami, siadały razem, by podzielić się informacjami o zbiorach i stadach.

Gorący Rubin napełniła talerz i dołączyła do najbliższych. Kiedy siadła na trawie pod drzewem przy Diamencie, ta nagle zamachała ręką i krzyknęła:

- Quent, tutaj! Przyłącz się do nas! Rubin odkryła, że nagle straciła cały apetyt. Zbliżył się szeryf.

- Siadaj. - Diament z trudem dźwignęła się na nogi. - Za chwilę wracam.

I odeszła. Quentowi nie pozostało nic innego, jak tylko usiąść obok Rubinu.

Perła, która zawsze miała coś do powiedzenia, od razu zagadnęła go swoim śpiewnym głosem:

- Wy, mężczyźni, wszyscy jesteście tacy sami. Widzę, że zdecydowałeś się na najostrożniejszą potrawę.

- Nic o tym nie wiedziałem, wybierając, lecz nie żałuję. Ta potrawka z ryby jest naprawdę świetna - powiedział Quent, niosąc do ust kolejną porcję.

- To Rubin ją zrobiła.

- Naprawdę? Nie wiedziałem, że tak dobrze gotujesz.

Rubin aż pokraśniała z zadowolenia.

- Carmelita niepodzielnie panuje w kuchni na ranczu, toteż mam niewielkie szanse na to, by coś przyrządzić. Daniel i Gil przynieśli mi koszyk ryb z Poison Creek i musiałam coś z nimi zrobić.

Nasyciwszy pierwszy głód, Quent zaczął jeść wolniej, rozkoszując się smakiem i zapachem wykwintnego dania. Było ono godne kobiety, która je przyrządziła.

- Jak ty w ogóle znalazłaś czas na gotowanie, mając tyle szycia? - zapytała Perła.

- To nie było łatwe, ale dałam chłopcom słowo, że nie zmarnuję tych ryb. Nie miałam więc wyjścia.

Nadbiegł Arlo. Dyszał jak miechy kowalskie Neville'a Oakleya.

- Szeryfie, w saloonie Bucka zanosi się na poważną awanturę. Dwaj pijani ranczerzy zaraz pokłócą się o dziewczkę. Buck chce, żeby pan tam przyszedł, zanim rzeczy wymkną się spod kontroli.

Quent wręczył swemu zastępcy pusty talerz i rzeki znużonym głosem:

- Wygląda na to, że przepadną mi ciasteczka i inne smakołyki. - Wstał i uchylił kapelusza. - Panie wybaczą, ale wzywają mnie obowiązki.

Odszedł, pozostawiając Gorący Rubin pełną sprzecznych uczuć. Ciągnęło ją do Quenta; podobał się jej i imponował, a zarazem przytłaczał. Przekonała się już, że potrafi być miły i czuły, ale też doświadczyła jego gniewu i wrogości. Kiedy Quent Regan był przy niej, jej serce waliło jak oszałałe. Kiedy oddalał się, spowolniało swój rytm, ona zaś traciła ochotę do życia.

Dzieci, zaspokoiwszy głód, bawiły się w chowanego. Mężczyźni ucieli sobie drzemkę w cieniu drzew z twarzami zakrytymi kapeluszami. Kobiety usiadły w kręgu, każda pochylona nad swą robótką. Śmigały igłami i wymieniały plotki lub przepisy kulinarne. W końcu rozmowa zesłała na sprawy związane z ciążą i rodzeniem.

- Będiesz miała chłopca - oświadczyła wdowa Purdy, zwracając się do Diamentu.

- Ja? - Diament wyglądała na zaskoczoną. - Skąd pani wie?

- Nisko jest ułożony. Cały z przodu. Taaa. Stuprocentowo będzie chłopak. - Stara

kobieta przeniosła wzrok na Perłę. - A twoje jest dziewczynką.

Perła z trudem złapała oddech.

- Jak to... Skąd ta... To znaczy jeszcze nikomu nie powiedziałam, z wyjątkiem mojej rodziny, że oczekuję dziecka.

- Mogę dostrzec to w twych oczach. Jest tam jasność, która zdradza mi tajemnicę nowego istnienia.

- Nigdy się nie myli - stwierdziła z dumą jej córka. - Mateńka każde ze swych wnucząt nazywała po imieniu, zanim jeszcze przyszły na świat.

Wdowa poszukała spojrzeniem Jasnego Nefrytu.

- Czy zdarzały się w twojej rodzinie bliźniaki? A może w rodzime pastora?

Nefryt otworzyła usta ze zdumienia.

- Zresztą nieważne. To będą bliźniaki. Chłopcy. - Stara kobieta nie miała żadnych wątpliwości.

Diaament, Perła i Rubin osłupiałe wymieniły między sobą spojrzenia.

Dostrzegając ich oskarżycielski wzrok, Nefryt powiedziała przeproszającym tonem:

- Sama do niedawna nie byłam jeszcze pewna. Uznałam, że jest zbyt wcześnie, by o tym wspominać. Wiedział jedynie Dan.

- Od dzisiaj możesz o tym mówić - orzekła Martha Purdy. - Mama się nie myli.

Wśród śmiechów i radosnych okrzyków cztery siostry poderwały się z miejsc i zaczęły się obejmować. Nefryt przyjęła gratulacje, po czym pospieszyła przekazać radosne wieści mężowi.

Pozostałe kobiety powróciły do szycia.

Wdowa Purdy zauważyła:

- Dobrze by było, gdybyś i ty, Rubinie, znalazła swojego kawalera. Twoje siostry będą niedługo miały dzieci i siłą rzeczy skupią się na matczynych i rodzinnych obowiązkach.

- Nie martwi mnie to, pani Purdy. Wolę zabawę w cicię niż matczyną harówkę.

I wtedy właśnie przed grupką kobiet stanął szeryf. Podenerwowana Rubin ukłuła się w palec. Syknęła, uniosła palec do ust i wyssała kropelkę krwi.

- Hu, hu. - Stara kobieta przyjrzała się jej sponad okularów. Następnie dobrodusznie się uśmiechnęła.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Daleko jeszcze było do wieczora, gdy dźwięk skrzypiec wezwał mieszkańców Hanging Tree na zabawę do największej w mieście sali, to jest do przerobionego na kaplicę domu Jasnego Nefrytu. Z myślą o tańcach, wszystkie krzesła i ławki ustawiono pod ścianami. W końcu sali znajdowało się podwyższenie, na którym stali Farley Duke ze swymi skrzypcami, Barney Healey, który wygrywał skoczne melodie na ustnej harmonijce.. i Nellie Cooper, grający na rozklekotanym i rozstrojonym pianinie. Na długim stole z boku widać było talerze ze smakołykami i pucharki z ponczem.

Od czasu do czasu jakiś mężczyzna zniknął, by w ukryciu pociągnąć z zawsze pełnej butelczyny Beau Baskina. Oczywiście, Beau, częstując innych, sobie również nie żałował. Toteż bardzo szybko zaczął chodzić chwiejnym krokiem, niczym marynarz z wielkiego żaglowca.

Kiedy zabrzmiały pierwsze takty muzyki, jako pierwsi na parkiet wyszli Perła i Cal. Perła, która miała na sobie nową różową suknię, podarowaną przez siostrę, podała rękę swemu przystojnemu mężowi. Ten ujął ją w tali i zaczęli wirować, nie odrywając od siebie wzroku. Ich dwaj synowie wyglądali w nowych ubrankach niczym z żurnala. Z ich twarzy biła dziecięca radość. Mieli wypomadowane włosy i krótko obcięte paznokcie.

Daniel stał w grupie młodszych chłopców, z których każdy rzucał łakomie okiem na półmisek pełen ciasteczek. Kiedy zaś doszedł do wniosku, że nikt na niego nie patrzy, chwycił kolejne ciasteczko.

Czternastoletni Gil był w swoim przekonaniu zbyt dorosły, by kompromitować się polowaniem na smakołyki. Poza tym w chwili, gdy ujrzał Birdie Bidwell, ubraną w zwiewną białą sukienkę i z wstążką we włosach, zapomniał o bożym świecie. Odtąd myślał jedynie o tym, jak się do niej zbliżyć. Najwłaściwszym sposobem wydawało się zaproszenie jej do tańca. Tak też zrobił. I stał się cud. Birdie prawie nie dotykała nogami podłogi. Dziewczyna, uważana dotąd dość powszechnie za niezdarę, teraz ujawniła wdzięk, lekkość i grację. Uśmiechała się z wdzięcznością do Gila, który prawie nie czuł jej w swych ramionach.

Po drugiej stronie sali gospodarze zabawy, Nefryt i Dan, bacznie obserwowali, czy wszystko jest w porządku. Nefryt kończyła przygotowywania do loterii fantowej, Dan zaś próbował powstrzymać mężczyzn przed ucieczką z sali tanecznej, odwodząc ich od picia alkoholu. Gdy dobiegły ich uszu pierwsze nuty melodii, Dan i Nefryt poszukali się wzrokiem i ruszyli ku sobie. Połączyli się w tańcu, a z wyrazu ich twarzy można było wnosić, że czują się szczęśliwi.

Adamowi w końcu udało się odszukać żonę. Diament siedziała w grupce pań, w większości dużo od niej starszych. Sądząc z jej miny, było to ostatnie miejsce, w którym pragnęłyby przebywać. Litując się nad nią, zbliżył się i zapytał:

- Zatańczysz?

Przyjęła propozycję, chwytając wyciągniętą ku niej rękę i wstając ociężale. Gdy tylko jednak oddalili się na bezpieczną odległość, szepnęła mu do ucha:

- Wiesz przecież, że nie tańczę.

- Więc może chcesz wrócić do Lavinii i Gladys? - przekomarzał się.

Położyła mu rękę na ramieniu i już bez dyskusji pozwoliła zaprowadzić się na parkiet.

- Ach - westchnęła - kiedy znów będę mogła chodzić jak kobieta, a nie jak kaczką.

- Wyglądasz przeuroczo - szepnął jej mąż wprost do ucha.

Przez moment patrzyła nań podejrzliwie. Potem powiedziała:

- Jak możesz gadać takie bzdury? Jestem gruba, niezdarna i w ogóle odrażająca.

Przytulił się do niej na tyle, na ile pozwalała mu na to zaawansowana ciąża, i przycisnął wargi do jej ust.

- Diamencie, twoja uroda zapiera mi dech w piersiach.

Ledwo zdołała powstrzymać łzy ciskające się do oczu. Były to łzy szczęścia. Po chwili promieniała już radością. I mimo że naprawdę nie umiała tańczyć, płaśała tym razem niczym rzeczna boginka na zroszonej łące o poranku.

Gorący Rubin, która obserwowała ich z drugiego końca sali, również poczuła pieczenie pod powiekami.

Stojąca obok Patience zauważyła:

- Pani trzy siostry wyglądają na takie szczęśliwe. Radość aż bije z ich twarzy. A ich mężowie są tacy przystojni i tacy dla nich czuli.

- *Oui* - wykrztusiła Rubin przez ciśnięte wzruszeniem gardło. To wszystko, na co ją było stać w tej chwili.

Zauważywszy ukradkowe spojrzenia Patience, Rubin odwróciła głowę, by poznać obiekt zainteresowania dziewczyny. Przez salę szedł Neville Oakley. Miał umyte i starannie uczesane włosy. Włożył czystą koszulę i nowe spodnie.

- Dobry wieczór, panno Jewel, witam, panno Carter - powiedział, kłaniając się.

- Dobry wieczór, panie Oakley. Doprawdy, prawdziwy dziś z pana elegant - powiedziała z uśmiechem Rubin.

- Dziękuję. - Jego wielkie jak bochny chleba dłonie bezwładnie wisały po obu stronach olbrzymiego korpusu. Wpatrywał się rozmarzonym wzrokiem w Patience. - Bije od

pani taka jasność, panno Carter, że mógłbym przyrównać panią do słońca.

Rubin zerknęła na młodą kobietę, która właśnie oblała się ciemnym rumieńcem.

- Czy mogę prosić panią do tańca, panno Carter? Patience skinęła głową, ale z jej rozchylonych ust nie wydobyło się ani jedno słowo. Neville wziął ją zatem pod ramię i poprowadził na parkiet. Kiedy ruszyli w takt muzyki, Rubin ponownie ogarnęło wzruszenie. W oczach przypadkowego obserwatora Neville Oakley wyglądał prawdopodobnie na wielkiego, niezgrabnego olbrzyma, a Patience na małą, bezradną kobietkę. Dla niej jednak stanowili szczęśliwą parę.

- Lepiej byłoby, żeby Beau Baskin przyhamował z piciem - dobiegł jej uszu głos Arlo Spitz. - Przyszedł szeryf i wygląda na tak wściekłego, że przy lada okazji może go zabrać do aresztu.

Rubin oderwała wzrok od Neville'a i Patience i spojrzała w stronę drzwi.

Quent Regan stał w wejściu oparty o framugę i z ponurą miną obserwował tłum. Najwyraźniej coś lub ktoś musiał go rozgniewać.

Zauważywszy Rubina, szeryf ruszył ku niej przez salę. Kilkakrotnie przystawał, zatrzymywany przez przyjaciół i sąsiadów. Wymieniał uścisk dłoni lub wdawał się w krótką pogawędkę. Jednak po chwili ruszał dalej i dystans pomiędzy nimi stale się zmniejszał.

Mon Dieu! Prawdopodobnie zamierzał poprosić ją do tańca. Rubin chwyciła wachlarz i zaczęła gwałtownie nim wymachiwać w nadziei, że ochłodzi rozpalone policzki, ale one coraz bardziej piekły i stawały się coraz bardziej czerwone.

- Zatańczy pani ze mną, panno Jewel?

Przez moment miała poważne trudności ze zrozumieniem sensu tych słów. Lecz gdy pytanie zostało powtórzone, odwróciła głowę. Poczowała coś w rodzaju gorzkiego rozczarowania. Pochylony w ukłonie, stał przed nią Byron Conner.

- Panie Conner... - Wachlarz wysunął się jej z dłoni.

Przystojny młody bankier natychmiast schylił się i podniósł go z podłogi. Odbierając zgubę, zauważyła, że Quent rozmawia z Millie Potter.

- A zatem, panno Jewel? Mogę liczyć na taniec z panią?

- *Oui*. Oczywiście. - Oszołomiona, pozwoliła wziąć się za rękę i poprowadzić na parkiet.

Już na parkiecie zauważyła ponad ramieniem partnera, że Quent porwał Millie do tańca.

Chwilę później, kiedy zbliżyli się do siebie, usłyszała wybuch śmiechu Millie i jeszcze donośniejszy śmiech Quenta.

- Jest pani świetną tancerką, panno Jewel - powiedział Byron. - I bez wątpienia najpiękniejszą kobietą na tej sali.

- *Merci*. - Rubin zmusiła się do uśmiechu. Bała się, że w każdej chwili może pomylić krok. Myślami bowiem była przy Quencie.

Na parkiecie robiło się coraz ciasniej, a muzyka stawała się coraz bardziej skoczna i wesoła. Każdy kolejny utwór słuchacze nagradzali oklaskami i wybuchami śmiechu. Szybkie rytmy sprawiły, że na parkiecie znaleźli się nawet najbardziej oporni. Słabowita wdowa Purdy, która, wydawało się, była już po ostatnim namaszczeniu, uniosła nieco spódnicę i podskakiwała w rytm ludowego tańca. Wprawdzie nie trwało to długo, gdyż zaraz opadła pólżywa na krzesło, lecz zaimponowała wszystkim. Na owację, którą nagrodzono jej wyczyn, odpowiedziała uśmiechem i machaniem ręki.

Rubin nie schodziła z parkietu. Nie pozwolili jej na to partnerzy, którzy nie pozostawili jej chwili wytchnienia. Jedynie Quent Regan nie poprosił jej do tańca. Zauważyła, że on również zmieniał partnerki, każdej darując tylko jeden taniec. Tak lawirował, że jakimś cudem udało mu się omijać ją niczym zadżumioną.

Zadyszany i spocony, Arlo Spitz odprowadził ją na miejsce.

- Może napiłaby się pani ponczu, panno Jewel? - zapytał uprzejmie.

- Z wielką przyjemnością.

Rozłożyła wachlarz, ale zanim zdążyła go użyć, jakby spod ziemi wyrósł Adam.

- Chodźmy. Grają tym razem coś naprawdę szybkiego. Diament powiedziała, że te podskoki są ponad jej siły.

Dołączyli do par klaszczących w dłonie i podrygujących w rytm jakiejś murzyńskiej czy szkockiej muzyki. Gdy zamilkły instrumenty, nie oznaczało to bynajmniej, że muzycy postanowili dać tańczącym chwilę wytchnienia. Skończył się jeden taniec i zaraz zaczął następny. Tym razem, jak to wyłożył zgrabnie Duke Farley, mężczyźni mieli się wymienić partnerkami, przy czym każdy powinien zatańczyć z damą znajdującą się po jego lewej stronie. Adam odwrócił się w lewo, Rubin spuściła na chwilę głowę, chcąc sprawdzić, czy w tańcu nie przydeptała sobie spódnicy. Uniósłszy ją, odkryła, że stoi twarzą w twarz z Quentem Reganem.

Przez moment żadne z nich się nie poruszyło. Quent zrobił niepewną minę, widząc, że znalazł się w pułapce.

Wreszcie jakby od niechcienia podał jej ramię. Rubin wahała się, przemknęła jej przez głowę myśl, czy nie wybiec z sali. Zwróciłoby to jednak uwagę wszystkich. Stałaby się znów na długi czas głównym tematem rozmów.

Zresztą czuła się na siłach sprostać wyzwaniu. Ostatecznie chodziło tylko o taniec. Oparła dłoń na ramieniu partnera i dała się poprowadzić.

Pierwsze ich ruchy były sztywne i niezgrabne.

- Zdaje się, że świetnie się bawisz.

- Rzeczywiście, bawię się szampańsko. A ty?

- Nie narzekam.

Ktoś ich potrącił i Quent poczuł ciało Rubin tuż przy swoim. Trwało to bardzo krótko. Rubin cofnęła się, ale w nim zdążył rozgorzeć płomień namiętności. Boże w niebiesiech! Zaczęła się męczarnia.

Rubin pragnęła jedynie przetrwać ten taniec do końca. Doszła do wniosku, że pomoże jej w tym rozmowa na jakiś obojętny temat, temat, który w najmniejszej mierze nie dotyczyłby ich dwojga.

- Widziałam niedawno Beau Baskina opróżniającego kolejną butelkę.

Poczuła, że Quent mocniej ją obejmuje.

- Prawdopodobnie leży już gdzieś na ulicy pijany jak bela.

- Niebawem zabiorę Beau do aresztu. Zamknę go, żeby nie zrobił sobie krzywdy.

Dotykając ustami jej włosów, Quent czuł ich słodki, upajający zapach. Jego ciało zareagowało w sposób najgorszy z możliwych, a całe to cholerne miasto było tego świadkiem. On tymczasem nie mógł się opanować. Rozkoszował się bliskością Rubinu i przeklinał siebie za swą słabość.

Na szczęście utwór był długi i muzykanci zamilkli dopiero po kilku minutach.

Zbliżył się Arlo z pucharkiem w ręku.

- Przyniosłem poncz, panno Jewel.

Odniósł wrażenie, że nikt go nie słuchał. Panna Jewel nawet nie spojrzała w jego stronę. Kiedy jednak chciał ponowić próbę, szeryf wypalił:

- Dama, z którą tańczę, nie ma w tej chwili ochoty na poncz, Arlo.

- No cóż. Tak. Widzę... Zgaduję... - Obrzucił ich obydwójce długim, zaintrygowanym spojrzeniem, po czym wychylił poncz jednym haustem i udał się po dolewkę.

Ponownie zabrzmiała muzyka. Wdzięczny walczyk. Kiedy inni wokół wirowali, Quent i Rubin stali w miejscu, lekko się kołysząc, niczym dwie splecione ze sobą topole na wietrze.

- Rubinie...

- Quent...

Wymówili swoje imiona niemal równocześnie. I obydwójce nagle zamilkli, czekając,

aż drugie coś powie.

- Masz ochotę odetchnąć świeżym powietrzem? - Pierwszy przemówił Quent.

- Marzę o tym. Ale nie sądzę, by właściwe było opuszczanie tego miejsca, zanim Nefryt i Dan...

- Na miłość boską, Rubinie! - wybuchnął Quent. - Czy nie możesz choć raz ulitować się nade mną? Pragnę być z tobą sam na sam, bez tych wszystkich świadków.

Chciała pogłodzić go po policzku, ale się nie ośmieliła. Spuściła głowę.

- Dobrze.

To wszystko, co powiedziała.

Wszystko, czego oczekiwał od niej w tej chwili.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Nie pamiętali, w jaki sposób udało się im wydostać z sali tanecznej. Jak przeszli obok przyjaciół, znajomych i sąsiadów. Zapewne uśmiechali się. Może nawet rzucili jakieś słowa. To wszystko tworzyło w ich pamięci jedną białą plamę.

Kiedy tylko wyszli na zewnątrz, Quent wziął Rubinę za rękę. Nie była już zimna. Prawdę powiedziawszy, była to dłoń osoby trawionej gorączką.

Przeszli obok leżącego twarzą do ziemi człowieka. Domyślili się, że to Beau Baskin. Bez słowa skierowali się w stronę pracowni krawieckiej.

Idąc, widzieli mężczyzn dogładających ognisk, kobiety układające pod wozami dzieci do snu. Muzyka z sali tanecznej niosła się w nocnym powietrzu i mieszała z przyciszonymi odgłosami rozmów, przeplatanych wybuchami wesołości.

Wreszcie dotarli na miejsce. Rubin otworzyła drzwi i wraz z Quentem weszła do środka.

Zdjęła z półki lampę. Zanim jednak zdążyła sięgnąć po zapalki, Quent zamknął ją w swych ramionach. Ustami odnalazł jej wargi. Lampa wypadła z jej drżących palców i potoczyła się po podłodze.

Nie poświęcili temu najmniejszej uwagi.

- Mijały dni, a mnie wypełniała tęsknota za tobą, Rubinie. Przez cały ten czas spalało mnie pragnienie - wyszeptał, sycąc się jednocześnie dotykiem jej warg.

- Ach, Quent. Nasza rozłąka trwała tak długo. - Oddała mu pocałunek z gwałtownością, która zaskoczyła ich oboje. - Zbyt długo.

Quent stracił nad sobą kontrolę. Przepelniało go tak silne pożądanie, że przestał myśleć: działał instynktownie. Całował ją i pieścił. Nie potrafił się powstrzymać. Miał tę szaleńczą potrzebę - scalić się z Rubinem w jedno. Połączyć z jej ciałem i duszą swoje ciało i duszę.

Wdychał jej zapach niczym człowiek, który po długiej chorobie wyszedł wiosną do ogrodu.

Smakował ją. Miętkość jej warg. Delikatność skóry na szyi. Wsłuchiwał się w ciche westchnienia. Wystawiała się na jego pocałunki, jakby był słońcem, a ona rośliną.

Nie mógł się nią nasycić. Jego usta zsuwały się coraz niżej, aż dotarły do piersi. Kiedy wargami ujął stwardniały sutek, dźwięk, który wydostał się z gardła Rubiny, nie był podobny do żadnego innego na świecie. Niski, gardłowy, przesycony rozkoszą jęk, w którym porzmiewały ból i pragnienie.

Żądza, jaka go ogarnęła, wtrąciła go w otchłań barbarzyństwa. Unicestwił ostatnią barierę, jaka ich dzieliła - zerwał satynową suknię Rubinu.

Zapomnieli o sprawach tego świata.

Jego usta i dłonie wędrowały po jej ciele, pieszcząc i sycąc się na różne sposoby.

Ale to nadal im nie wystarczało.

Quent czuł, jak zwycięża w nim szaleństwo. Odrzucił wszelkie skrupuły. Był we władzy zmysłów. Wiedział jedno - musi rzecz doprowadzić do końca, musi połączyć się z Rubinem.

Z dziką niecierpliwością zerwał z niej halkę.

- Tak bardzo tęskniłem za tobą.

- Nie tak bardzo jak ja za tobą.

Leżeli przytuleni na łóżku, na które przyniósł ją Quent, gdy ucichła szalejąca w nim burza. Czuł teraz spokój. Był cudownie nasycony i cały wypełniony miłością do kobiety, którą trzymał w ramionach.

- Tak wiele się wydarzyło. W twoim życiu. W naszym życiu.

Uniósł swe mocne ramię jak gdyby w geście błogosławieństwa.

- Podoba mi się twój sklep, Rubinie. Świetnie sobie z tym poradziłaś. Masz w jednym budynku pracownię i dom.

- *Oui*. Czuję, że te trzy pokoje są moim domem w dużo większym stopniu niż wielka posiadłość ojca. To pierwsza rzecz całkowicie należąca do mnie.

- Ten pokój pachnie tobą. Słodko, tajemniczo i cudownie. Co to jest?

- Och, zwykle ziołowe mieszanki. Ustawiłam naczynia z nimi w każdym pokoju.

- Hm... brzmi tajemniczo. Tak mogłaby mówić wróżka lub czarownica. Jakie to rośliny?

Zaśmiała się, a on uświadomił sobie, jak tęsknił za jej zmysłowym, gardłowym śmiechem.

- Och, najprzeróżniejsze. Kwiaty, zioła, przyprawy. Ale głównie róże. Uwielbiam zapach róż.

- Nigdy nie poświęcałem kwiatom szczególnej uwagi, ale teraz też je uwielbiam. - Przcisnął usta do jej włosów. - Ta woń zawsze odtąd będzie mi się z tobą kojarzyła.

Poruszyła się i wyciągnęła. Poszukała jego warg. Wszeptała:

- Ten pokój może być naszym azylem.

- Owszem, ale nie jest to jedyne miejsce, gdzie będziemy mogli chronić się przed ludźmi, Rubinie. Odtąd już zawsze będziemy razem. Miałem wiele czasu na przemyślenia i

go nie zmarnowałem. To było tak... - Urwał i uniósł gwałtownie głowę. Z daleka bowiem dobiegł ich odgłos strzału. Quent zaklął i siadł na łóżku. Sięgnął po leżące na podłodze spodnie.

- Możliwe, że to po prostu jakiś pijany ranczer, któremu zachciało się popisywać celnością oka, ale muszę to sprawdzić.

- Zostań. Nie opuszczaj mnie. Niech Arlo zajmie się tą sprawą.

Wciągnął spodnie i włożył pomiętą koszulę. Zauważył brak kilku guzików.

- Arlo nie potrafi wypatroszyć śniętej ryby, a co dopiero rozbroić pijaka. - Siadł na krawędzi łóżka i wbił nogi w buty z cholewami. Na koniec zapiął pas i sprawdził rewolwery.

- Czy chcesz wrócić ze mną? Wkrótce pewnie zabawa się skończy. Muszę pamiętać jeszcze o odtransportowaniu Beau Baskina do aresztu i zamknięciu na noc biura.

Zaśmiała się i pokręciła głową.

- W takim razie idź już. Ja tymczasem umyję się i spróbuję naprawić szkody, jakie wyrządziłeś w moje; garderobie.

- Przepraszam za to wszystko - powiedział, ogarniając wzrokiem walające się na podłodze rzeczy.

- Nie ma za co. - Wyskoczyła naga z łóżka i podbiegła do niego. Z satysfakcją dostrzegła w jego oczach zachwyty i pożądanie.

Quent złorzeczył w duchu. Dlaczego musiał usłyszeć ten strzał? Dlaczego jakiś dureń wpadł na pomysł strzelania? Dlaczego nie może zostać z ukochaną?

Gorący Rubin zarzuciła mu ręce na szyję i zapytała:

- Jesteś pewien, że musisz mnie opuścić?

- Postaram się wrócić jak najszybciej. Muszę tylko... - Pocałował ją raz, potem drugi, zanim zdołał znaleźć w sobie dość woli, by odwrócić się i ruszyć ku drzwiom. - Muszę tylko uporać się z kilkoma sprawami.

Otworzył drzwi i poczuł na twarzy chłodny powiew nocy. Miał niejasne uczucie, że w ciemności czaiło się coś złego. Wyszedł. Wziął kilka głębokich oddechów i ruszył przez miasto.

Boyd Barlow kulił się w mroku za beczką na śmieci i z krzywym uśmiechem patrzył na oddalającego się szeryfa.

To będzie łatwiejsze, niż przypuszczał. Dostrzegł Quenta Regana, gdy opuszczał salę taneczną w towarzystwie jakiejś rudowłosej kobiety, i udał się za nimi.

Doprowadzili go aż do tego miejsca. Widział ich sylwetki w ciemnym oknie i bynajmniej nie musiał się domyślać, co robią. Wpadł wówczas na pewien pomysł. Nadarzała się cudowna okazja pomszczenia śmierci brata. Pomysł podsunął mu sam Quent Regan, który

w pewnym sensie ułatwił mu zadanie.

To durne bydlę poszło sobie, pozostawiając dziewczkę samą. W ten sposób on, Boyd, dostał w prezencie argument przetargowy.

Zresztą przewidział wszystkie ruchy swojej ofiary, a nawet je sprowokował. Pobiegł na koniec ulicy i schował się za stajnię. Wystrzelił z rewolweru. Znał tropioną przez siebie zwierzynę bardzo dobrze. Wiedział, że Quent Regan zareaguje na odgłos wystrzału w taki, a nie inny sposób. Poświęci przyjemność dla obowiązku.

Szeryf Regan postąpił dokładnie tak, jak Boyd przewidział. W parę minut po strzale już spieszył wyjaśniać sprawę.

Bandyta wyjął z kieszeni gwiazdę i przypiął do koszuli. Przybrał na twarz przyjazny uśmiech. Wolnym krokiem podszedł do drzwi sklepu i zapukał.

Rubin związała włosy i umyła się. Następnie nucąc pod nosem jedną z zasłyszanych dziś piosenek, włożyła czystą suknię. Wzięła grzebień i zaczęła rozczesywać włosy.

Nadal czuła się oszołomiona tym, co się wydarzyło między nią a Quentem. To była... prawdziwa magia. Nie było na to żadnego innego określenia. W jednej minucie ignorowali siebie nawzajem, udając chłód i obojętność, w następnej darli na sobie ubrania, ponaglani pożądaniem.

- Najlepiej zrobię, zacierając ślady przestępstwa, zanim wróci Patience - powiedziała do siebie Rubin z filuternym uśmiechem na twarzy.

Gdy uporała się z bałaganem, usłyszała pukanie.

- Nie zabrało ci to wiele czasu, mój kochany - rzekła, śpiesząc otworzyć drzwi.

Uniosła brwi. Stojący na progu mężczyzna był kimś zupełnie obcym.

- Przepraszam. Myślałam, że to ktoś inny - powiedziała. - Proszę przyjść rano. Otwieramy sklep o dziewiątej.

- Tak, *ma'am*. - Boyd obdarował ją uśmiechem, który bardziej przypominał skrzywienie warg. - Naprawdę bardzo przepraszam, że nachodzę panią o tej porze, Przed świtem opuszczam miasto, pomyślałem więc, że ze względu na moją starą przyjaźń z Quentem Reganem zrobi pani dla mnie wyjątek.

- Jest pan przyjacielem Quenta? - Spojrzała na gwiazdę przypiętą do koszuli. - Widzę, że obaj stoicie na straży prawa.

- Tak *ma'am*. Homer Johnson. A pani...?

- Rubin Jewel.

- Ach, tak. Powinienem był się domyślić. Quent mówił mi o pani. - Zajrzał ponad ramieniem Rubinu do środka. - Quent powiedział mi też, że mogłaby pani pomóc mi w... -

dostrzegł suknie wiszące na jednej ze ścian - w wyborze sukni dla żony.

- Zrobię to z prawdziwą przyjemnością. - Usunęła się, robiąc mu przejście. - Przypuszczam, że nie byłoby grzecznie odprawić przyjaciela Quenta i obrońcę prawa w jednej osobie.

Ruszyła ku rzędowi sukien wiszących na kołkach.

- Czy ma pan jakieś szczególne życzenia co do koloru i rozmiaru?

Nie słysząc odpowiedzi, odwróciła się. Mężczyzna stał oparty plecami o zamknięte drzwi. W rękę trzymał rewolwer.

- Nie zwracajmy sobie głowy rozmiarami i kolorami - powiedział z krzywym uśmiechem.

- Nie rozumiem...

- Martw się jedynie o to, by wypełniać moje rozkazy. Podejź tu.

Rubin instynktownie zaczęła się cofać, aż poczuła za plecami chłodną ścianę.

- Do jasnej cholery! Powiedziałem, żebyś tu podeszła.

Szybkimi krokami przemierzył pokój. Uderzył ją w skroń kolbą rewolweru. Padła na kolana. Zalała ją fala bólu i mdłości.

- Teraz już wiesz, że nie lubię powtarzać tego samego dwa razy! - ryknął i brutalnie postawił ją na nogi. - Jeśli chcesz swego dobra, to musisz być mi posłuszna.

- Kim jesteś? - Czuła strużkę krwi ściekającą po policzku.

Boyd dostrzegł swoje odbicie w wysokim lustrze. Lustrzany bliźniak go rozbawił. Gładko wygolony, z krótkimi włosami ufarbowanymi na ciemny kolor.

Z satysfakcją musiał stwierdzić, że nawet rodzona matka by go nie poznała.

- Starym przyjacielem twego kochasia. Ze starym długiem do uregulowania.

Ciągle śmiejąc się, zaciągnął ją do pokoju na zapleczu. Zobaczył skotłowane łóżko. Jego wargi wykrzywił zły uśmiech.

- Cóż, czy nie jest tu miło i przytulnie? Szeryf myślał, że zatrzyma cię do swojej wyłącznie dyspozycji.

Cisnął ją na posłanie. Zobaczył w jej oczach strach. Sprawilo mu to szczególną przyjemność. Wszystkie one zachowywały się podobnie. Kiedy uświadomiły sobie wreszcie, że on nie żartuje, zaczynały płakać, zawodzić i błagać o litość.

To dawało mu poczucie władzy. Ponizanie ich i dręczenie sprawiało mu niewyobrażalną wprost przyjemność.

Nagle drzwi wejściowe się otworzyły. Boyd błyskawicznie odwrócił się z wycelowaną bronią.

- Panno Jewel, mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Rubin rozpoznała głos Patience. Zanim zdołała ostrzec ją krzykiem, Boyd zorientował się i zacisnął dłoń na jej gardle. Przyłożył lufę rewolweru do jej skroni.

- Zobaczyliśmy światło i... - Patience urwała, widząc w pokoju obcego mężczyznę.

Oczy Rubinu rozszerzyły się z przerażenia, gdy zobaczyła u boku Patience Neville'a Oakleya. Wyglądał na równie zaskoczonego jak jej pomocnica.

- Cóż. Wygląda na to, że wchodząc tu, zmieniliście trochę moje plany - powiedział Boyd.

- Co...? Kto...? - Patience była przerażona. Stojący obok niej Neville spoglądał to na Rubina, to na bandytę.

Wydawał się zbity z tropu tym, co widział.

- Jesteś szeryfem? - zapytał, wpatrując się w gwiazdę.

- Szeryfem? - Boyd odrzucił do tyłu głowę i wybuchnął szyderczym śmiechem. - Ja sam stanowią swoje własne prawo. Tym rewolwerem.

- Natychmiast masz puścić pannę Jewel - rzekł rozkazująco Neville. - Nie dopuszczę, by z twojej ręki spotkała ją jakakolwiek krzywda.

- Czy pragniesz zostać jej kochasiem? - spytał urągliwie Boyd.

Nie namyślając się ani chwili, Neville odsunął Patience i ruszył ciężkim krokiem na bandytę.

- Wielki bezmyślny głupiec! - wykrzyknął Boyd, strzelając z bezpośredniej odległości do atakującego go olbrzyma.

Rubin krzyknęła, Patience w niemym przerażeniu otworzyła usta.

Neville, na którego twarzy malowało się zdumienie, zachwiał się, ale szedł dalej.

Boyd wystrzelił po raz drugi. Neville zeszytywniał, a potem runął na podłogę.

- O Boże! - krzyknęła Patience i osunęła się na kolana obok nie dającego żadnych oznak życia Neville'a. - Zabiłeś go! Ty potworze, zabiłeś go! - zawodziła.

Boyd chwycił ją za włosy i poderwał na nogi. Uderzył ją w twarz.

- A teraz posłuchaj, dziewczyno - powiedział groźnym tonem. - Słuchaj uważnie, bo nie mam zamiaru powtarzać. Czy wiesz, gdzie może być szeryf? Kiwnęła głową.

- Odnajdziesz go. Słyszysz? Pójdiesz do niego i powiesz mu, że Boyd Barlow ma jego kobietę. I jeśli nie przyjdzie sam, bez broni, powtarzam, bez broni, to Rubin Jewel nie dożyje jutrzejszego ranka. Zrozumiałaś wszystko?

Patience westchnęła spazmatycznie. Próbowwała wziąć się w garść, ale nie potrafiła oderwać wzroku od nieruchomego ciała Neville'a. Wciąż powiększająca się kałuża krwi

napawała ją przerażeniem.

- A teraz zabieraj się stąd!

Patience spojrzała na Rubina. Jej pracodawczyni była w szponach szaleńca.

Mimo to na jej twarzy nie było widać strachu. Rubin gotowała się ze złości. Rzucała na Boyda spojrzenia pełne nienawiści i nie zważała na krwawiącą ranę na czole.

To dodało Patience odwagi.

Boyd zamachnął się bronią.

Uciekła, rzucając jeszcze ostatnie spojrzenie na znieruchomiłego Neville'a.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Arlo wpadł do biura z błyskiem podniecenia w oczach.

- Ludzie mówią o jakiejś strzelaninie, szeryfie - wołał już od progu. - Nikt jednak nie widział rewolwerowca. Nikt też nie został ranny. Być może więc to jakiś pijany kowboj strzelał do księżycy.

- Niewykluczone. - Quent ułożył spitego do nieprzytomności Beau Baskina na więziennej pryczy i opatulił go kocem. - Jednak uważam, że powinniśmy obejść miasto. Tak na wszelki wypadek.

- W porządku, szeryfie. W takim razie proszę wyznaczyć trasę.

- Przejdiesz się do kaplicy, a potem, wciąż bacznie się rozglądając, wrócisz do biura. Ja udam się w przeciwną stronę. Jeśli gdzieś doszło do rozróby, nie umknie naszej uwagi.

Arlo skinął głową, po czym dokładnie sprawdził swój rewolwer.

Kiedy był gotów, wyszedł na ulicę.

Szeryf również skontrolował broń. W drzwiach zderzył się z Patience Carter.

- Szeryfie! - Musiała biec, gdyż dyszała i słała się ze zmęczenia.

- Powoli. Nie ma pośpiechu. Uspokój się. Czy jesteś ranna?

- Nie... nie...

Podprowadził ją do biurka i posadził na krześle. Miał za sobą wieloletnią praktykę w zawodzie i wiedział, jak należy postępować ze świadkami. Wszystko wskazywało na to, że Patience przybiegła z czymś ważnym. Przede wszystkim więc trzeba było zapewnić jej poczucie bezpieczeństwa.

- Nie denerwuj się, Patience, tutaj nic ci nie grozi. Powiedz, z czym przyszłaś.

- Chodzi o pannę Jewel. - Jej głos drżał, a w oczach pojawiły się łzy.

- W porządku. Spokojnie, Patience. Czy pannie Jewel grozi jakieś niebezpieczeństwo?

- W jej sklepie jest bandyta.

Quent zacisnął zęby. Ten strzał, o którym mówił Arlo. Podstęp? Zasadzka? Boże, dlaczego z nią nie został? A jeśli...?

- Ten okropny człowiek powiedział, że zabije pannę Jewel, jeśli nie stawi się pan w sklepie sam i bez broni. Och, szeryfie, on nie żartuje. Już strzelił do Neville'a Oakleya.

- Zabił go?

- Nie wiem. Nie pozwolił mi zbliżyć się do niego.

- A panna Jewel? Czy on... - Na próżno szukał słów do wyrażenia tej strasznej myśli. - Czy nic się jej nie stało?

- Widziałam krew na jej twarzy.

Quent machinalnie położył dłoń na kolbie rewolweru.

- Nie jest to zbyt groźna rana. Po prostu skaleczenie i siniak.

- A teraz, Patience, musisz wziąć się w garść - powiedział Quent, nakazując samemu sobie spokój. - Jesteś mi potrzebna. Przede wszystkim dogonisz mojego zastępcę. Powiesz mu, aby zebrał uzbrojonych mężczyzn i czekał z nimi na granicy miasta. Następnie pójdziesz do doktora Prentice'a i przekazesz mu moją prośbę. Niech czeka w pobliżu sklepu panny Jewel, ale na razie się nie pokazuje. Mogę na ciebie liczyć?

Dziewczyna przełknęła głośno ślinę, po czym skinęła głową.

- Dzielna jesteś, Patience. A teraz przypomnij sobie, czy ten rewolwerowiec powiedział, jak się nazywa.

- Tak. Boyd Barlow.

Twarz szeryfa zmieniła się w jednej chwili. Pojawiło się w niej coś tak strasznego, że dziewczyna odruchowo cofnęła się o krok.

Sięgnął palcami do klamry pasa. Miał stawić się bez broni. Oto jak Barlow chciał to rozegrać.

Zresztą mniejsza z tym. On, Quent, dla Rubinu zrobiłby wszystko. Jeśli przyjdzie mu dla niej oddać życie, zrobi to bez wahania.

Goący Rubin klęczała przy nieprzytomnym Neville'u Oakleyu. Z Neville'a nie uszło jeszcze życie, o czym świadczył słaby, przerywany puls i nikły oddech. Rubin podziękowała w myślach Bogu. Polubiła tego olbrzyma o szlachetnym i dzielnym sercu jak rodzzonego brata. Opatuliła go koldrą i rzuciła pełne nienawiści spojrzenie na stojącego przy oknie i obserwującego ulicę bandytę.

- Niebawem nadejdzie twój kochaś - powiedział i zaśmiał się szyderczo.

Rubin też wiedziała, że Quent się pojawi. Zrobi to, ponieważ nie była mu obojętna. Zastosuje się do żądań tego potwora. Przyjdzie tu sam i bez broni, gotów oddać życie w zamian za jej ocalenie.

Ukradkiem wytarła ręką łzy, które nagromadziły się w kącikach oczu.

- Och, ojciec - szepnęła. - Co mam uczynić? Jak postąpić, żeby nie dopuścić do zabicia Quenta? Proszę, pomóż mi. Wskaż mi jakiś sposób.

W tej samej chwili przypomniała sobie rozmowę z ojcem sprzed wielu laty, kiedy była jeszcze małą dziewczynką.

Było to podczas jednej z tych jego krótkich i rzadkich wizyt. Zwierzyła mu się, zapłakana, z okrucieństwa niektórych szkolnych koleżanek i nauczycielek.

- W takim razie podzielę się z tobą pewnym sekretem, Rubinie - powiedział ojciec. - W moich stosunkach ze zwykłymi ludźmi staram się być dżentelmenem. Prowadząc interesy z tym czy tamtym, próbuję trzymać się zasad honoru. Gdy jednak mam do czynienia z łajdakami, wtedy sięgam po moją sekretną broń.

- Jaka, tatusiu? - spytała z nagłym ożywieniem, święcie wierząc, że poznawszy tajemnicę tej broni, uwolni się od prześladowców i szykan z ich strony.

Onyx Jewel uśmiechnął się.

- Nie dopuszczam do tego, by widzieli mój strach.

Wszyscy okrutnicy są tchórzami. Skrywają własne tchórzostwo za słowem, które rani, lub bronią, którą ci grożą. Nie możesz pokazać po sobie, że się ich boisz, bo inaczej cię unicestwią.

- Ale ja boję się, tatusiu, i nie wiem, co zrobić, żeby się nie bać.

Widząc, że wciąż nie rozumie, cierpliwie tłumaczył dalej.

- Wszyscy się boimy, Rubinie. Trzeba przewycięzać strach, by nasza energia została spożytkowana dla osiągnięcia lepszych celów. W twoich zmaganiach z łajdakami musisz posługiwać się ich bronią. Nie wolno ci zdradzać się przed nimi ze swymi słabościami. Jeśli ci się to uda, wtedy łajdak z tobą nigdy nie wygra.

Zapamiętała sobie rady ojca. Przydały się jej, gdy siostra Klotylda zamknęła ją w komórce na długie kwadranse. Trzymała się ich jeszcze przez wiele lat. Wciąż bowiem spotykała się ze zwróconym przeciwko sobie okrucieństwem.

- Dziękuję, ojciec - szepnęła, patrząc na stojącego przy oknie bandytę. - Ten łajdak mnie nie pokona. Będę walczyła jego bronią. Przyrzekam.

Nie było czasu na łyzy. Chwila wymagała dowodów odwagi. Odwagi i zimnej kalkulacji.

Ona, Rubin, będzie patrzeć i czekać. A gdy tylko nadarzy się sposobność, przejdzie do działania.

Niebo było usiane gwiazdami. Pojedyncze obłoki co pewien czas przepływały na tle okrągłej tarczy księżyca. Na ulicy żywego ducha, tylko gdzieś ukryte w głębokim mroku pary zakochanych wymieniały gorące uściski. W większości mieszkańcy Hanging Tree znajdowali się już w łóżkach. Nawet okna pensjonatu Millie Potter, gdzie światła gasły zazwyczaj na ostatku, przygnębiały czernią szyb.

Quent kroczył środkiem ulicy.

Kochał swoje miasto. Znał tu wszystkich. Znał historię ich życia, ich problemy i sekrety. Przez te wszystkie lata dzielił z nimi radości i smutki.

Nigdy nie zadawał sobie pytania, dlaczego robi to, co robi. Nigdy nie zastanawiał się nad tym, dlaczego z własnej nieprzymuszonej woli występuje w obronie innych i ryzykując życie, walczy w ich sprawie. Po prostu taka była jego rola, wynikało to z podziału zadań. Dobrze pamiętał, jakim szacunkiem cieszył się jego ojciec. Ale on, Quent, dał przypiąć sobie do koszuli gwiazdę bynajmniej nie z tęsknoty za dowodami szacunku. Przyczyna leżała gdzie indziej. Gdy ojciec zginął od kuli tchórzliwego bandyty, Quent zapragnął zemsty.

Jak widać, historia lubi się powtarzać. Inny łajdak pałał żądzą odwetu.

Ale temu się nie uda, przysiągł sobie w duchu. Zrobi wszystko, by pokrzyżować mu plany.

Zbliżył się do budynku, w którym mieściła się pracownia krawiecka i sklep.

Z wnętrza dobiegł go głos Boyda Barlowa:

- Zatrzymaj się, szeryfie. Ani kroku dalej. Najpierw podnieś ręce do góry.

Quent zrobił, co mu kazano, i czekał. Otworzyły się drzwi. Wszedł do środka.

Pokój był pogrążony w mroku. Quent rozejrzał się, ale dostrzegł tylko niewyraźne kształty. Rozległ się trzask zapalanej zapalniczki. Od płomyka zajął się knot. W świetle lampy Quent dojrzał Boyda Barlowa. Ramię bandziora otaczało szyję Rubinu, a lufa jego rewolweru dotykała jej skroni.

- Odwagi, szeryfie. Zaraz rozpocznie się zabawa - zachichotał Boyd.

Quent zrobił kilka kroków do przodu. Chciał sprawdzić, czy Rubin nie jest ranna.

Zgodnie z tym, co powiedziała Patience, zobaczył siniak na jej czole i ślady krwi na twarzy.

- Musiałem nauczyć twoją pięknotkę, że ma słuchać rozkazów - odezwał się Boyd. - Zresztą nauka wchodzi jej dość łatwo do głowy. Prawda, kobieto? - Ponieważ milczała, mocniej ścisnął ramieniem jej szyję, tak iż zaczęła się dusić. - Wiesz, że nie lubię powtarzać niczego dwa razy. Uczysz się szybko, prawda?

- Tak - wykrztusiła.

- Grzeczna dziewczynka. - Przeniósł wzrok na Quenta. - Tobie też powiem tylko raz to, co mam do powiedzenia. A jeśli nie zrobisz tego, zapłaci za to twoja kobieta. Rozumiemy się?

Szeryf skinął głową.

- Wyrażasz się jasno, Barlow.

- Czy masz przy sobie broń? Quent pokręcił przecząco głową.

- W porządku. - Boyd machnął rewolwerem. - A teraz stań w tamtym kącie. Będziesz miał dobry widok. Popatrzysz, jak sobie używam z panną Jewel w pościeli. - Zaczął

przesuwać się wraz z Rubinem w stronę łóżka. - Pewnie gziłeś się z nią tu wiele razy. Teraz zobaczysz, jak to robi prawdziwy mężczyzna.

Quent kątem oka dostrzegł leżącego na podłodze Neville'a Oakleya. Ciekaw był, czy biedak jeszcze żyje.

Tymczasem Rubin, brutalnie pchnięta, padła na łóżko.

Boyd Barlow triumfował. Nie bez przyczyny mówiono, że zemsta jest rozkoszą bogów. Mógł napawać się do woli widokiem bezsilności szeryfa i jego upokorzenia. By dodać mu jeszcze cierpienie, zadartł jednym szarpnięciem spódnicę Rubinu, odsłaniając jej nogi aż po kształtne uda.

- Być może po tym, co zrobię z twoją kobietą, znajdzie dobrze płatną pracę w knajpie Bucka.

Dotknął wolną dłońią obnażonego uda Rubinu i zaczął je gładzić od wewnętrznej strony. Poczł, że jego męskość twardnieje. Zapowiadała się świetna zabawa. Użyje sobie, podczas gdy tamten facet będzie wił się niczym karaluch przekłuty szpilką.

- Gładka jesteś, kobieto. Chcę zobaczyć więcej. - Właściwie tak naprawdę ciekawił go widok twarzy szeryfa. Chęć zemsty była silniejsza od pożądania. - Zrzuć te fatalaszki i pokaż, co skrywasz pod nimi.

Rubin posłusznie zaczęła rozpinąć guziki sukienki. Och, wyraz twarzy Quenta Regana wart był tych tygodni czekania i obmyślania szczegółów odwetu.

- Nieuchronnie zbliża się chwila, kiedy nie będziesz mógł odżałować tego, że zabiłeś mojego brata - powiedział Boyd z satysfakcją w głosie.

- Jeżeli nawet trafiła go kula z mojego rewolweru - rzekł Quent ściszonym, niemal spokojnym głosem - to ty zdecydowałeś o jego śmierci.

- Co?! - Boyd aż podskoczył. Gniew wykrzywił mu twarz.

- Wyrażam się chyba jasno - odparł Quent przez zaciśnięte zęby. - Ward był nieokrzesanym dzieciakiem; rozrabiaką i awanturnikiem, ale nie był zabójcą. Chciał być taki jak ty. To ty bezpośrednio przyczyniłeś się do jego śmierci, Boyd. Ty i twój genialny plan zdobycia sławy poprzez zabicie szeryfa. Gdybyś nie zaplanował tej zasadzki, twój brat wciąż by żył. Piłby teraz zapewne w jakimś saloonie lub może zadawałby sobie w tej chwili pytanie, czy nie lepiej spoważnieć, ożenić się i dochować się potomstwa.

- Jedno wielkie kłamstwo! Jesteś cholernym kłamcą! - Boyda opanował szal. Zapomniał o Rubinie. Mgła przesłoniła mu oczy. - Odwołaj to! Słyszysz? Odwołaj to natychmiast! Nie zabiłem Warda. Ty to zrobiłeś, ty...

Rubin wykorzystała ten moment. Widząc, w jakim stanie jest bandyta, zamachnęła się

ręką i wytrąciła mu z dłoni rewolwer. Broń potoczyła się aż pod przeciwległą ścianę.

Quent w mgnieniu oka zebrał się w sobie i skoczył. Obaj mężczyźni znaleźli się na podłodze.

Quent chwycił Boyda za gardło. Z całych sił nacisnął kciukami na jego grdykę. I z pewnością zmiażdżyłby ją, gdyby bandyta nie uderzył go kolaniem w krocze.

Quentowi pociemniało w oczach. Po chwili dostał potężny cios w szczękę. Potworny ból prawie go zamroczył.

Na szczęście trwało to tylko jedną krótką chwilę. Zanim tamten zdołał się zamachnąć do kolejnego kopnięcia, Quent poderwał się na nogi i wyprowadził precyzyjny cios pięścią w sam nos bandyty. Barlow zalał się krwią.

Miał parszywą duszę, ale był waleczny. Z półobrotu uderzył Quenta w splot słoneczny. Ten zgiął się wpół, a zanim zdążył się wyprostować, bandyta chwycił za ciężką glinianą miskę i roztrzaskał ją na pochylonej głowie szeryfa. Quent zachwiał się, lecz jakimś cudem utrzymał się na nogach. W sukurs przyszła mu wściekłość. Przyjął boksterską postawę i zaczął okładać Boyda pięściami. Jego ciosy miały precyzję i siłę. Posiniaczony i okrwawiony, Boyd osunął się wreszcie na kolana.

Gorący Rubin precyzyjnie się za walczącymi i podniosła rewolwer z podłogi i wycelowała go w bandytę.

- Być może nie strzelam tak dobrze jak szeryf - powiedziała - ale z tej odległości nie powinnam chybić.

Boyd podniósł obie ręce do góry na znak, że się poddaje.

Rubin oddała rewolwer Quentowi. Zrobiła to z uśmiechem, który jednak natychmiast zniknął z jej twarzy. Quent bowiem odpiął odznakę, rzucił ją na stół i przytknął koniec lufy do skroni bandyty.

- I co zamierzasz? - spytał Boyd z niepokojem w głosie.

- Skończyła się rozgrywka pomiędzy przestępcą a stróżem prawa. - Quent mówił z taką miną i takim tonem, że Rubin przeszły ciarki. - Kiedy dotknąłeś mojej kobiety, sprowadziłeś rzecz na płaszczyznę osobistą. Dlatego cię zabiję. Nie zrobi tego szeryf Regan, tylko mężczyzna, który broni swojej kobiety.

Minęło kilka chwil, zanim do świadomości Gorącego Rubinu dotarł prawdziwy sens tych słów.

- Zaczekaj, Quent! Nie możesz tego zrobić. - Starła się nie patrzeć mu w oczy, pałające żądzą mordy. - Pomyśl o tych wszystkich ludziach, którzy zaufali ci i którzy liczą na twoją pomoc.

- I którzy przede wszystkim zawiedli się na mnie. Przecież nie było mnie tutaj, gdy byłem ci potrzebny. Nie zapobiegłem niczemu. Ten bandzior obmacywał cię na moich oczach. - Spojrzał na siniak na jej czole. - I uderzył cię, a ja nie powstrzymałem jego ręki.

- Ależ nic mi już nie grozi. Jestem bezpieczna i czuję się bezpieczna. I to ty sprawiłeś. Zawdzięczam to tobie, Quent.

- Niczego mi nie zawdzięczasz - zaoponował. - Przeciwnie, wszystko, przez co przeszłaś, wydarzyło się z mojego powodu. To na mnie chciał się zemścić. Chciał zdobyć sławę, zabijając niezwyciężonego szeryfa Quenta Regana. I to mu się udało, ponieważ szeryf Regan umarł. Jedyne, na co się zdobył, to pojawienie się tutaj bez broni. Wypełnił dokładnie to, czego ten śmieć zażądał.

- Gdybyś zlekceważył jego warunki, Quent, i zjawił się tu z połową miasta i uzbrojony po zęby, wtedy on by mnie zabił.

- Myślisz, że tego nie wiem? - Cofnął się, wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia. Po to tylko, żeby przekonać się, że żyje i czuje się dobrze. Zaraz jednak cały się skupił na przestępcy. - I dlatego zamierzam cię zabić, Barlow. Chcę mieć pewność, że nigdy już nie skrzywdzisz żadnej niewinnej istoty.

Dotykający spustu palec szeryfa niebezpiecznie zadrgał.

Barlow patrzył na broń jak zahipnotyzowany. To był jego rewolwer. Dobrze mu służył do tej pory. Wiedzieli o tym również ci nieszczęśnicy, których wysłał na tamten świat.

Nagle zaczął się pocić. Pot mieszał się na jego twarzy z krwią płynącą z ran i skapywał czerwonymi kroplami na koszulę.

- Zabiłeś tych dwoje z premedytacją, prawda, Barlow? Ranczera i jego żonę?

Przestępca skinął głową.

- Posłużyłeś się moją gwiazdą, żeby zdobyć ich zaufanie.

Ponowne kiwnięcie głową.

- Ale nie wystarczyło ci odebrać im życia. Musiałeś jeszcze pohańbić tę młodą kobietę, zanim strzałem w tył głowy skróciłeś jej fizyczne i duchowe męki.

- Tak - szepnął Boyd, dygocząc na całym ciele. Quent zrobił pół kroku do przodu i lufa rewolweru dotknęła czoła bandyty.

- Jesteś z tych ludzkich gadów, Barlow, które należy tępić. Wobec takich jak ty nie ma przebaczenia.

- Nie zabijaj mnie! Nie chcę umierać, szeryfie - błagał Barlow płaczliwym głosem.

- Powiedziałem ci. Nie ma tu szeryfa. Przed tobą stoi Quent Regan, który zdecydował się skrócić twoje plugawe życie.

Gdy tylko skończył mówić, poczuł na ramieniu czyjąś dłoń. Była to dłoń Rubinu. Kobieta, którą kochał, powiedziała:

- Wiem, co czujesz, *chérie*. Choćby dlatego, że sama pragnę jego śmierci. Jeżeli chcesz pozostać wierny dotychczasowym zasadom, którymi się kierowałeś, jeżeli pragniesz potwierdzić zaufanie, jakim obdarzył cię mój ojciec, musisz znaleźć w sobie dość odwagi, by poniechać powziętego zamiaru. Proszę, Quent! Nie zniżaj się do poziomu tej kreatury. Chcesz, żeby wygrał? Łajdactwu nie można pozwalać zwyciężać. To słowa mojego ojca.

Ujrzała zmianę na twarzy Quenta. Wiedziała już, że nie rzuca słów na wiatr.

- Mój kochany - powiedziała bliska łez, przyciskając policzek do jego ramienia. - Po tym wszystkim, co przeszedłeś, musisz okazać swoją wyższość. On nie jest wart tego, byś odstępował od zasad honoru. Jest w tobie tyle szlachetnej odwagi. Niech pozwoli ci ona podjąć właściwą decyzję.

Quent nie odrywał wzroku od twarzy przestępcy, lecz widać było, że zмага się z sobą.

W końcu, wciąż mierząc z rewolweru w Barlowa, przygarnął Rubin wolnym ramieniem.

- Chcę czuć cię przy sobie. Pozostań przy mnie.

- Jestem przy tobie, *chérie*. Trzymaj mnie mocno. - Łkanie wstrząsnęło jej piersią. - Jak tylko ty to potrafisz.

I takich, tulących się do siebie, odnaleźli kilka minut później Arlo, Patience i doktor Prentice. Boyd Barlow klęczał wciśnięty w kąt.

Nieco później przybyły siostry Rubinu wraz z mężami, a tuż za nimi Carmelita i Rosario. Zapanował ruch i zgiełk.

- Nie można was dwojga ani na chwilę spuścić z oka - powiedziała Diament pod adresem siostry i szeryfa. - Gdziekolwiek się pojawiacie, tam zaraz wybucha jakaś awantura. Co tym razem się stało?

- Napad - odparła Rubin, pociągając nosem. - Quent już poradził sobie z przestępcą.

- Oczywiście, Quent zna się na tych sprawach - przyznała Diament.

- I po cóż było wyprowadzać się z bezpiecznego domu? - spytała z wyrzutem Carmelita. - Na ranczo żaden łapserdak by nie zajrzał. Bałby się kowbojów.

Podczas gdy Carmelita roniła łzy szczęścia, a Perła i Nefryt obsypywały siostrę czułymi pocałunkami, mężczyźni przypatrywali się szeryfowi i bandycie.

- Wygląda na to, że spóźniliśmy się na niezłą bójkę - zauważył Adam, przyglądając się Boydowi. - Chyba złamałeś mu tego nochala, Quent.

Szeryf machnął prawą dłonią, która zdążyła już nieco spuchnąć.

- Żałuję, że nie połamałem mu wszystkich kości.

- O ile sobie przypominam, od początku twierdziłeś, że Barlow przyczał się gdzieś w pobliżu - rzekł Cal.

Quent kiwnął głową. Rzucił okiem na Rubina.

- Ale dzisiaj zawiodła mnie intuicja.

Dan poklepał go po ramieniu.

- Nie masz powodu winić siebie. Festyn. Zresztą i tak zrobiłeś, co mogłeś.

Doktor Prentice i Patience klęczeli przy nieprzytomnym Neville'u. Młoda kobieta trzymała go za rękę, doktor kończył wstępne badanie.

- Dwie kule - powiedział wreszcie. - Jedna przeszła gładko przez bok, nie naruszając, na szczęście, żadnego ważnego wewnętrznego organu. Druga utkwiała w ramieniu. Gdybym chciał przetransportować go do siebie, musiałbym zwołać pół miasta. Czy wobec tego, panno Jewel, mogę tutaj dokonać zabiegu usunięcia kuli?

- Ależ oczywiście. - Rubinowi w końcu udało się uwolnić z ramion siostr. - Jeżeli tylko uważa pan, że są odpowiednie warunki. Może przenieść go na łóżko?

- Jest na to zbyt ciężki. Zajmę się nim tutaj, na podłodze. - Doktor otworzył czarną torbę.

- Nic mu nie będzie? - spytała Patience, nie kryjąc niepokoju.

- Neville to silne chłopisko. Wyliże się w ciągu tygodnia.

- Okazał tyle odwagi. Złożył dowody szlachetności i poświęcenia. Ryzykował życie dla panny Jewel. - Drobnym ciałem Patience wstrząsnęło łkanie.

- Czy to prawda, panno Jewel? - zapytał doktor. - Neville postąpił jak bohater?

Rubin skwapliwie potwierdziła.

- Postrzelony, nadal atakował przestępcę, żeby go powstrzymać i unieszkodliwić.

Doktor uśmiechnął się.

- Ludziska będą musieli zmienić o nim opinię. Zanim zajmę się naszym bohaterem, chciałbym rzucić okiem na pani skaleczenie, panno Jewel.

Syknęła, gdy przemywał ranę środkiem odkażającym.

- Nic poważnego - zapewnił ją.

- Ma się rozumieć. Tato zawsze mówił, że mam mocną głowę.

- Onyx Jewel był najdzielniejszym mężczyzną w Teksasie. Najwyraźniej tę dzielność przekazał swoim córkom.

Nagle Diament jęknęła.

Adam jednym susem znalazł się przy niej.

- Co się stało?
- Boli - odparła przez zaciśnięte zęby.
- Czy to pani pierwsze bóle? - spytał doktor.
- Nie. - Kilka razy głęboko odetchnęła. - To kolejne. One się nasilają, doktorze.
- W takim razie proszę się położyć. Wszystko wskazuje na to, że zbliża się rozwiązanie.

Diaament zrobiła się blada jak kreda.

- Ale przecież nie mogę tu urodzić...
- Niby dlaczego?
- Ponieważ miałam urodzić na ranczu...
- Bzdury - wtrąciła się Carmelita, która miała w tych sprawach niemałe doświadczenie. - Dziecko rodzi się wtedy, kiedy mu się zachce. Rób, co każe ci doktor. - Spojrzała na mężczyznę. - A wy wynoście się stąd. Chyba że chcecie pomagać przy porodzie.

Żaden nie chciał i sklep opustoszał. Pozostali tylko doktor i wciąż nieprzytomny Neville.

Gorący Rubin podbiegła do okna. Quent wraz z Arlo prowadzili więźnia. W pewnym momencie, jakby wyczuwszy na sobie jej wzrok, Quent odwrócił głowę. Ich spojrzenia się spotkały, ale trwało to tylko chwilę.

Zaczęła się bowiem zwykła bieganina związana z cudem narodzin.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Poranek nastał jasny i świeży. Chłodny powiew wpadał przez otwarte drzwi, nasycony zapachami zbliżającej się jesieni. Słońce dźwignęło się już nad Widow's Peak, barwiąc niżej zawieszane chmury różem i purpurą.

Gorący Rubin stała na progu, patrząc na swój pokój i zgromadzone w nim osoby. Pod ścianą na łóżku spoczywał Neville Oakley, powierzony opiece Patience Carter, która nie odstępowała go ani na krok od chwili, gdy doktor wyjął kulę z jego ramienia.

Pod drugą ścianą w obitym skórą fotelu siedziała Świetlisty Diament, tuląc do piersi nowo narodzonego synka.

Był przy nich Adam, dumny i szczęśliwy. Spoglądał na żonę i dziecko z promiennym uśmiechem.

Kiedy wczorajsze zamieszanie i chaos osiągnęły punkt szczytowy, Rosario został wysłany na ranczo po kołdry i poduszki. Dawno już wrócił i oto każdy miał się czym przykryć i na czym złożyć głowę. Perła i Cal, Nefryt i Dan, a wreszcie Carmelita i Rosario spali na podłodze. Tłok panował tak wielki, że nie było gdzie postawić stopy.

Gorący Rubin patrzyła na nich wszystkich od drzwi.

Rodzina. Jej rodzina.

Raz jeszcze ogarnęła ich wszystkich pełnym uczucia spojrzeniem, poprawiła szal na ramionach i wyszła na ulicę.

Większość ranczerów wraz z rodzinami opuściła miasto o świcie, wracając do gospodarskich obowiązków. Festyn zakończył się i życie w Hanging Tree powróciło w zwykłe koleiny. Zaczynał się powszedni dzień.

Pozostało jedynie kilka wozów i bryczek, pomiędzy którymi tu i ówdzie kręcili się jacyś ludzie. Poza tym o tej wczesnej porze ulica była pusta. Do otwarcia sklepów pozostało jeszcze trochę czasu.

Gorący Rubin zmierzała w stronę aresztu. Zbliżywszy się, zobaczyła wychodzącą w pośpiechu Millie Potter. Wdowa nawet jej nie zauważyła. Rubin otworzyła drzwi. Poczowała zapach kawy i świeżych bułeczek.

Uśmiechnęła się, gdyż przyszło jej na myśl, że wkrótce usiądzie razem z Quentem do śniadania.

Z tym promiennym uśmiechem zamknęła za sobą drzwi i weszła do środka.

Na krześle za biurkiem siedział Arlo i, oczywiście, trzymał nogi tam, gdzie inni ludzie kładą papiery. Miał zadowoloną minę i pełne usta. Na widok Rubinu szybko przeżuł i

przełknął jedzenie, a także zdjął nogi z biurka.

- Dzień dobry, panno Jewel. - Pociągnął z kubka potężny łyk kawy. - Czy pani siostra już urodziła?

- Tak. Chłopak jak malowanie. - Rozejrzała się po pokoju. - Spodziewałam się zastać szeryfa.

- Przykro mi, ale wyjechał.

- Wyjechał?

- Szeryf Regan postanowił odwiedzić więźnia do Abilene. Powiedział, że ani myśli trzymać go tutaj przez dwa miesiące, bo za tyle mniej więcej czasu ma przyjechać sędzia. Powiedział też, że prędzej zacznie hodować ryż, niż będzie patrzył na jego wstrętną, za przeproszeniem, mordę. Mógłby jeszcze zapomnieć się i zastrzelić skunksa.

Rubin posmutniała.

- Jak długo go nie będzie?

Arlo włożył do ust kruche ciasteczko.

- On nie wspomniał, a ja nie pytałem. Podróż może mu zająć dwa dni albo tydzień. Ale proszę się nie martwić, panno - Jewel. - Arlo trzepnął się dłonią po biodrze, z którego zwisał mu rewolwer. - Moja w tym głowa, żeby zadbać o bezpieczeństwo mieszkańców.

- *Oui*. Dziękuję.

Odwróciła się, ogromnie rozczerowana. Znowu czekała ją rozłąka z Quentem. Właściwie nie miała prawa się skarżyć. Po prostu Quent, jak każdy dobry szeryf, wypełniał swoje obowiązki. Tyle że było jej przykro. Tak bardzo cieszyła się na to dzisiejsze spotkanie. Tak rozpaczliwie pragnęła znaleźć się w jego ramionach.

Kilka razy głęboko odetchnęła, odgarnęła włosy z czoła i wróciła do sklepu. Od razu też rzuciła się w wir zajęć. Zaczęła od generalnych porządków.

- Dzień dobry, panno Jewel.

Gorący Rubin nie wierzyła własnym uszom i oczom. Postawiła trzymany w ręku słoik na półce i zeskoczyła z krzesła.

- Miło panie powitać.

Lavinia, Gladys i Effie rozglądały się ciekawie po wnętrzu, niczym kury wpędzone do nowego kurnika.

- Czemu zawdzięczam tę miłą wizytę? - Podniecenie Rubinu ujawniło się lekkimi rumieńcami na policzkach.

- Zamierzałyśmy odwiedzić pani sklep w dniu otwarcia. - Lavinia, bezsporna przywódczyni tej grupy plotkarek, przechadzała się dostojnym krokiem po pracowni. Jej

bystremu oku nie miała prawa umknąć najmniejsza drobina kurzu. - Ale wie pani, jak to jest. Ni stąd, ni zowąd spadają na człowieka jakieś obowiązki. W końcu więc znalazłyśmy czas dopiero dzisiaj.

Było to kłamstwo, jawne i bezsporne, Rubin jednak ani myślała go wytykać. Była zbyt zadowolona z faktu, że może gościć u siebie trzy nowe klientki.

- Wiem od Arlo, że zachowała się pani bardzo dzielnie, gdy ten przebrzydły bandzior panią napadł. - Effie dotknęła palcami koronkowego szala, spływającego fałdami ze stołu. - A nasz szeryf utrzymuje, że gdyby nie pani, gryzłby w tej chwili ziemię.

- Być przez tyle czasu na łasce i niełasce okrutnego bandyty! To musiał być prawdziwy koszmar. - Gladys zniżyła głos, dotykając ramienia Rubinu. - Proszę nam o tym opowiedzieć, moja droga.

Droga? Gorący Rubin o mało nie parsknęła śmiechem.

- Naprawdę nie ma o czym mówić. Naszedł mnie zniecka.

- Tak. Sama w tym dużym domu. Podczas gdy całe miasto brało udział w festynie. - Gladys serdecznie ścisnęła dłoń Rubinu. Pozostałe dwie panie nachyliły głowy, by nie uronić ani jednego słowa. - Że też ośmielił się wtargnąć tutaj.

- Pewnie uznał, że samotna kobieta jest łatwą zdobyczą.

- Arlo mówi, że bandzior najpierw śledził szeryfa.

- Oczy Lavinii przewiercały młodą kobietę na wylot.

- Wynikałoby stąd, że Quent Regan był tutaj. Zatem przez jakiś czas byliście we dwoje.

- Ja... tak. - W pierwszym odruchu chciała skłamać. Kłamstwo zresztą przychodziło jej równie łatwo, jak sięgnięcie po cudzą własność. W końcu jednak zdecydowała się powiedzieć prawdę. - Szeryf odprowadził mnie po tańcach do domu. Potem pożegnał się i wyszedł. Bandyta, który obserwował dom, dowiedział się w ten sposób, że pozostałam sama.

- Arlo mówi, że tamten miał wyjątkowego pecha, wybierając jedną z córek Onyxa Jewela. - Effie mówiła takim tonem, jakby broniła najlepszej przyjaciółki. - Mówi też, że Neville Oakley okazał się bohaterem. Osłonić kogoś od kuli własną pierśią to dowód największej odwagi.

- *Oui*. Pan Oakley to wspaniały człowiek. Trudno przecenić jego poświęcenie - powiedziała Rubin ze wzruszeniem w głosie.

- Słyszałam, że dziecko Diamentu urodziło się przed czasem wskutek wzburzenia matki, spowodowanego wszystkimi tymi wydarzeniami. - Lavinia chciała dorównać przyjaciółkom w dociekliwości.

- Nie sędę, by te wypadki miały jakiś wpływ na urodzenie się dziecka. Jednak rozwiązanie faktycznie nastąpiło tuż po odstawieniu bandyty do więzienia. Dziecko jest zdrowe i waży niemal pięć kilogramów.

- Jakie nadano mu imię? - Lavinia nie kryła podekscytowania. To były jej żniwa, jej owocobranie. Tyle wieści, i to z najbardziej wiarygodnego źródła.

- Ma się rozumieć, imię dziadka - odparła Rubin.

- Oczywiście. Jakżeby inaczej. Onyx Jewel Winter. Pięknie brzmi.

- Onyx Adam Winter - poprawiła Gorący Rubin.

- Brzmi jeszcze lepiej. Czy matka i dziecko czują się dobrze? - dociekała Lavinia.

- Bardzo dobrze. Wciąż goszczę ich w swoim domu.

- A nie sądzi pani...? - Lavinia wpatrywała się w zamknięte drzwi niczym we wrota prowadzące do raj. - Czy ewentualnie mogłybyśmy rzucić okiem na matkę i dziecko?

- Nie dzisiaj - odparła Rubin stanowczo. - Na pewno jednak będzie to możliwe w najbliższych dniach, gdy Diament dojdzie do siebie po położu.

- Proszę więc przekazać siostrze, że nie omieszkamy przyjść z gratulacjami - powiedziała Effie.

- Obiecuję. - Rubin bez trudu mogła wyobrazić sobie wyraz twarzy Diamentu zmuszonej do uczestniczenia w podobnej do tej bezmyślnej paplaninie.

- Wielkie nieba! - wykrzyknęła nagle Lavinia, rozglądając się wokół. - Spójrzcie tylko na te kapelusze.

- I na te suknie - dodała Gladys z westchnieniem.

- Jak tu pięknie pachnie. - Nozdrza Effie przypominały rybnie skrzela. - Co to za rozkoszne wonie?

- Najwięcej zapachu dają suszone kwiaty. - Rubin wskazała na barwne miseczki, wypełnione zeschniętymi płatkami. - Pachną też maście, olejki i balsamy zrobione wedle receptur mojej matki. Gzy mam pokazać próbki?

Panie otoczyły młodą kobietę wianuszkami, ona zaś otworzyła jedną z fiolek i upuściła z niej po kropli na każdą z wyciągniętych dłoni.

- Trzeba nacierać tym delikatnie ciało rano i wieczorem, a po niedługim czasie skóra stanie się miękka i gładka jak aksamit. Balsam ten również zapobiega zgubnym skutkom działania teksaskiego słońca.

- Czuję, jak chłodzi mi dłoń - pisnęła Lavinia. - Na wypieki na twarzy też zapewne będzie działać kojąco.

- *Oui*. O tym akurat mogę panie zapewnić. Jeśli balsam nie poskutkuje, proszę zwrócić

fiolkę, a ja oddam pieniądze.

- Doprawdy? - Gladys wskazała na pękaty słoik. - Jak się nazywa ten specyfik?

- Balsam Madeline - odparła Rubin nie bez dumy.

- W takim razie biorę go. - Gladys zdecydowanie przycisnęła słoik do piersi. - Będę miała najładszą skórę w Hanging Tree.

- Ośmielam się w to wątpić, Gladys. - Lavinia Thurlong wybrała dla siebie duży słoik. - Im dłuższa kuracja, tym lepsze efekty.

Nie chcąc być gorsza, Effie Spitz również stała się właścicielką odpowiednio dużego słoika balsamu.

- Uważam, że skoro już tu jestem, przymierzę jakąś suknię - oświadczyła Lavinia.

- Pomyślałam właśnie o tym samym. - Gladys ruszyła ku wiszącym na wieszakach sukniom.

- Ja zaś od dawna noszę się z zamiarem kupna nowego kapelusza. - Effie pożądlivym spojrzeniem przyglądała się rozłożonym na wystawie nakryciom głowy i ozdobom do nich.

Podczas gdy wszystkie trzy panie oddawały się rozkoszy przymiarek przed lustrem, drzwi otworzyły się i stanął w nich Quent Regan.

Ubranie miał pokryte grubą warstwą kurzu, tak iż wydawało się jednolicie szare. Zwisający niedbale pas z rewolwerami nadawał mu wygląd straceńca lub desperata. Nie pasował do tego wnętrza, pełnego pięknych i kosztownych rzeczy. Zdjął kapelusz o szerokim rondzie i trzepnął nim o udo. Obłok kurzu wzbił się w powietrze.

Oczy Rubinu rozbłyły wewnętrznym światłem. Z jej sercem zaczęło dziać się coś dziwnego. To przestawało bić, to znów wybijało oszalały rytm radości.

- Quent.

Na szczęście udało się jej zachować spokój. Zmusiły ją do tego trzy obecne w sklepie plotkarki.

- Rubinie. - Zorientował się, że ma klientki, lecz były one dla niego wyłącznie trzema ciemnymi plamami. Tylko ukochaną kobietę widział w całej wyrazistości ciepłych barw i harmonijnych kształtów. Jej uroda zniewalała, wprost zbijała z nóg.

- Myślałam, że jesteś w Abilene.

- Przekazałem więźnia szeryfowi z Oak Creek. Zrobił krok do przodu, zawadzając kolbą rewolweru o mały stolik. Rozłożona na nim kolekcja guzików znalazła się na podłodze. Mocno zmieszany, Quent ukląkł i zaczął zbierać. Rubin pośpieszyła mu z pomocą. Szybko wyzbierali wszystkie guziki. W pewnej chwili Quent chwycił ją za rękę.

- Muszę z tobą porozmawiać.

- O czym? - zapytała z uśmiechem.

- O... różnych sprawach. - Zauważył, że trzy panusie bacznie im się przyglądają, ciekawie nadstawiając uszu.

- Czy sprawy te nie mogą poczekać? - Rubin również była świadoma obecności świadków.

- Nie, do stu piorunów - syknął. - Rzecz jest pilna. Czy możemy porozmawiać na osobności? - Wskazał oczyma na drzwi prowadzące na zaplecze.

- Tam jest moja rodzina.

- Nadal?

- Tak. I będzie, dopóki doktor Prentice nie uzna, że Diament bez szkody dla zdrowia i żadnego ryzyka może wybrać się w drogę powrotną do domu.

Przejechał włosy palcami w geście rezygnacji.

- W takim razie musimy porozmawiać tutaj.

- Wykluczone! - Niemalże straciła panowanie nad sobą. Czyżby nie widział, kto znajduje się w sklepie? Czy nie zdaje sobie sprawy, że każde ich słowo zostanie powtórzone na sto różnych sposobów? - Nie sądzę, żeby był to dobry pomysł.

- Rubinie. - Nie miał zamiaru zatrzymywać się w pół drogi. Chwyił ją za ramię. - Mam za sobą całą noc na koniu. Jechałem, a głowa pękała mi od najrozmaitszych myśli. Najwyższy czas, abyśmy wreszcie to rozstrzygnęli.

- Co... rozstrzygnęli?

- Kwestię naszych uczuć. Co do mnie, to nie mogę już dłużej ich tłumić. Wiem, że wielu jest takich, którzy sądzą, że jesteśmy na stopie wojennej. Masz osobliwe pojęcie o sprawiedliwości. Prawa nie darzysz szacunkiem. Jesteś nieposkromiona, kierujesz się własnymi zachczeniami i odruchami. I dlatego być może moje uczucia do ciebie są takie zawikłane. Wypełniłaś sobą pustkę mojego życia. Ta ostatnia noc... - Wziął ją za ramiona i zaczął je gładzić. Jego głos złagodniał. - Ostatnia noc była dla mnie zarazem koszmarem i radością.

Lavinia wstrzymała oddech.

Gladys odchrząknęła.

Effie zachichotała.

Quent spojrział w ich kierunku i dopiero teraz w pełni uświadomił sobie, że występuje przed całkiem liczną widownią. Ogarnął go gniew.

- Czy nie mają panie dokąd pójść?

- Ależ, szeryfie! Przyszliśmy tu na zakupy. Proszę nie zważać na nas - odparła

Lavinia, dysząc jak lokomotywa. - Może pan zachowywać się, jakby nas tu nie było.

Przeniósł wzrok na Rubina i spytał przez zaciśnięte zęby:

- Gdzie Patience?

- Jest w drugim pokoju. Opiekuje się Neville'em Oakleyem.

- Wezwij ją tutaj. - Jego oczy niebezpiecznie błyszcząły. - Wdzięczny byłbym, gdybyś zrobiła to natychmiast.

- Ale...

- Zawołaj ją, Rubinie.

- Patience! - Rubin podniosła głos. - Czy mogłabyś przyjść do nas?

Drzwi uchyliły się i w szparze pojawiła się głowa młodej kobiety.

- Czy mam w czymś pomóc?

- Nie... - zaczęła Gorący Rubin.

- Tak. - Quent chwycił ją wpół, podniósł i przerzucił sobie przez ramię. - Zajmij się paniami. Zabieram pannę Jewel ze sobą.

- I dokąd to pan ją niesie? - Zdumienie na twarzy Patience walczyło o lepsze z przerażeniem.

- Do aresztu. To jedyne miejsce na tym cholernym świecie, gdzie nie ma tłoku.

Powiedziawszy to, Quent opuścił sklep. Wyglądał jak farmer, niosący worek zboża.

Lavinia Thurlong, Gladys Witherspoon i Effie Spitz w pośpiechu regulowały należność za wybrane rzeczy. Nie byłyby sobą, gdyby zrezygnowały z roli świadków i komentatorek życia mieszkańców Hanging Tree.

Arlo zerwał się na równe nogi, gdy Quent wkroczył do biura ze swym ciężarem.

- Dzień dobry, szeryfie. Co tym razem zbroiła panna Jewel?

- Weź miotłę i pozamiataj przed aresztem, Arlo - powiedział Quent, przywracając Rubinowi swobodę ruchów.

- Już to zrobiłem.

- Więc zrób to jeszcze raz. - Quent wcisnął mu do ręki miotłę i wypchnął za drzwi, które następnie zamknął.

- Czy zdajesz sobie sprawę, co właśnie zrobiłeś?! - wykrzyknęła z wściekłością Rubin.

- Pozbyłem się Arlo - odparł.

- Mówię o tym, w jaki sposób tu się znalazłam. Słyszałeś, co powiedział zastępca. Podobnie myśli całe miasto. Co panna Jewel tym razem przeskrobała!

- Mało mnie obchodzi, co myśli sobie miasto. Zależy mi tylko na twoim zdaniu.

- W sprawie czego?

- Nas dwojga. Ciebie i mnie. Miałem mnóstwo czasu, żeby to przemyśleć. Jeśli tego chcesz, to zrezygnuję z funkcji.

- A dlaczego miałabym tego chcieć?

- Ponieważ nie możesz znieść mojej gwiazdy. Słyszałem to z twoich własnych ust.

Rubin wzruszyła ramionami.

- Być może coś takiego powiedziałam. Być może powiedziałam to szczerze. Ale to było dawno. Dzisiaj jestem zupełnie inną osobą. Poza tym nie widzę dla ciebie innego zajęcia. Byłeś szeryfem całe dorosłe życie.

- Może zajmę się pracą na roli lub hodowlą bydła.

- A co z mieszkańcami Hanging Tree?

- Znajdą innego szeryfa. Kto wie, może wybiorą Arlo. - Mimo woli się skrzywił.

- Dość tego głupiego gadania. Miasto potrzebuje ciebie, tak jak ty potrzebujesz miasta.

Nie chcę patrzeć, jak się poddajesz.

- Czy mam przez to rozumieć, że gotowa jesteś wyjść za szeryfa?

- Małżeństwo? Nic nie wiem o żadnym małżeństwie.

- Bo unikałem dotychczas tego tematu, ale dzisiaj musimy sobie wszystko powiedzieć.

Najważniejsza rzecz to gdzie będziemy mieszkali. Twoje rancho leży zbyt daleko od miasta, a ja mam tylko jeden pokój na tyłach aresztu.

Wydeła usta.

- Jeżeli ty poprosisz mnie o rękę i jeśli ja wyrażę zgodę, to znajdziemy jakieś proste rozwiązanie.

- Jakie?

- Możemy zamieszkać na piętrze nad sklepem. Są tam trzy dość duże pomieszczenia. Oczywiście, nasze mieszkanie pełne będzie różnych fatalaszków, słoików z pachnącymi maściami i innych symboli kobiecego zbytku.

- I wśród tego bałaganu hasać będą nasi krzepcy chłopcy. Znając swoje szczęście, wiem, że dochowam się sześciu synów.

Otworzyła szeroko oczy.

- Naprawdę na to liczysz? Na sześciu dziarskich chłopaków?

Wzruszył ramionami.

- Prawdę mówiąc, zadowolę się trzema. Pozostała trójka to mogą być dziewczynki. - Spoglądał na nią z mieszaniną rozbawienia i czułości. - I co ty na to, Rubinie? Mam nadzieję, że lubisz dzieci.

- Zawsze czułam się taka samotna - rzekła z melancholijną miną. - I dlatego marzyłam

o licznej rodzinie. Sądę jednak, że o czymś zapomniałeś.

- O czym?

- O właściwych oświadczeniach.

- Czy mam to zrobić, klęcząc? Uśmiechnęła się.

- *Oui*. Korona nie spadnie ci z głowy.

- Rubinie, gdyby nawet dzieliła nas ściana ognia, przeszedłbym ją. - Rzucił się do jej kolan. - Powiedz, że zgadzasz się zostać moją żoną.

- Oświadczyły niezbyt romantyczne.

- Kocham cię. Chcę się z tobą ożenić. Kochasz mnie? Wyjdiesz za mnie? - Czekał pełen bojaźni i niepewności.

Milczała, pozwalając, by cierpiał. Aż wreszcie ulitowała się.

- *Oui*. Kocham cię, Quent. Zostanę twoją żoną. Pod jednym wszak warunkiem.

- Zgadzam się na każdy.

- Że nigdy nie będziesz myślał o zostaniu farmerem bądź ranczerem.

Poderwał się na nogi i zamknął ją w namiętym uścisku.

- Daję ci moje słowo - mruknął, po czym potwierdził to pocałunkiem.

- *Bon*. A teraz - musiała odzyskać oddech - wracajmy do sklepu i powiedzmy o wszystkim moim najbliższym.

W tym samym momencie do drzwi zaczął dobijać się Arlo, a w oknie ukazały się twarze Lavinii, Gladys i Effie. Za nimi gęstniał tłum. Wszyscy uśmiechali się i wymieniali między sobą uwagi. Quent wciąż przytulał ukochaną.

- Och, Rubinie, miej litość! Zostańmy tu jeszcze przez pewien czas.

Porwała ją fala uczucia. Objęła w pasie Quenta. Stał się dla niej opoką i nadzieją.

- Po co?

Wziął głęboki oddech.

- W pokoju jest łóżko. Zamkniemy drzwi na klucz. Nikt nam nie przeszkodzi.

- Ale moja rodzina...

- Powiedziałaś, że jeszcze długo będziesz ich miała u siebie.

- A mieszkańcy miasta?

- Och, zapomnijmy o nich. Zresztą to ludzie nam życzliwi. - Przez chwilę obsypywał jej twarz pocałunkami. - Spełnisz moją prośbę?

- Tak - wyszeptła i pozwoliła zaprowadzić się do pokoju na tyłach aresztu, gdzie doświadczyła największych rozkoszy, o jakich może marzyć kobieta.

EPILOG

Wozy i bryczki zapełniały główną ulicę Hanging Tree. Ożywiony tłum ranczerów i mieszkańców miasta płynął ku kaplicy. Każdy miał na sobie świąteczne ubranie. Ostatnio jakość i krój tych ubrań wyraźnie się poprawiły. Panna Jewel nie mogła się skarżyć na brak klientów.

Dzisiejszy dzień był pod każdym względem wyjątkowy. Po wczorajszym życiodajnym deszczu nastąpiła cudna pogoda. Natura śmiała się, uśmiech gościł też w ludzkich sercach. Ostatnio dwie najbardziej popularne osoby w okolicy postanowiły zawrzeć związek małżeński.

Nad pracownią krawiecką i sklepem znajdowało się piętro i tam właśnie, w jednym z uroczono urządzonych pokoi, stała niczym posąg Gorący Rubin, mając przy sobie wszystkie trzy siostry.

Ale posąg ów żył i od czasu do czasu ponosiły go nerwy.

- Nie ruszaj się - po raz któryś z rzędu upomniała ją Różowa Perła, ozdabiając koronką przód przezroczystej białej koszuli Rubinu. - Aż trudno uwierzyć, jak bardzo ludzie lubią o was plotkować. Całe miasto liczy noce spędzone przez szeryfa w tym mieszkaniu. Porównanie z liczbą nocy spędzonych w pokoiku przy areszcie wychodzi na korzyść tych pierwszych.

- Po prostu po godzinie od rozstania już zaczyna tęsknić za mną. Nie na to nie poradzę, że nie kryje się ze swoją miłością.

- A ty, siostrze, pokażesz światu coś więcej niż miłość, jeśli nie dasz mi osłonić piersi tymi koronkami - przygadała jej Perła, która kończyła już swoją robotę.

- A teraz kolej na to - powiedziała Jasny Nefryt, podchodząc z pieniącymi się w jej rękach, szeleszczącymi halkami.

- Rubinie! - zawołała Świetlisty Diament z krzesła, na którym siedziała, karmiąc malutkiego Onyxa. - Chciałabym, żebyś raz jeszcze się zastanowiła. Przyznaję, że podoba mi się to mieszkanie. Pokoje są wysokie, przestrzenne i jasne. Ale pomyślmy o tym, jak smutno będzie wyglądał pusty dom naszego ojca.

- Ależ on nie będzie pusty. - Rubin zamilkła, gdyż właśnie Nefryt i Perła zaczęły wkładać jej przez głowę śnieżnobiałą ślubną suknię. Gdy suknia sięgnęła podłogi, obie siostry zajęły się zapinaniem guzików, biegnących rzędem od talii aż po szyję. - Sama powiedziałaś, że przeprowadzisz się do domu ojca na miesiąc lub dwa, żeby skorzystać z pomocy Carmelity przy opiece nad dzieckiem.

- A potem?

Rubin wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Wiem tylko, że moje serce jest tutaj, z Quentem. Szeryf nie może opuszczać miasta.

Mały Onyx dał znać, że czuje się najedzony, i Diament schowała pierś. Zapięła stanik, wstała i podeszła do panny młodej.

- Zdaje się, że już wiem, dlaczego Quent chętnie służyłby ci za podnózek. Jesteś naprawdę piękna, Rubinie. Niczym jałówka pasąca się na świeżej koniczynie.

- Serdecznie uściśnęła siostrę. - Tak bardzo cieszę się, że wychodzisz za męża. Pamiętam, jaka byłam szczęśliwa w dzień mojego ślubu z Adamem. Wam życzę podobnego szczęścia.

- Dziękuję, *chérie*. - Oczy Rubinu błyszczały jak dwie gwiazdy. - Macierzyństwo cię odmieniło.

- Pod jakim względem? - Diament rzuciła okiem na swe odbicie w lustrze, podczas gdy jej siostry wybuchnęły śmiechem.

- Suknie, które nosisz od pewnego czasu, i to bez słowa skargi, ujawniły w tobie kobietę.

Diament zachichotała.

- Masz rację. Nikt nie słyszy utyskiwań z mej strony. Prawda jest taka, że w twoich sukniach, Rubinie, bardzo dobrze się chodzi.

- A widzisz. Kobieta powinna ubierać się jak kobieta. Diament potrząsnęła głową.

- Będziecie widzieć mnie w tym nowym opakowaniu jeszcze tylko przez dwa miesiące. Potem wracam do moich skór. Bądź co bądź, hoduję bydło, a nie króliki w klatce.

Weszła Patience z bukietem polnych kwiatów i obrzuciła zachwyconym wzrokiem cztery młode i urodziwe kobiety. Trzy z nich z uwagi na kolory swych sukien - różowy, żółty i niebieski - przypominały kwiaty, czwarta zaś, ubrana w nieskalaną biel, niczym nie różniła się od księżniczki czy królowej.

Otrząsnąwszy się, Patience wręczyła bukiet pannie młodej.

- W zrywaniu tych kwiatów pomagał mi Neville, Pachną wyjątkowo słodko, gdyż obmyte są wczorajszym deszczem.

- *Merci*. Są naprawdę piękne. A gdzie jest nasz bohater?

Patience zarumieniła się jak róża. Sposób, w jaki miasto przygarnęło Neville'a po jego bohaterskim czynie, napawał ją dumą.

- Mój mąż... - Och, przepadała za tym słowem. Lubiała też, jak Neville nazywał ją

żoną. - Mąż czeka na ulicy. Powiedział, że nie wejdzie do sklepu, gdyż boi się, że może coś tu uszkodzić. Tak samo zachowuje się w swoim własnym domu. Odkąd rozłożyłam w pokojach dywany i ustawiłam nowe krzesła, porusza się pośród nich, jakby kij połknął.

Gorący Rubin roześmiała się.

- Quent pod tym względem niewiele różni się od Neville'a. Wyznał mi niedawno, że czuje się ciężki i niezgrabny w starannie urządzonej wnętrzach.

- Skoro mówimy o szeryfie - powiedziała Patience - to czeka na korytarzu. Chodzi niespokojnie z kąta w kąt, niczym dziki zwierzę w klatce.

- I tak właśnie powinno być - powiedziała Jasny Nefryt swym melodyjnym głosem. - Przecież nie jest sam. Są z nim nasi mężowie, jak również Gil i Daniel.

- Zatrzymała spojrzenie na Gorącym Rubinie. - To bardzo szlachetne z twojej strony, że poprosiłaś Daniela, by opiekował się twoją obrączką. Gila zaś rozpiera dumą na myśl, że to on odda panu młodemu pannę młodą.

- Dlaczego miałabym postąpić inaczej? Obaj chłopcy należą do rodziny. A dziś rodzina przeżywa wyjątkowy dzień.

Patience wyszła, lecz bynajmniej nie ubyło osób w pokoju. W tym samym bowiem momencie, gdy przekraczała próg, wtargnął Quent.

- Nie wolno ci oglądać panny młodej, Quent, przed ceremonią zaślubin - upomniała go Różowa Perła, lecz widząc wyraz jego twarzy, w końcu machnęła ręką. Rzekała ściszonego głosem do sióstr: - Myślę, że nic tu po nas. Co wy na to?

Diaament i Nefryt przyznały jej rację, po czym wszystkie trzy przeszły do innego pokoju.

Quent wpatrywał się w narzeczoną niczym w święty obrazek. Miała w sobie coś zjawiskowego. Nagle opuściło go całe zdenerwowanie. Do tej pory złościł się, że ma na sobie taki dziwny strój. I że w kaplicy będzie na oczach całego miasta robił z siebie głupca. I również z tego powodu, że w ostatnich tygodniach godził się uczestniczyć w tych wszystkich głupich spotkaniach. Obiad u wdowy Purdy. Herbatka z Lavinia, Gladys i Effie, strasznymi plotkami, które jednak tamtego popołudnia zachowywały się jak dobroduszne cioteczki. Owocowe wino u Millie Potter, która w pewnym momencie pochwaliła się, iż od początku wiedziała, że on, Quent, zakocha się w pannie Jewel. Dobrze sobie! Skąd mogła wiedzieć, skoro nawet on sam tego nie wiedział?

Ale oto stała przed nim ta, dla której gotów był zrobić wszystko. Każdego dnia kochał ją coraz bardziej, aż osiągnął stan, w którym myślenie o niej i rozmawianie z nią stało się dlań równie nieodzowne jak oddychanie.

- Zdenerwowany? - spytała. Podszedł i ujął jej dłoń.
- Byłem, lecz już nie jestem. A ty? Uśmiechnęła się.
- Jak mogę być zdenerwowana, mając przy sobie wielkiego, silnego i dzielnego szeryfa? - Spojrzała na klapy jego surduta. - Nie sądziłam, że dzisiaj też ją przypniesz.
- Dlaczego nie? Szeryfem nie przestaje się być w dzień swojego ślubu.
Mimo to uwolniła dłoń i zaczęła odpinać gwiazdę. Spoważniał.
- Sądziłem, że już pogodziłaś się z moją gwiazdą.
- I owszem. - Rzuciła odpiętą gwiazdę na blat stołu. - Tylko że to nie jest twoja gwiazda.

Na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie.

- Nie rozumiem.
- Oto twoja. - Wyjęła coś ze szkatułki i podała mu na otwartej dłoni starą, wygiętą i wyszczerbioną odznakę, która jednak błyszczała niczym żywe srebro, tak była starannie wyczyszczona.

- Gwiazda mojego ojca. - Poczul, że ogarnia go wzruszenie. - Myślałem, że już nigdy jej nie odzyskam. Jakim sposobem odebrałaś ją Boydowi Barlowowi?

- Znasz przecież moje umiejętności. Barlow, bardziej od innych, zasługiwał na moją małą zemstę, *chérie*.

- Przypomnij mi, żebym nigdy z tobą nie zadzierał - powiedział Quent ze śmiechem.

Przypięła gwiazdę do klapy surduta, po czym nieco się odsunęła, żeby lepiej przypatrzeć się Quentowi.

- *Oui*. Ta jest w sam raz. Doskonała. Namiętnie pocałował ją w dłoń.

- Och, Rubinie. To ty jesteś samą doskonałością. Przynieś mi, że nigdy się nie zmienisz.

- Obiecuję. To i coś jeszcze. Będę kochała cię aż do śmierci.

Złączyli się w gorącym pocałunku.

Ktoś zapukał do drzwi. Była to Diament, która wzywała ich do pośpiechu. Czekano w kościele już tylko na nich.

Będąc na ulicy, Gorący Rubin zwróciła się myślami ku ojcu.

- Dziękuję, ojcze - szeptała. - Dałeś mi gorące serce, które potrafi kochać, lecz nie potrafi nienawidzić. I rodzinę, o jakiej mogłam tylko marzyć. I szansę na nowe życie w Teksasie. I nawet mężczyznę, który pokochał mnie taką, jaka jestem.

Chmury rozstały się i wyjrzało słońce. Rubin uśmiechnęła się. To ojciec pobłogosławił ją na nowe życie z Quentem.